

Ludwik Stasiak.

PIENIĄDZ

POWIEŚĆ.



L. 639

L W Ó W.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

1902.



10129379

BOCHNIANA



101999

CZYTELNIA

Gdy stanąłem w Krakowie, dowiedziałem się już na dworcu kolejowym, że książki po zmarłym Janie Dorze, zdolnym muzyku, pójdą na licytację sądową i że nazajutrz o dziewiątej rano odbędzie się ich sprzedaż. Wiedziałem, że Dora miał ładny księgozbiór z dziedziny teorii i historii muzyki, więc stanąłem do licytacyjnego turnieju, a w braku licytantów, kupiłem wszystko.

Oprócz książek nabyłem także za bezcen sporo nut, rękopisów i szpargałów papierowych wszelkiego rodzaju.

Porządkując te rzeczy, znalazłem manuskrypt, który mnie zainteresował. Był to pamiętnik lub brulion listowy.

Ogłaszam go w całości:

Ż e g i e s t ó w 11 lipca.

Powinienem raz nareszcie zrezygnować i pozbyć się złudzeń, które są trucizną mojego życia. Muszę się pogodzić z myślą, że jestem nauczycielem muzyki i niczem więcej, a aspiracje kompozycyjne zawiesić na kolek. To, że wydałem kilka pieśni, że krytyka przyjęła je życzliwie, nawet bardzo życzliwie, wywołało za młodu daleko idące nadzieje, marzenia nieziszczalne i niewykonalne.

Aby komponować, muszę żyć, aby żyć, muszę dawać lekcyę na fortepianie, gdy zaś daję lekcyę na fortepianie, nie mogę komponować, bo po całodziennej pracy jestem wyczerpany, jak wyciśnięta cytryna.

Trochę, trochę pieniędzy, rok, dwa lata wolnej myśli i wolnego od kłopotów bytu... Gdyby trochę pieniędzy...

To „trochę“ nawet jest marzeniem. Pięć lat prucuję dla chleba, pięć lat nic nie skomponowałem.

Ż e g i e s t ó w 12 lipca.

Dusza się rwie do twórczości, do pracy. Słucham grania koników polnych, śpiewu ptasząt leśnych, czuję, że gdyby los poszczęścił, zakułbym w tonach muzykę letniego wieczoru., wyśpiewałbym czar łąki leśnej, szum sosen naszych. Boże! Boże!

Ż e g i e s t ó w 13 lipca.

Dobre i to, że ucząc panny grać na kłopotach, potrafiłem wybębnić sobie na fortepianie tych dwieście koron, które mi pozwoliły wyjechać do Żegiestowa na trzy tygodnie odpoczynku. Z mojami nerwami było już źle, bardzo źle. Bóg zesłał ten wypoczynek. Oczywiście tutaj nic nie zrobię, przede wszystkim dlatego, że mieszkając w chłopskiej chałupie, zdala od zakładu kąpielowego, nie mogę sprowadzić fortepianu, powtóre zaś, że doktor zabronił mi przez te trzy tygodnie nawet myśleć o muzyce.

Nie. Najsamprzód zdrowie. Przede wszystkim siły odzyskać, skołatane nerwy doprowadzić

do porządku. A jednak szkoda i trzech tygodni. Mógłbym napisać którąś z pieśni, co snują się w sercu jak przędza złota.. Dusza muzyka jest jak ta pszczoła, co po barwnem lata kwieciu zewsząd słodycz zbierając. Mówiły do mnie kwiaty łączne i perły rosy, mówił do mnie wielkim głosem las i śpiew słowika.. oh tylko wyrzucić to z duszy, tylko wysnuć ze serca i zamknąć w więzieniu z pięciu równoległych linii...

Absurd.

Nie mam fortepianu i rzecz skończona. Czy sta głupota. Gdybym nawet chciał sprowadzić fortepian, to skąd na to wezmę pieniędzy. Za co? Całą duszę moję wypowiem klawiszami fortepianu, zadziwię ludzi płaczem pieśni, zrodzonej we łzach... gdy zdobędę trochę pieniędzy. Tysiąc, dwa tysiące...

Pieniądzy!

K r y n i c a 15 lipca.

Pieniądzy!

Przyjechałem tutaj z chórem śpiewackim, który przybył koncertować do Krynicy. Niemal zmuszono mnie do drogi, ofiarując mi wolny bilet jazdy i koszt utrzymania. Opierałem się, niechając niby łaski przyjąć, w gruncie rzeczy jednak rad jestem, że trafiła mię darmocho. Ja nie mam na przejażdżki, a nawet taka wycieczka do Krynicy byłaby dla mnie zbytkiem.

Gdybym był wiedział co mnie tu czeka, byłbym wolał nie przyjeżdżać. Chór, oklaskiwany przez publiczność gorąco i zmuszony brawami do „bisowania“ zaśpiewał moją „Kołysankę“,

którę zgromadzeni gorąco, niemal entuzyastycznie przyjęli. Ktoś ze znających mnie osób rozpuścił po sali wieść, że autor jest w audytoryum obecny i ogromny okrzyk „autor!“ rozległ się na sali. Musiałem się z wezbranem, płaczącym z bólu sercem ukłonić. Ty tłumie! Wśród was jest stu takich, którychby dzienny dochód mógł zaprowadzić mnie do zasługi, aureoli, sławy.

Marni zjadacze chleba! Oto przy mnie siedzi finansista, które je, śpi, a potem znowu je, którego całym zajęciem jest odcinanie rentowych kuponów. Czy ty więcej wart, czy ja, — targający siły, zabijający swój talent, dla codziennego chleba.

Dziwna zaprawdę dusza ludzka. Owacya wyprawiona mi na wieczorze, wzbudziła we mnie, zwierzęce jakieś instynkty: nienawiść, wściekłość i złość na ludzkość całą.

Żegiestów 15 lipca.

Gdyby przeszłość mogła się wrócić, gdyby zmazać można dawne dni i lata, unicestwić czas, co ubiegł.

Gdy skończyłem studia uniwersyteckie a znajomi dowiedzieli się, że zamierzam poświęcić się jedynie i wyłącznie muzyce, kiwali nademną głową, wruszali ramionami, pytani zaś przeze mnie o mój przyszły zawód, wręcz mówili wszyscy: nie doradzam, nie zachęcam.

Zwyciężył Moliński. Sędziwy, znakomity muzyk rzekł:

— Może z głodu fizycznego przyjdzie ci przymrzeć, nie zaznasz jednak nigdy głodu ducha. Patrz na Galicyę, patrz na jej młodzież i jej aspiracye: Jak na korze wiśni, tam mszyce i pluskwy się gromadzą, gdzie płynie żywica z drzewa; tak młodzież nasza, pcha się na te szlaki, gdzie jest chleb, pełny brzuch i wygodne życie. Oni to nazywają wyborem powołania! Wyborem powołania! Jak gdyby to powołanie, można było wybierać! Frazeologia! Powołanie jest to coś, co wrze w duszy, co rozgrzewa duszę, co elementarną siłą pcha człowieka, wołając: idź tam, i dopnij tego. Te marne dusze, mające lód i pustkę w sercu, nie mogą mieć przecie żadnego powołania, bo tam w sercu nic nie woła i nikt nie woła. Idą do koryta. Pchają się do kariery, dającej chleb. Jeśli mnie tedy pytasz, czy masz oddać się muzyce, to radzę ci: oddaj się, choćys z głodu miał przymrzeć—poświęć się.

Usłuchałem Molińskiego.

Dziś... Gdyby przeszłość mogła się wrócić.. Gdyby przeszłość mogła się wrócić, to i tak poszedłbym za radą, znakomitego mego nauczyciela. Jestem jednak na tyle szczery, że nie wchodzę na marmurowy piedestał, nie wołam: patrzcie, oto poświęciłem dla sztuki chleb i wygodne życie, lecz otwarcie mówię, że zrobiłbym to, jak kleptomani, który wyszedłszy z domu poprawy lub z domu obłąkanych, kradnie nie z potrzeby, ale aby kraść.

Ta przekłeta muzyka, jest jak tytoń, opium, lub morfina. Raz zażyta; nie da człowiekowi

spokoju, nie da, aż... do grobu zaprowadzi. Kto raz wlaźł chłopiędem na deski teatralne, ten odebrany ztamtąd przez rodziców, ucieknie z domu, aby wrócić do ohydnej budy. Nie tylko szminka teatralna, nietylko kinkiety, kostyum i peruka, mają tę straszną moc przyciągania.

Często rozmyślam nad tem, czem bym był, gdybym nie był muzykiem, a rozmyślania te, są pociechą i osłodą dla mej rozgoryczonej duszy.

Byłbym tedy adjunktem sądowym w małym prawdopodobnie mieście, adwokatem otwierającym kancelaryę lub conceptowym urzędnikiem przy urzędzie podatkowym. Miałbym już pięcioro dzieci, duży brzuch i trzysta koron miesięcznego dochodu. Rano służąca podałaby mi kawę i papierosy, poczem poszedłbym do biura, sądzić procesujących się żydów, lub zasądzać do aresztu chłopów, którzy, popiwszy się, nastąpili sobie na „honor“. Potem obiad, potem drzemka, potem znowu biuro. Życie potrzebuje rozrywki, a duch zmęczony odpoczynku. Zatem kasyno, a tu nader zajmujące łapanie pagata, lub podstępne wychodzenie pod monda. Dwa kieliszki wódki, przekąska i ośm kufli piwa. Wieczera, no i sen. Ah, byłbym zapomniał! Przecież i dla umysłu, dla ducha, coś się robi i coś poświęca. Zatem, zrzuciwszy ze siebie ubrania, postawiłbym w głowach łóżka, lampę, położyłbym się pod kołdrę, i oddałbym się literaturze.

Brałbym z kasyna tylko takie książki, które mają dobry format do łóżka. Długa, wężka, a

mała i lekka. Piwo trochę szeleści w głowie, jednak czytam:

„Kozacki porucznik, kłusem jechał przez las, a wódz ich Krzywowyjec patrzył w dal na horyzonty, które w oparach wód majaczyły. Mołojec wciąga w rozdarte nozdrza, świeże, stepowe powietrze i marzy o swej dziewczynie. Śni, że wrócił z wojny do rodzinnych progów, że ojcowie przyjmują go ze łzami, sadzając za stołem, goszcząc wędliną i grzanem piwem. Świat mu się migota w oczach, znużony skłonił głowę i spi... spi...

Tam do dyadła, zasnąłem. Przecie Krzywowyjec nie spi, tylko zabija w pojedynku Nosajbeja. Gdzież to było? Zaraz.

„Mołojec wciąga w rozdarte nozdrza świeże, stepowe powietrze.“

— No dość na dzisiaj. Jutro trzeba wstać rano, służąca poda mi kawę i papierosy...

I dzień pomknie tak za dniem, jeden podobny do drugiego, jak srebrna korona, jedna do drugiej. Za młodu, dopóki jeszcze serce czuje a dusza żyje nadzieją, wygląda człowiek jak moneta, świeżo wybita, widać na niej kształty, jakieś litery, ornament. Później czas to zetrze, zniknie delikatna rzeźba i człowiek jest szablonem, podobnym do wytartego szeląga, do szematu jedzącego, spiącego i znowu jedzącego...

Precz z takim życiem, z taką wegetacją. Nie mam żadnych złudzeń, ani co do mego talentu, ani co do moich miniaturowych zasług kompozytora, a jednak twierdzę, że na mnie jest

stempel, jest rysunek, odróżniający mnie od szarego tłumu zjadaczy chleba, a grawirunku tego nie zetrze ani czas, ani siła, ani złość ludzka.

W wielkim parlamencie artystycznym, jestem posłem i dygnitarzem drażkowym, ale nim jestem, nie jestem orłem, co pod niebem szybuje, jeno wróblem szarym lub pliszką, ale płazem po ziemi się wlokącym także nie jestem.

Twierdzę to z bólem wykolejonego człowieka, zdającego sobie jasno sprawę, ze swego zmarnowanego życia...

Ci co przed niewielu latami rzucili hasło: Za dużo mamy artystów, literatów i poetów, szybujących po niebie, nie przewidzieli jaki skutek odniosą ich słowa. Chcieli oni zapewne zjednać młode siły do handlu, do przemysłu...

Skutek był humorystyczny.

Wszyscy zrozumieli je tak, że tego się jąc należy, co daje chleb, taki sobie zawód wybrać, który daje brzuch pełny i buty całe.

Ponieważ dziś w Galicyi tylko urząd dać to może, zaroilo się od kandydatów do łatwego a pewnego chleba.

Śmiech i litość bierze, gdy się czyta całe wagony bibuły, zadrukowanej artykułami o potrzebie przemysłu, dowodzeniami, że tylko w handlu i przemyśle jest ekonomiczna przyszłość kraju, bo sam piszący dla drugich nauki, nie oddałby dziecka na hazard losu...

W braku kapitałów, musiałyby bowiem pierwsza generacja przemysłowej młodzieży, iść na głód i wymrzeć marnie, a zgonem swym uto-

rować drogę, jaką trzeba iść, aby na polu przemysłu działać i zwyciężyć.

Nikt nie chce iść na pierwszy ogień.

Ja nie oddałem się wprawdzie przemysłowi, obrałem jednak wolny, niezależny zawód i nie żyję kosztem kasy podatkowej. W każdym razie nikt mi nie zarzuci, że bym sięgnął ręką po pospolity, trywialny, łatwy do zdobycia chleb. Choć wróblem szarym jestem a nie orłem, przecież nie jestem pluskwą, która idzie tam, gdzie żywica z drzewa cieknie...

Do wielkiej budowy gmachu społecznego potrzeba jest marmuru i kamienia, cegieł, piasku i rumowiska. Ja jestem marnem rumowiskiem, na które składa się rozbita dusza, zbolące serce i rozstrojone nerwy...

Ale nie jestem błotem, z którego nikomu nic nie przyjdzie, nie jestem jednostką z szarej rzeszy, która je i śpi, w przerwach zaś wypełnia obowiązki, za których wykonanie płacą. Jakiż to lichy frazes z ich strony mówić: ja wypełniam moje obowiązki! Powinni powiedzieć: ja wykonuję to, co mi daje chleb, za co mi płacą...

Mówią nieprawdę? No, no! ciekawym, ilu was też pozostałoby przy „obowiązku“, gdyby na pierwszego rząd zaprzestał wypłacania płacy...

Ż e g i e s t ó w 15 lipca.

Ile razy myślę o pieniądzach, o codziennym chlebie i prozie żywota, jestem zły na samego siebie. Nie podzielam wcale zdania któregoś z włoskich artystów renesansu, że nie będzie ni-

gdy wielkim artystą ten, kto swem dziełem chce zdobyć pieniądze, bo dziś minęły czasu romantyzmu, dziś nie wolno nikomu, a więc i artyście zapoznawać olbrzymiego ruchu społecznego, kręcącego się naokoło osi, którą jest chleb i pieniądz. Słowom wreszcie wielkiego artysty zaprzeczyły już dawno wielkości literackie, które zarzucając twórczą wędkę do wody, więcej baczą, aby złapać na nią złotą rybę, niż wieniec laurowy, którzy oddając rymy wydawcy, targują się o cenę wiersza.

Powody mej nienawiści do finansów są natury filozoficznej, — nie chodzi w nich tyle o sam pieniądz, ile o stan mojej duszy, wytworzony posiadaniem, lub nieposiadaniem pieniędzy. I sprawa ta więcej, niż każdy inny psychiczny proces, odsłania mi małość, miernotę mojej duszy i mego moralnego jestestwa.

Bezwarunkowo wierzę w boskie posłannictwo Chrystusa, bezwarunkowo wierzę, że szczęście ludzkości da się osiągnąć, jeśli tylko ludzie zechcą literalnie, bez filozoficznych przekręcań i rozumowań wykonać Jego święte rozkazy. Bezwarunkowo wierzę w prawdziwość zapewnień Jego, mieszczących się w słowach: Nie troszczcie się, co będziecie jeść i pić, albowiem Ojciec wasz niebieski wie, iż tego wszystkiego potrzebujecie.

Olbrzymie słowa, olbrzymia nauka. Woła do mnie Chrystus: idź pracuj nad pieśnią twoją, a co ty jeść będziesz jutro, to już Boża w tem głowa.

Wierzę w słowa Jezusa a troszczę się...

Wierzę, równocześnie niewierząc.

A ta bezsilność duszy, ta dwoista jej natura do wściekłości może doprowadzić człowieka.

Manekina mam, nie duszę, lalkę, która taki ruch przybiera i pozę, jaki wiatr zawieje, jaką formę jej nada anioł lub szatan.

Pytam się samego siebie, czy to ja jeden na świecie taki, czy też każda dusza ludzka składa się z dwóch połów, jednej jutrznianej, jak święta wiara, -- drugiej zgniłej jak próchno grobowe.

Rozum odpowiada mi: każda.

Nie przecz dewocyjny zelancie, nie krzycz prawowierny moralisto, zasłaniający się co chwila szyldem wiary.

Słuchaj; czy ty, co tak głośno „wierzę“ krzyczysz, nie masz nigdy takich chwil, w których we wszystko wątpisz? Jesteś pewny, że po śmierci zmartwychwstaniesz, że dusza twoja na wieki żyć będzie w królestwie niebieskiem, nieprawdaż? A jednak w noc pochmurną, gdy wichher jesienny świszczy, a ty usnąć nie możesz, nadchodzi mara, która mówi: wszystko, wszystko na zgniliznie się kończy... wszystko. Tam nic niema. Wiara pryska, do duszy wpada huragan rozpacz, wdziera się widmo nicości, strach przed mieszkaniem w trumnie ciasnej... o! Jeszcze raz cię pytam: nigdy takiej chwili nie masz ty prawowierny? Nigdy?

Nigdy, mówisz? Kłamiesz. Chcesz mi zaimponować, żeś tak duszę wiarą opancerzył, że żadne zwątpienie do niej się nie przebije — ale to

jest kłamstwo, bo leży poza granicami ludzkich sił.

A jeśli wiara w słowa Chrystusowe nie może dać zupełnego szczęścia, to cóż dopiero ta marna filozofia, to marne nicowanie premis i wniosków.

Gdy czasem zgryzota człowieka za gardło dławi, gdy widzę marną przeszłość moją, a w jutrze iskry nadziei dopatrzeć się nie mogę, wtedy przychodzi ta idiotyczna nauczycielka życia, filozofia, ze swymi zasadami, ze swą logiczną na pozór a lichą w rzeczywistości gadaniną.

Ona prawi: ty wykolejony kompozytorze, który mało co skomponowałeś, nie zaś w przeszłości nie skomponujesz, który do śmierci będziesz uczyć dzieci na fortepianie bębnić, którego pieśń i dusza, zdolna rodzić pieśni, do grobu razem z tobą zejdzie marnie, nie zostawiwszy nawet śladu w dziejach twórczej sztuki, — ty w gruncie rzeczy jesteś bardzo szczęśliwym człowiekiem. Rózpacz krwawi ci serce i rozsadza piersi? Śmieję się z tego. Jesteś bardzo szczęśliwy, bo masz codziennie co jeść. Zaglądnij w zaułki przedmieścia, oto ich dzieci wołają: „chleba“, a matka im go dać nie może.

I na chwilę mam złudzenie, że ja w istocie jestem od wielu ludzi szczęśliwszy a nawet względnie szczęśliwy.

Tylko, że na frazes, można odpowiedzieć frazesem, że rozumowaniem zbija się rozumowanie, że filozofia, ta mistrzyni życia, zbija się sama swą własną bronią.

Ten, co w suterenie raz na dzień jada, jest bardzo szczęśliwy, bo mogliby go wydalić z fabryki i nie jadałby ani razu na dzień.

Ten, którego oddalono z fabryki, który ani razu na dzień nie jada, jest bardzo szczęśliwy, bo jest zdrow. Byłby nieszczęśliwy, gdyby przy niepowodzeniach swych miał jeszcze zapalenie płuc.

Ten nędzarz, który ma zapalenie płuc jest bardzo szczęśliwy, bo nie ma gruźlicy...

Skończy się na tem, że ten, komu pod szubienicą stryczek zakładają, jest w gruncie rzeczy szczęśliwym człowiekiem, bo mógłby być przecie wbitym na pal, ćwiertowanym, lub smażonym w oleju na ogniu wolnym.

Jak purpury królewskiej nie potrafisz załatwić łachmanem, tak choroby duszy nie uleczysz filozofią.

Splunąć na nią nie warto.

Z e g i e s t ó w 15. lipca.

Nie ulega kwestyi, że świadomość jest największem nieszczęściem człowieka.

Z góry o przebaczenie prosząc wielkich badaczy przyrody, śmiem twierdzić, że zwierzę nie ma jasnej świadomości śmierci, a fakt, że ono zagrożone niebezpieczeństwem ucieka, jest takim samym odruchem, jakim jest odruch ręki na prawo człowieka upadającego na lewo. Głowa i mózg nie posyła ręce rozkazu, aby na prawo uciekała, ona robi to samo przez instynkt, bez świadomości i wiedzy ludzkiej. Gdy pociąg się rozbija, to choć zdruzgotane wagony spokojnie

już na ziemi leżą, to pasażer wydobywszy się szczęśliwie z pod gruzów, ucieka w pola, goni co tchu, choć nie wie dlaczego ucieka i dlaczego goni.

Fakt, że człowiek ma nieszczęsną świadomość, że wie o marnej swej doli i marnym swym zgonie, jest najwięcej przekonującym dowodem nieśmiertelności duszy ludzkiej. Bóg jest sprawiedliwym i nie mógł unieszczęśliwić nas bez powodu, bez celu i bez przyczyny.

Za nieszczęście świadomości przed grobem otrzymamy szczęście świadomości za grobem. Tyle mocy ma korzeń drzewa pod ziemią, ile mocy, ile siły oporu potrzebuje drzewo nad ziemią w czasie burzy.

O ile dusza krwawym potem, łzami i serdeczną męką wydoskonali się przed grobem, dojdzie do tego stopnia doskonałości po za grobem. A kto przed grobem nie miał świadomości, to i za grobem jej mieć nie będzie. Jeśli się myślę, to..

Jeśli tam, za grobem nic nie ma, to czemu ja jestem tak okropnie nieszczęśliwy?

Ż e g i e s t ó w 16 lipca.

Zakres moich skromnych zresztą wiadomości szwankował zawsze na punkcie prawa i prawniczych wiadomości. Nie procesowałem się nigdy, znajomość więc kodeksu była mi zawsze piętą kołem u wozu. Dziś poznałem się z arkanami prawa w niezbyt zaszczytnych dla etyki prawniczej warunkach.

Przyszedł woźny ze sądu i wyrzucił właściciela chałupy, w której mieszkam, na pole. Na rozkaz przedstawiciela prawa wyrzucono na pole stół, obrazy święte, szafę, zydel, nawet wyrko i kolebkę z dzieckiem.

— Dlaczego was wyrzucają?

— Alboż ja wiem, panie — mówił zapłakany chłop.

— Jakto nie wiecie? Mielście chyba długi?

— Ani grosza.

— Zatem nieprawnie siedzieliście w chałupie.

— Kupilem ją za gotowe pieniądze.

— Może ten, co wam sprzedawał, nie był jej właścicielem?

— Miał dziedzictwo z dziada pradziada.

— Ależ to nie może być.

— Widzi pan, że jest.

Nie mogłem po prostu zrozumieć, jak się to stać mogło, gdy na szczęście zjawił się adwokat prowadzący egzekucję.

Przystąpiłem do niego, aby się o powodach tradowania dowiedzieć.

— Czy to jego dom?

— Teraz już nie jego, bo go wyrzuciłem.

— Ale dawniej był jego.

— Był.

— Kupił go?

— Za gotówkę.

— Nie miał długów?

— Ani grosza.

— Dlaczegoż więc wyrzucają go z jego dorobku?

— Kupił on ten dom za czterysta reńskich, i zapłacił właścicielowi jego Wojciechowi Cebuli gotowymi pieniędzmi. Żał mu jednak było kilku guldenów na zahipotekowanie się na swej realności. Cebula dobrze skrył pieniądze, uzyskane ze sprzedaży, że zaś długów miał prawie tyle, co majątku, przeto wierzyciele zwalili się na zahipotekowaną ciągle na nazwisko Cebuli domowinę. No i prawego jej właściciela wyrzucili obecnie za długi Cebuli.

— Ależ to oburzające, to ohydna zbrodnia. Adwokat wytrzeszczył na mnie oczy.

— O jakiej zbrodni pan mówi?

— Tej, którą popełniono na mym gospodarzu.

— Nie jest to ani zbrodnią, ani nawet przekroczeniem.

— Gdzie sumienie? gdzie sumienie?

— Tego wyrazu w kodeksie nie ma.

— Etyka...

Adwokat się uśmiechnął.

— Etyka mój panie, w epoce, której hasłem jest walka o byt, zeszała do poezyi i do rozczulających nowelek; w ustawie jej nie ma. Kodeks obchodzi się z nią, jak ów mąż, który żonie powiedział: jeśli na jedno się zgadzamy, to niech się stanie twoja wola, jeśli w zdaniach się różnimy, to wówczas niech się stanie moja wola. Dziś uczciwym jest ten, kto jest kodeksowo uczciwym a nie etycznie uczciwym.

— Przecież można wsadzić do kryminału Cebulę, który w złej wierze sprzedał realność, a pieniądze schował.

— Skąd pan wie, że on w złej wierze sprzedawał? Jak pan tego dowiedzie. Czy pan wywleciesz przed sąd jego duszę, aby sędziów przekonać o jego złej wierze? Nie przeczę, że prokurator mógłby mu wytoczyć śledztwo o oszustwo. Ale od śledztwa do kryminału daleko, bo jakże pan jesteś w stanie dowieść, że on schował pieniądze? Dowodów na to trzeba, dowodów.

— Otworzył mi pan oczy na jakiś okropny świat, bez czci, wiary, sumienia.

— Deklamacya, kochany panie. Aby panu lepiej jeszcze oczy otworzyć, roztoczę przed panem drugi akt sielanki prawnej, którą się pan tak oburzasz. Cebulina kupi prawdopodobnie ten dom odemnie.

— Od pana?

— Nie odemnie, ale od wierzycieli, których ja zastępuję.

— Cebulina?

— Może w kilka godzin interes z nią ubiję. Daje mi bardzo dobre warunki.

— Ma zatem pieniądze?

— Nie ma.

— Któż więc ma?

— Cebula. Przecie schował.. On kupi ten dom pod imieniem żony.

— A więc złodziejska ta małżeńska spółka zapłaci swe długi pieniędzmi ukradzionemi temu biedakowi?

— Tak jest.

— I nie masz na to sposobu? Prawo nie ochroni tego człowieka przed bezbożnym opryszkiem? Wszak sąd może zapytać: Cebulino, skąd wzięłaś pieniądze?

— Odpowie, że zebrała je z oszczędności gospodarczych, z kobiecego gospodarstwa, że grała szczęśliwie na loteryi liczbowej..

— Niech przysięgnie.

— Sąd nie może jej dopuścić do przysięgi. Oskarżony przysięgać nie może.

— Dlaczego?

— Dlatego, kochany panie, bo kto jest zdolny do podobnego kupna, ten jest zdolny i do krzywoprzysięstwa. Gotowa przysiędz...

— Toć przecie Cebulę można zapytać: co zrobiłaś z pieniędzmi uzyskanemi ze sprzedaży domu?

— Odpowie: przepiłem, zgubiłem, zatraciłem; oskarżyciel zaś musi dowodzić, że on nie przepił, nie zgubił, nie zatracił.

— Dowodźże pan tego. Skarga zatem o oszustwo mogłaby mieć bardzo a bardzo wątpliwy skutek.

— Ależ to ludzka natura wzdryga się i oburza na podobną etykę.

— Z kodeksem zostaje ona w zgodzie.

Adwokat pożegnał mnie, bo nadeszła Cebulina, która dłuższy czas z nim w cztery oczy

rozmawiała. Machała gęsto rękami i z gestykulacją starego piniacza tłumaczyła coś adwokatowi. Poдали sobie wreszcie ręce, widać na znak zgody i rozeszli się.

— Czy ja mogę nadal zajmować pokój, w którym dotąd mieszkałem, — zapytałem adwokata.

— Chętnie się na to zgadzam, dalszy jednak czynsz bądź pan łaskaw zapłacić dzierżawcy tymczasowemu, który chwilowo tu zamieszka.

Wszedłem do pokoju, wzburzony cały. Czytałem wiele książek, broszur i opowiadań o piniactwie i piniaczach, o palestrantach kauzyperdach; nie zajmując się jednak zbliżka prawem, nie przypuszczałem, że się dzieć mogą na świecie tego rodzaju bezprawia. Umiejąc na pamięć role Mileczka, brałem zawsze piniactwo ze strony humorystycznej, operetkowej. Dziś przekonałem się, że to jest rzeczywistość nie humoreska. Jest więc uczciwe łotrowstwo, uprawniona kradzież, rzetelne oszustwo. Poza bożą moralnością i etyką wolno jest jeszcze mieć etykę prawną kodeksową.

W prostym chłopskim języku nazywa się ona złodziejstwem.

Gdybym ja w ten sposób zdobył majątek, tobym. ..

Jakiś szatan szepce mi do ucha: tobyś go zatrzymał.

Zegiestó w 16 lipca.

Dramat z wyrzuconym niewinnie z własnego domowstwa człowiekiem zatargał moimi ner-

wami. Nie chodzi mi wcale o pokrzywdzonego, okradzionego górala. Drażni mnie czyn sam, możliwość udania się tak rafinowanego łotrowstwa. Potwierdziło ono i dowiodło raz jeszcze, nie duszy mojej, lecz nerwom, że ziemia jest przybytkiem zbrodni i kary, że nas zesłano na tego słonecznego satelitę, aby cierpieć zło za grzechy, popełnione dawniej gdzieś na innym świecie.

Gdy siądę w nadpopradowych świerczynach wśród zieleni leśnej i wpatrzę się w błękit nieba nademną sklepiony, leci myśl w dal, w przeszłość, i przyszłość, nie objętą życiem jednego człowieka. Nasuwa mi się myśl, że życie ludzkie jest fragmentem jakiegoś innego bytu, ciągiem dalszym jakiegoś istnienia, którego nie znam, o którym nie wiem.

Mam w duszy jakby pewność, że przed przyjściem na świat istniałem...

Wszak nie jestem w stanie oznaczyć dnia, roku nawet, w którym zaczęła się moja świadomość, moja samowiedza. Nie stało się to w piątym roku życia, ani w pierwszym. Jeśli zaś nie mogę oznaczyć dnia świadomości, jeśli takiego dnia, ni lata, w życiu nie było, toć nie mogło być i dnia narodzin mojej duszy. Istniała ona tak długo, jak Bóg istnieje, bo była częścią Boga...

Jeszcze jedno.

Jeśli prawdą jest, że dusza ludzka jest nieśmiertelna i końca nie ma, toć i początku mieć nie może. Początek duszy, stworzenie duszy, zaprzeczyłoby idealnemu jej pierwiastkowi, oderwa-



nemu jej istnieniu. Co nie zna śmierci, to i narodzin znać nie mogło..

Jestem tego pewny, gdy patrzę się na przeszliczny świat Boży, na roje złotych muszek, które o zachodzie w promieniach słońca igrają. Czuję, że dusza moja snuła się w przeszłości, że płątała się w dziejach ludzkości, patrzyła na dawne wieki, widziała prastare dzieje i zamierzchyły czas.

Gdy pomyślę o wojnach krzyżowych, o zwycięstwach Bolesławowych, to widzę, że oczami ducha dotykam olbrzymów przeszłości i mówię z nimi.. Bo żyłem wtedy... żyłem. Żyłem muszką marną, ważką, która nad wodą się snuje, byłem powiewem wiatru, który płąta się z miejsca na miejsce po ziemi...

Mówią uczeni, że wiatr, to przewalanie się ciepłych i zimnych prądów powietrza. Dobrze. Kto mi jednak zaprzeczyć zdoła, że owa siła, która fale powietrzne przesuwa, owa siła, która buduje pień drzewa i stroi go w iglice sosnowe, siła, którą kwiat kwitnie a sól się krystalizuje, nie są milionami ludzkich dusz snującymi się po niebie, gwiazdach, powietrzu, morzu i ziemi?

Życie ziemskie jest fragmentem, jest mnożnikiem jakiegoś zrównania. Żebyś jednak głowę rozbił, nie dowiesz się, nie docieciesz, jaka jest mnożna i iloczyn tego zrównania, nie dowiesz się, czego wielki matematyk świata chciał się dowiedzieć, wstawiając naszą jednostkę w swe nieśmiertelne rachuby. Śmierć to może rozwiąże, — śmierć.

To pewnem się wydaje, że ziemia jest miejscem kary. Poprzednie moje wywoły o dojsciu do świadomości gotów jestem sprostować o tyle, że potrafimy wskazać datę naszej samowiedzy, jeśli tylko dobrze zajrzemy w swe młode lata. Mniemam, że pierwsza świadomość, to pierwsze cierpienie, pierwsza boleść, pierwsze nieszczęście.

Ja pierwszą swą myśl w dzieciństwie znalazłbym wtedy, gdy przyszła pierwsza zgrzyota, może zaś wszyscy ci, którym to życie kością w gardle stanęło, potwierdzą to moje domniemanie. Gdyby wszyscy, dla których życie nie jest snem., którzy świadomie przechodzą przez ten taniec wśród mieczów, jakim jest żywot, na to się zgodzili, wtedy zagadka bytu byłaby rozwiązana.

Z jakiegoś wszechbytu przyszliśmy na karę i za karę. Życie nasze, świadomość nasza, zaczęła się wtedy, gdy się zaczęła kara. Skończymy ją męką konania, aby odejść do szczęścia wszechbytu...

Żegiestów 16 lipca.

Chwilami opada mnie optymizm. Jak wódką tak się upić można wesołą myślą, jasnym patrzeniem na świat i życie. Pijanica i optymista nie widzi nieszczęścia, zapoznaje własną wiedzę i własną nicość.

Ubiegłej wiosny, przypatrywałem się w ogrodzie krakowskim pierwszym kwiatom, poczawszy od śnieżyczki, która już w marcu kwi-

tnie, aż do narcyzów, fiołków i wszelakiego kwiecia, którem nas maj zasypuje.

Zapamiętałem jeden pewnik: w tym samym dniu, w którym rozkwitnie śnieżyczka, zjawi się na niej buczący trzmiel, który się po miód do jej marnego dzwonka wsuwa. W tym samym dniu, w którym zakwitnie narcyz i bratek, rodzi się motyl i zlatuje na kwiecie.

Słońce, które wywabia z ziemi kwiat, rodzi i motyla.

Jest to nieporównany dowód Opatrzności boskiej, która, powołując do bytu owad, stwarza dla niego chleb codzienny. Jest to monumentalny dowód boskości słów Chrystusowych, który nauczał: Nie troszczcie się co będziecie jeść i pić, albowiem Ojciec wasz niebieski wie, iż tego wszystkiego potrzebujecie.

A myśl ta woła na mnie: zawieś na kolek swe żałoby i żale, bo Bóg nad tobą. Jeżeli Bóg dał ci talent twórczy, to wnet już stworzy warunki potrzebne do jego rozwoju. Ta złota myśl nie trwa dłużej, niż kwiat wiśni... Bielutki liść po listeczku opada na ziemię i zostają znowu czarne i puste gałęzie biednej, spracowanej duszy.

Ten marny pieniądz!

Ten przeklęty pośrednik, który wlaź między Boga i jego dzieci, aby skrzywić wolę Bożą, aby spaczyć jego rozkazy, wykrzywić jego prawa! Ten papier, który zasłania oczy nasze, abyśmy nie dojrzeliby Boga.

Trzeba być zaślepionym jakimś fanatykiem, żeby nie uznać, nie widzieć degeneracyi ludzkości, spowodowanej kultem pieniędzy.

Nie chcę już rozdmuchiwać swej marnej doli do przykładowego wypadku, nie chcę nadawać jej znaczenia, któreby obchodziło ludzkość całą. Gdzie jednak spojrzę, widzę chorobę, wywołaną przekętym, pieniężnym mikroblem. Gdzie tylko oczy zwrócę, widzę, że złoty cielec jest zgnilczym zarazkiem, który rozkłada zdrowe ludzkie ciało, drożdżami, które kwaszą i fermentują słodycz miodu...

Weźmy zasadniczą sprawę, obchodzącą najsubtelniej ludzkość całą: małżeństwo. Gdyby nie kult majątku, nie kult banknota i złotego cielca był czynnikiem decydującym o małżeństwie, byłby dobór wolny dwojga lgnących do siebie ludzi. Byłby to idealny dobór pięknych ciał, zaczętem w dzieciach zakwitłaby grecka doskonałość fizyczna, klasyczna uroda i klasyczne kształty. Ziemia pokrywałaby się istotami doskonale pięknymi, takimi, jakich już dziś chyba wśród posągów greckich szukać trzeba.

Dziś żeni się nie człowiek z człowiekiem, nie serce zakochane ze sercem. Dziś żeni się kasa z kasą, worek z workiem, majątek z majątkiem lub nędza z nędzą. Człowiek odgrywa tu rolę komparsa, statysty, pierwszego lepszego, nie umiejącego czytać ni pisać, oberwańca z ulicy, ustrojonego w purpurę króla, potrzebnego w teatrze, bo dramat bez niego odegranym byłoby nie mógł.

Dziś szesnastoletnia panna idzie za sześćdziesięcioletniego dziada, stara odwieczna baba bierze za męża gołowasa, a karykatura, z twarzą mandryla, poślubia prześliczne młode dziewczę.

Łączenie się fortun zeszło do ludu i tu bardziej jeszcze, niż w zamożnych sferach grasuje.

Dwadzieścia morgow żeni się z chałupą i pięcioma krowami, cztery zaś pary byków i sześć koni bierze ślub z dwunastoma korcami wysiewu. Skutkiem tego coraz więcej ludzi zdegenerowanych, coraz więcej w szkołach hebesów, po wsiach zaś coraz częściej spotkasz kretyna lub kalekę z wolem na szyi. To zrobił pieniądz...

Życie moje, to jakaś chaotyczna plątanina szarych myśli o szarej rzeczywistości. Czasami mi się zdaje, że nerwy mojej duszy szły niegdyś prosto jak prosto idą włókna konopne, dopokąd zielsko stoi na roli. Los zabrał konopie do międlicy i ktoś je niemiłosiernie tłucze, łamie, bije. Pogięły się myśli, połamały, poszły we włókna, w strzępy. Wśród szarych bezbarwnych włókien snuje się jedna złota niteczka. Cieniutka, ale błyszczący szczerem złotem...

To wiara moja. Czemu jej w życiu tak mało? A przecież ta złota nitka jest harmonią żywota, jest resztą zdrowej myśli, resztką nadziei. Nitka ta snuje się z ducha, słowami: Bądź wola Twoja...

— Bądź wola Twoja.

Ta Boża i od Boga zesłana rezygnacya wywołuje w duszy istne wycie szatanów, urągowi-

sko godne piekła, szyderstwo bezlitosne. Sam lucyfer strasznym rychotem śmiechu wyje:

— Czy powiesz: Bądź wola Twoja, czy nie powiesz, zawsze się Boża wola stanie, czemu się więc modlisz? Jesteś nie tylko głupi ale i lichy. Gdybyś ty miał prawo wyboru, słowa twoje byłyby modlitwą rezygnacyjną, oddaniem się. Ponieważ ty wiesz, że tylko wola Boża stać się musi, nigdy zaś twoja, zatem westchnienia twe są podłym faryzeizmem i obłudą, bo jesteś jak ów żołnierz, któremu odebrano broń i związane ręce, który woła: pardon! poddaję się. A gdyby ci rozwiązano ręce i oddano broń napowrót? Swoją wolę w czyn byś wtedy wprowadzał bigocki oszuście..

Do szaleństwa doprowadza mnie uwaga, że gdy spojrzę w głąb mej duszy, to widzę, że szatan ma... słusność... Mówmy szczerze i przyznajmy się, że tak jest.

Rozmyślałem o tem wczoraj przy zachodzie słońca. Siedziałem na mchach leśnych, wśród łąnów macierzanki, które naokoło mnie kwitły. Serce otwarło się przed Stwórcą, co barwi złotem i purpurą zachodnie niebo, co stroi kwieciami leśne polany. Usta mimowoli jęły mówić: Ojczy nasz, — ową najdoskonalszą z modlitw ludzkości. Nikt się takimi słowami nie modli, jak chrześciance...

Gdym doszedł do wielkich słów rezygnacji, zrobiło mi się ciepło koło serca, lubo jakoś w duszy.

— Zawsze, zawsze i zawsze. Nawet wtedy, gdybym miał prawo wyboru...

Żeby nie wierzyć w osobowego Boga, który jest i wie o tem, że jest, trzeba być człowiekiem ślepym, trzeba być malarzem impresjonistycznym, który trawę zieloną, o której wie, że ona jest zieloną, maluje czerwono. On widzi ją zieloną, ale rozumuje, że ona jest czerwona.

Rozumowanie o kwestyi Boga i nieśmiertelności duszy, jest dowodzeniem rzeczy oczywistej. Jedno i drugie jest, jeśli nie niedorzecznością, to rzeczą zbyteczną jak piąte koło u wozu.

Mówią mi mędrkowie, że ja nie mam orderwanej, niezależnej od ciała duszy, że jestem kompleksem złożonym z rąk, nóg, mózgu, płuc, krwi i kości. Gdy to słyszę, przychodzi mi na myśl człowiek operowany. Gdyby doktorzy odcięli mi nogę aż po udo i zakopali ją do ziemi, to ja wyleczywszy się z rany i wyszedłszy na świat, nie miałbym przecież do tej nogi żadnej miłości, nie uważałbym ją za część mojego organizmu. Owszem, miałbym wstręt do tej zgnilizny, miałbym wstręt do miejsca, gdzie ona jest zakopana, bo tam leży gnijąca, ohydna padlina. Tak samo rzecz miałaby się z ręką, okiem, uchem.

Pomyślmy tedy, bo to rozumnie pomyslanem być może, że można żyć bez mózgu, płuc, śledziony, że to da się wyjąć z organizmu bez szkody dla człowieka. Ten zdaleka odemnie zakopany mózg, serce czy płuco, byłoby mi równie

wstrętnem i obcem jak odcięta noga. To znaczy, że cały organizm możnaby rozebrać i odrzucić, a zawsze zostanie to ja, które nie jest ani mózgiem, ani ręką, ani nogą. To znaczy, że człowiek, gdyby mógł, wyzbywałby się kawałka po kawałku swego ciała, a zostałyby jakieś ja, dla którego odrzucone części ciała byłyby rzeczą obcą...

To ja, które obojętnie patrzy na wszystkie odcięte części organizmu, nie jest ciałem, jest czemś od ciała oderwanem.. Dowodzi tego już to uczucie, że gdy człowiek straci rękę lub nogę, nie ma uczucia, jakoby tego „ja“ choć trochę mu ubyło, owszem ono jest i pozostało całe.

Znalazłem więc ten subjekt, ten absolut, to „ja“. Udowodniłem, że jest ono oderwane od ciała, niezależne od ciała, co więcej, wrogie podległemu zgniliznie ciała. Czyż mam wysnuwać wnioski, które myśl ludzką w świat cudów, w świat nieśmiertelnego bytu wprowadzają?

Jeśli mam rtęć, substancję niezłożoną i cynober, substancją złożoną, toć dojść muszę do wniosku, że musi istnieć trzecia substancja, która wraz z rtęcią złożyła się na cynober. Chemik potwierdzi to i znajdzie siarkę, z którą połączona rtęć da cynober. Jeśli mam cynk i mosiądz, muszę przyjść do wniosku, że jest coś, co złożone z cynkiem dało ten mosiądz.

Jest miedź.

Jeśli mam ciało śmiertelne, które wraz z owem oderwanem „ja“, złożyło się na człowieka,

to oczywistą jest rzeczą, że to „ja“ istnieje także samo, bez ciała, bez materyjalnej przymieszki.

Owo oderwane „ja“ jest na niebie, jest w przestrzeniach.

Jest...

Niema powodu tak strasznie się śmiać ze sławnego frazesu wieków średnich: *Credo quia absurdum est. Credo, ut intelligam* Wierzę, ponieważ to jest niedorzecznością. Wierzę, abym rozumiał.

Ja nie jestem księdzem ani adwokatem wiary. Nie moją rzeczą bronić dogmatu lub nawracać niedowiarków.

Pozwólcie mi jednak, wy wojujące o dogmat strony, wtrącić w swój spór skromną uwagę.

Nie wierzysz bracie, że chleb i wino zmienia się pod słowem kapłana w Ciało i Krew Pańską? Nie wierzysz? Mniejsza o to. Ja cię nie myślę przekonywać. Nic mnie nie obchodzi twoja wiara, lub twoja niewiara. Zanim jednak uzyskasz prawo drwić z dogmatu, odpowiedz mi, żali wiesz, w jaki sposób płyta cynkowa, zestawiona z płytą miedzianą, zamienia się w elektryczność? Tylko nie tumań mnie drganiem molekułów, wibracją eteru i tak dalej, bo u was mędrkowie wszystko jest drganiem molekułów. Tak łatwo wszystko zwalić na drganie molekułów. Światło jest drganiem molekułów, ciepło jest drganiem molekułów, pożyczanie pieniędzy jest drganiem molekułów.

Nie wiesz? To się najprzód tego dowiedz, jak się rodzi i czym jest elektryczność. Najpierw

zbadaj taką prostą i codziennie zdarzającą się przemianę, zanim zaczniesz bluźnić.

Inaczej wara.

Żegiestó w 17 lipca.

Jak koło wodnego młyna w obrotach swych raz wyjdzie na słońce, na światło, widzi lazur niebios i prześliczny świat, aby za chwilę zapaść w dół, w ciemną otchłań, zamoczyć się w brudnej i mętnej kałuży, poczem znowu na słońce wychodzi, tak samo dusza ludzka z górnej myśli, z pogody w duszy, spada w rozpacz i bezbrzeżną nędzę i mękę ducha.

Zachodzi ta tylko zasadnicza różnica, że u koła owo oglądanie słońca powtarza się regularnie, że pół obrotu swego, pół istnienia swego widzi słońce i patrzy na słońce — podczas gdy życie moje obraca się krzywą jakąś i koszlawą elipsą, w której morze ciemna, kałuży, zła i rozpacz, a kropla za ledwie, chwileczka ledwie mała pobytu w niebie, w jasnych promiennych wyżynach.

W tym odmęcie życia, w tych czarnych chwilach zgryzoty pierzcha wiara, niknie ufność....

Nic, nic.

Skrzydła duszy ludzkiej ulepiono z puchu jesiennych roślin, z pary wodnej, lada wiatr je złamie, zniszczy, oderwie.

Jak biała płyta fotograficzna, wyniesiona na światło, traci wszelką swą moc, czułość, zdolność stworzenia obrazu, tak biedna dusza moja, ską-

pana w prozie życia traci wiarę, nadzieję wszelką, myśl jasną.

Wiara i filozofia, te skrzydła duszy ludzkiej, mrą w jednej chwili, gdy zaś chcę dźwignąć ducha refleksją, którą wczoraj uważałem za pewnik, to litość mnie bierze nad bezmocą moją.. Co tu myśl i refleksya pomoże?

Gdy popatrzę na me stracone lata, na czas, co marnie zeszedł na lekcjach, złości mnie wszelka filozofia, wszelkie górne, teistyczne rozumowania.

Czy ja załatam niemi tę zmarnowaną przeszłość? Czy liczman myśli na zapytanie: zmarnowałaś pięć lat, — jest w stanie odpowiedzieć: nie zmarnowałaś. Jeśli myśl dobrze jest porównać do ziarna, to ziarna zasiane przez Boga w mej duszy nie zeszły, nie wydały kłosów, nie pożywił się niemi ani człowiek, ani ptak niebieski.

Idą ze mną do grobu.

Zegiestó w 17 lipca.

Codzień chodzę daleko, bardzo daleko na przechadzkę. Czasem dochodzę aż pod Piwniczną, czasem zapuszczam się milę i dalej na Węgry. Przechadzki takie ogromnie pomagają mi w mej newrozii. W ciągu drogi kąpię się w Popradzie lub dopływających do niego potokach. Gdy wejdem pod kaskadę wody zimnej jak lód a potem na ląd wyskoczę, zdaje mi się, żem się na nowo na świat narodził, że dawne smutki, zgryzoty, dawna newroza jest snem tylko. Przecież wnet wraca zgryzota i ból — wyrzut, że się zmarnowało życie... Nie wiele pomaga refleksya, że to nie ja

winieniem, że winny pieniądze... A raczej brak ich...

Żegiestów 18 lipca.

Siedzę w ogromnym żegiestowskim lesie. Boże mój, jak tu pięknie, jak uroczą jest ta natura. Oryginalna refleksya: wydaje mi się, że jestem Bogiem i że ludzie ślą do mnie modły, abym dla ich dobra i szczęścia stworzył las. Stworzyć las, bagatela!

Zbieram wszelkie siły mego umysłu, naciągam i stroję wszystkie struny mej duszy i czuję, że stworzyłbym jako ideał i doskonałość lasu taki las, jaki teraz mam przed oczami. Te dzwonki leśne, maliny, kaliny, bluszcze, sosny brzozywe i buki omszałe!

Przeklęte pieniądze. Gdybym je miał!

Pójść z tego lasu prosto do domu, do zacisznej muzycznej pracowni i zagrać pieśń o szumach lasu, o harmonii much igrających w słońcu, o wodach szmaragdowych, zawilecu i konwalii... zagrać dyssonansem burzy, trucizny, która patrzy z jagody wroniego oka, piorunu, który sosnę wali...

Nie! Ja się urodziłem po to, aby dziecko bez talentu nauczyć tego, czego się ono nauczyć nie może. A muszę kłamać, że nauczę, muszę przysięgać na absurd, bo stracę lekcję... Przeklęty pieniądz!

Rytko 20 lipca.

Zapędziłem się aż tutaj na ruinę przeddziejowego niemal zamczyska. Głupie myśli. Tu mieszkał zbój, który mordował ludzi, rabował towa-

ry i z tego żył. Było i panowało wtedy prawo mocniejszego. Dziś szcycimy się postępem, cywilizacją, Bóg wie czem, — a przecież dzieje się zupełnie to samo. Forma się zmieniła, rzecz ta sama. Dzisiejszy „Ritter“ wkłada pieniądze do banku, a w tym samym banku zastawiam ja frak i muszę ritterowi procent płacić.

Dlaczego muszę? Bo muszę żyć. Dlaczego jeden człowiek bierze czynsz, drugi płaci czynsz? Bo pierwszy jest mocniejszym, jak mocniejszym był rabuśnik rycerski. Że tamten był mocniejszym pięścią, a ten kapitałem, toć w tem nie ma żadnej różnicy. Argument: nikt cię nie zmusza mieszkać pod dachem, nikt cię nie zmusza zastawiać fraka — jest wręcz głupim. Szkoda atramentu i słowa na taką polemikę.

Zresztą sprawy ekonomiczne i socyalne nic mnie nie obchodzą. Nie wiem, czy klasa posiadająca ma słuszność czy ludzie bez dachu i chleba to tylko wiem, całą duszą przeczuwam i odczuwam, że wciąganie w te kwestye świętego imienia Boga, pod formą: „to boski porządek rzeczy“, „Bóg tak ustanowił“ jest, przebaczcie mi wyraz, łotrowstwem.

Boć szachrajstw giełdowych, procentowych, fabrycznych i rolniczych nie ustanawiał na pewno. Handlujcie jak chcecie, ja wam z chęcią procent od zastawionego fraka zapłacę, dam się zedrzeć czynszem, chlebem; — wolno wam handlować, ale na szyldzie waszego sklepu napiszcie słowo: „Handel“, a nie święte słowo: „Bóg“.

Paradny jest taki kiep, który licząc swe

renty, mówi: Bóg mi błogosławi, bo nie kradnę, nie oszukuję, dotrzymuję słowa i t. d. On jest uczciwym, bo nie potrzebuje być nieuczciwym...

Żegiestów 22 lipca.

W żegiestowskim zakładzie kąpielowym nie bywam umyślnie, przedewszystkiem dlatego, aby nie płacić taksy zdrojowej, powtóre zaś dlatego, aby nie słyszeć okropnej muzyki, jaką nas darzą nasze stacye klimatyczne. Może to i źle, bo towarzystwo ludzi rozerwałoby mnie trochę, śmiech ludzki nasunąłby lepszą myśl do głowy. A tak sam siedzę i dręcę się bez końca.

Nie ma nadziei! Nie ma! Skończę na mej strasznej pedagogii... o. gdyby na niej skończyć. Przecież uczyć będę mógł tak długo, póki mi siły starczą; potem na starość towarzystwo dobroczynności lub zakład Helclów — oczywiście, jeśli mnie tam przyjmą. Bo jeśli nie przyjmą, to zgon w żebrackiej kruchcie kościelnej lub w rynsztoku.

To straszne wiedzieć, że nie do tego mnie Bóg powołał. Straszna ta niemoc, to szamotanie się człowieka, który wie, że ze sieci się nie wydostanie, a jednak się szamocze. Nie wydostanę się, nie wydostanę! Na loteryi nie wygram, bo nie stawiam; nie odziedziczę nic, bo na świecie nie mam nikogo. Nikogo!

Czemu nie mam mocy wyjść z tego piekła!

Żegiestów 23 lipca.

Samobójstwo...

Nie ma wyjścia — to trudno.

Dziś dopiero otworzyły mi się oczy. Rozum mój oświecił serce, którem dotąd myślałem; jestestwo moje dziś zobaczyłem bez osłon, siebie bez koturn, bez aksamitu teatralnego i galonów szychu.

Dotąd w głębi duszy, na dnie serca mojego była pociecha: nie będziesz kompozytorem, bo los nie chce i Bóg tego nie chce, będziesz jednak dobrym nauczycielem muzyki i pożytecznym obywatelem w społeczeństwie. Nie mogłeś być generałem, bądź żołnierzem, nie mogłeś być architekta, będziesz dobrym murarzem. Ten blichtr spadł mi z oczu dzisiaj.

Obliczyłem statystycznie, ilu ja mam zdolnych uczniów, względnie uczenic. Odpowiedź brzmiała: Ani jednego! ani jednej! Wszystko bez talentu, uczy się dlatego, bo muzyka w modzie, bo klekotanie na fortepianie w modzie. Czemże więc ja jestem i jaki pożytek z mej pracy?

Jestem prostym wyzyskiwaczem głupoty ludzkiej, potrzebnym może, ale nie pożytecznym ludziom, jestem błaznem, żyjącym z ludzkiej głupoty, z ludzkiej pychy.

Nie! Nie jestem ja tak pożyteczną pracującą jednostką, jaką jest szewc, szklarz i stolarz, bo to działacze pozytywni, robią rzeczy naprawdę pożyteczne i naprawdę potrzebne dla bliźniego. Ja jestem czemś w rodzaju kasyera przy totalizatorze, który jada obiady za pieniądze zgrywających się głupców.

Nie ma wyjścia. Straszne żelazne kajdany na rękach, straszna obroża na szyi mówi: nie

pójdiesz dalej, nie będziesz tem, do czego cię Bóg powołał. Pieniądze, te wstrętne pieniądze....

Żegiestów 24 lipca.

Zastrzelę się.

Dzisiaj postanowiłem odebrać sobie życie, zrzucić ten okropny ciężar istnienia. Stało się to tak: Idąc jak zwykle koło toru kolejowego, zobaczyłem czarne czeluście tunelu; niewiem skąd przyszła mi ochota wejść w ciemnię, przespacerować się pod wilgotnem, poczerniałem od dymu sklepieniem. Szedłem bokiem szyn dalej i dalej, tak, że wylot tunelu nie wydawał się większym od srebrnego guldena. Wtem słyszę zdaleka dzwonek sygnalizujący nadejście pociągu. To przypomniało mi, że o tej porze idzie z Krynicy pociąg osobowy. Zegarek pokazywał, że za dziesięć minut najdalej pociąg będzie w tunelu. Nie wiem co się ze mną stało, czułem tylko, że jakaś straszna pokusa wstąpiła we mnie: rzucić się na szyny i zginać pod pociągiem. Niepowstrzymana moc ciągnęła mnie do tego, — nieprzeparta siła pchała mię do okropnego czynu. W jednej chwili niespodziewanie powstał ten zamiar. Głos ogromny wołał na mnie: skończ! skończ! skończ!

W środku tunelu była framuga, wykuta śnać dla badnika lub stróża tunelowego. Wszedłem w nią, aby uzyskać rozmach do rzucenia się na szyny, aby zresztą ukryć się przed oczami maszynisty, który mógłby w światłach lokomotywy mnie zobaczyć i pociąg wstrzymać. Słyszę zdale idącą maszynę — gwizda wjeżdżając w tunel, sapi i huczy, że aż dudni, że drży w

tunelu każdy kamień. Już... już nadchodzi... rozpędzam się... W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego... Straszna ręka mię wstrzymała...

Jaka moc stanęła mi w drodze, nie wiem. Opatrzność, czy moje tchórzostwo, nigdy chyba nie odgadnę.

Wyszedłem z tunelu ze wstydem, zły, wściekły na siebie. Gdybym był uczynił, co zamierzałem jużbym nie istniał, zeszlaby z duszy rozpacz i zmora, które ssają mą krew.

Trucizna w żyłach mych płynie, trucizna... Muszę skończyć...

Z e g i e s t ó w 24 lipca.

Całe pół dnia spaceruję znowu po torze. To ulubiona przechadzka moja.

Szaleństwo się czepia mojej biednej głowy. O lepiej mi było w Krakowie, lepiej. Latając z jednej lekcyi na drugą, nie miałem czasu na pesymizm i na zgryzotę. Tu... Czuję i słyszę łopot skrzydeł szatanów, którzy zlatują na moją duszę. Samotność wydała ducha mojego na łup okropnych myśli.

Pozbyć się ich...

Wierzę w nieśmiertelność duszy, ale i w to wierzę, że nieprawdą jest, żeby Bóg karał samobójców wiecznem potępieniem. Nieprawda.

Za to może Bóg karać męką... Ale ta nie może być gorsza i cięższa od mojej męki na świecie. Z dwojga złego wybiera się mniejsze.

Boże zlituj się nademną. Ty widzisz zamarnowane moje życie.

Ż e g i e s t ó w 25. lipca.

Przyszły za zaliczką pocztową zamówione przezemnie naboje. Wyczyściłem rewolwer, spróbowałem obrotów jego walca.

Ż e g i e s t ó w 25 lipca popołudniu.

Stała się rzecz nadzwyczajna. To nie sen... nie sen... Chwilami zdaje mi się, że oszalałem, że mam gorączkowe halucynacje.

A przecie to jest prawdą.

Bezpośrednio po przejściu osobowego pociągu z Krynicy wyszedłem na tor. Pół mili od zakładu kąpielowego leżał na stoku nasypu ogromny portfel pieniężny. Na pewno wyleciał z wagonu...

W portfelu jest sto dziesięć banknotów tysiąc guldenowych, dwa banknoty po pięćset rubli, z drobnych zaś pieniędzy 380 zł i sto dwadzieścia rubli. Oprócz pieniędzy jest bilet wizytowy barona N. i fabrykanta P., pukiel kobiecych włosów, zawiązany wstążeczką, fotografia mocno dekoltowanej damy i list pisany ręką kobiecą. List brzmi:

„Stary capie! Pas przesłany mi z Wenecyi jest prześliczny.

„Znowu wydałeś dużo pieniędzy dla twej Luli. Mój capenku złoty, dobry, drogi. Pensję miesięczną otrzymałam. Buzi. Pamiętam o Tobie, codzień myślę o Tobie, ludzie mi zresztą Ciebie przypominają. Przypominają mi Twoją dobroć dla Luli. Pomyśl sobie ciapuchno, przyszedł do mnie jakiś pan i powiada: „kupię dom, będący własnością pani i dam za niego jeden kroć“.

Za chatkę, którą kupiłeś Luli, dają sto tysięcy! Mój dobry! Nie wiesz, jak Cię kocham. Gdy przedwczoraj spotkałam Twoją żonę, jadącą powozem, myślałam, że mnie dyabli wezmą. Przyjedź do Luli, przyjedź, Lula będzie Cię bawić... Ty wiesz, jak Lula bawić Cię umie.

Buzi przesła Lula, buzi, buzi.

Żegiestó w 26 lipca.

Załatwiłem się już z portfelem, listem i biletami. Głupstwa te byłyby poszlakiem. Pod wybojem góry płynie Poprad głębia, której człowiek nie zgruntuje. Woda tam stoi w miejscu zielona, nieruchoma, martwa.

Choć umiem pływać, nie starałem się dostać tam do dna. Byłoby to ryzykowaniem życia. W rozpadlinach skał w dziurach i wertepach mieszka łosoś w bezpiecznym schronieniu. Zawiązałem portfel mocno sznurkiem, przymocowałem do niego funtowy kamień i już miałem rzucić cały ten ciężar na dno, gdy...

Obawa zupełnie uzasadniona. Łapią tu żegiestowscy goście pstrągi na wędkę. Wędka zachaczy o sznur i wywlecze zatopiony portfel z wody. Włazłbym w pułapkę. Żandarmerya miałaby oczywisty dowód, że tu pieniądze wypadły... Po nitce...

Wybrałem ogromny kamień, mający kształt ósemki. Mógł mieć pół cetnara. Do tego ciężaru przywiązałem portfel, sznur zawiązałem na sto węzłów i stoczyłem do wody. Kamień wpadł w bezdeń.

Żegiestów 26 lipca.

Czy ja jestem złodziejem, czy nim nie jestem? Jestem nim, jeśli te pieniądze zgubił jaki buchalter biedny lub kasyer bankowy. Jestem nim, jeśli to sierociński majątek. Jestem nikczemnikiem i skończonym łotrem, jeśli zgubił je adwokat, który miał przy sobie wdowi depozyt.

Jeśli to jednak zgubił kochanek Luli, to... ha! ha! ha! Baw Luluś starego capa, baw. Pozwólcie jednak, że i ja się przy tej okazji zabawię. Kupię sobie chatenkę taką, jak ty masz Lulo... Kupiłeś stary capie chatenkę mnie i Luli. Ta tylko jest różnica, że gdy Lula jest ul. czną ścierką, to ja jestem uczci...

Kto mówi: Złodziejem?!!!

Muszę dowiedzieć się, czy to nie są wdowie lub sierocińskie pieniądze. Muszę.

Jeśli tak, oddam.

Żegiestów 27 lipca.

Zapłaciłem takseę zdrojową, aby módz chodzić do czytelni i przeglądać dzienniki. Dawniej czytywałem przedewszystkiem recenzje muzyczne, fejleton o sztuce i artykuły polityczne. Bawiło mnie to, gdy demokraci wymyślali arystokratom, ludowcom i socyalistom, socjaliści ludowcom, demokratom i arystokratom, arystokraci zaś socyalistom, ludowcom i demokratom. To plwanie na siebie wzajemne jest jako humorystyka nieporównanem.

Dziś czytam tylko kronikę, a przedewszystkiem wiadomości policyjne. O moich pieniądzach ani słowa. Codzień będę czytać.

Żegiestów 27 lipca.

Niech sobie żandarmerya szuka pieniędzy w mojej stancyi. Jestem zupełnie spokojny. Jest to płonna wprawdzie obawa, bo gdyby nawet wiedziała władza bezpieczeństwa, że w tej stronie zginął portfel, to wszystkich będzie podejrzewać, tylko nie mnie. Gdym podnosił portfel, rozejrzałem się na około i przekonałem się, że w całej dolinie Popradu żywej duszy nie było. Dziki i pusty fragment łożyska rzeki, nad którą biegły szyny, był świadkiem tego. Na wszelki jednak wypadek schowałem pieniądze dobrze.

Na skrócie rzeki jest ogromna skalista czełusć, której stopy podmywa wrący w tem miejscu Poprad. Brzeg prawie prostopadły, dojścia z żadnej prawie strony nie ma, a ktoby tam chciał zejść, skrzyłby kark, a co najmniej złamał nogę. Wziąłem ze sobą sznur, uwiązałem go do grubej gałęzi świerkowej i spuściłem się na dół wyboju. Tu sterczy kilka ogromnych samorodów skalnych, o które rozbija się hucząca fala. W szparę między dwa wielkie głazy włożyłem pieniądze, a otwór przywaliłem ciężkim kamieniem. Zachowałem w pugilaresie tylko 300 złr. Tę sumę może mieć przy sobie nawet biedny muzyk...

Żegiestów 27 lipca.

Jestem samym sobą zachwycony. Mam takie ogromne zdolności dyplomatyczne, że powinno które z siedmiu mocarstw powołać mnie na ministra spraw zagranicznych.

Ponieważ dzień, w którym powrót mój do Krakowa uczniom i uczenicom moim zapowiedziałem, zbliżał się, ponieważ nadto mogę sobie na dłuższy wypoczynek pozwolić, dzięki błogosławieństwu Bo... to jest chciałem powiedzieć... A!... Otóż popisałem listy do wszystkich domów, gdzie uczę muzyki, że zostaję dłużej, każdy zaś list zakończyłem słowami mniej więcej takimi: „Gdyby zaś państwo mogli mi na dalsze lekcye sumę czterdziestu koron zaliczyć to byłbym za to bardzo a bardzo zobowiązany, gdyż ciągle zdrowie mi jeszcze nie dopisuje. Adres: Jan Dora, Żegiestów wieś etc“. W razie nieszczęścia... będę mieć dwudziestu świadków, że prosiłem o pożyczkę. .

Żegiestów 28 lipca.

Opadła mnie rano szalona myśl: oddać pieniądze. Komu? Mniejsza z tem. Choćby politycy, ale oddać. Bo przecież należy mi się znaczne, wynoszące w myśl ustawy podobno dziesięć procent. Ta suma da mi rok spokoju, rok pracy dla sztuki, rok kompozycyi, ukochanej kompozycyi... Przez rok napiszę kilka symfonii... co? Głupstwo! Napiszę znakomitą operę. Tak jest, operę i koniec. Po co mam talent rozdrabniać na knoty muzyczne?

— Dziesięć procent od stu dwudziestu tysięcy jest...

Ba, ale czy dostanę dziesięć procent? Genialna moja dyplomacya pomogła mi i w tym wypadku. Przy zdroju przystąpiłem do dobrze

mi znanego z Krakowa adwokata i zagadnąłem go w ten sposób:

— Panie mecenasie, proszę o poradę prawną. Z góry panu zapowiadam, że nie zapłacę honorarium przedewszystkiem dlatego, że muzycy mają płótno w kieszeni, powtóre zaś dlatego, że rzecz cała jest bagatelna i nie warta funta kłaków. Wczoraj nad Popradem zgubiłem srebrnego guldena. Znalazł go chłopak wiejski, który żąda dziesięć centów znaleźnego. Nie chodzi mi o to, czy mu dać dziesięć, czy trzydzieści, ciekawy jednak jestem, ile mu się należy ze stanowiska prawnego? Wiadomość zresztą taka może się przydać człowiekowi w życiu.

Adwokat odrzekł:

— Wedle § 389 ust. egz., jeśli kto znajdzie rzecz wartości więcej niż jeden zł., ma obowiązek zgłosić to w ciągu dni ośmiu, a jeśli wartość rzeczy znalezionej przenosi 20 zł., donieść o tem zwierzchności miejscowej. Wedle § 391 ust. cyw. właściciel znalezionej rzeczy obowiązany jest zwrócić poczynione wydatki znalazcy, jeśli tego żąda, zapłacić tytułem znaleźnego dziesięć procent, jeśli zaś tym sposobem obliczone znaleźne wynosi tysiąc guldenów, to obliczenie znaleźnego od pozostającej jeszcze wartości ma nastąpić tylko w stosunku pięć od sta.

Sprawa przepadła.

Ż e g i e s t ó w 1 sierpnia.

Miejsca sobie w nocy znaleźć nie mogłem. Toć pieniądze owinięte w papier zjedzą tam my-

szy polne, grasujące nawet nad wodą. Kto wie, może i szczur leśny pogryść papiery.

Rano zaraz poszedłem do trafiki i zażądałem tytoniu.

— Jakiego tytoniu?

— Takiego w blaszanej paczce.

— Ale jakiego?

— Mówię, że w blaszanej paczce.

— W blaszanych pudełkach jest pięć gatunków tytoniu. Herzegowina flor...

— Ja palę Herzegowina flor.

Ja wcale nie palę...

— Ma pan gilzy?

— Nie mam.

— Może dać setkę lub więcej gilz?

— A to na co?

— Do robienia papierosów.

— Ach, tak! tak! Proszę trzysta gilz, bo mi się skończyły.

— Maszynkę może także?

— Naturalnie.

— To ciekawe — zauważył kupiec — to bardzo ciekawe.

— Cóż pan widzisz w tem tak ciekawego?

— To, że pan potrzebuje maszynki.

— Potrzebuję, bo jej nie mam.

— Czemże więc dawniej robił pan dobrodziej papierosy?

— Palcami kręciłem papierosy.

— A przecież gilzy panu wyszły... gilzy czy tak?

— Wypraszam sobie tego rodzaju pytania, bo nie kupię nic u pana. Prosiłem pana o tytoń, a o nic więcej.

— Niech się pan nie gniewa. Ja stary, to lubię tak sobie pogwarzyć..

Wyszedłem z trafiki mocno rozdrażniony.

Pieniądze były nienaruszone. Zapakowałem je w blaszane pudło i schowałem.

W domu dla zamydlenia oczów gospodarza zacząłem robić i palić papierosy.

Wstrętne.

Zawołałem gospodarza.

— Ojcie weźcie sobie ten tytoń i wypalcie we fajce.

— Taki śliczny żółciutki tytoń.. A pan dla czego nie chce go palić?

— Chciałem się przyzwyczaić do palenia, ale jakoś nie mogę..

— Dziękuję panu.

Palił chłop fajkę i spluwał okropnie.

— Że też to panowie za drogie pieniądze taką hołotę kupują...

Ż e g i e s t ó w 2 sierpnia.

Dziś przysłał mi komisarz policyi, u którego uczyłem dzieci, 20 reńskich zaliczki. „Wziąłem innego nauczyciela — pisze komisarz w liście — a mimo to zaliczkę posyłam. Niech panu Bóg da zdrowie, mój kochany, drogi panie.“

Gazety czytam codzień. Słowa nie ma o zgubie ani w kronice pisma, ani w wiadomościach policyjnych. Czytam nawet inseraty od po-

czątku do końca i nie w nich dotąd nie znalazłem. Daje mi to ogromnie wiele do myślenia.

Gdyby ktoś zgubił pieniądze cudze, byłby, zauważywszy stratę, natychmiast na pierwszym dworcu kolejowym dał znać naczelnikowi stacyi a względnie żandarmeryi. Toż samo stałoby się, gdyby to były pieniądze wdowie lub sieroce.

Cała linia kolejowa roiłaby się od żandarmeryi, bo właściciel wskazałby przecież, między którymi stacyami, w którym mniej więcej miejscu postradał portfel z pieniędzmi. Tymczasem na linii, jak wiem na pewno, nikt nie robi żadnych poszukiwań; w Żegiestowie ani śladu żandarmów, ni detektywów policyjnych. Goście kąpielowi mówiliby głośno: sto dwadzieścia tysięcy zginęło. Gdyby władza chciała nawet rzecz ukryć, wiadomość wydobyłaby się z zakamarków policyjnych i gruchnęłaby w tłumie. Cisza, cisza zapelna.

Czyżby te pieniądze zgubił magnat, dla którego jedenkroć jest bagatelą? Jest to, jak miemam, domysł zupełnie śmieszny bo nie ma u nas takiego magnata, któremuby strata stu dwudziestu tysięcy nie robiła różnicy. W ogóle na kuli ziemskiej nie ma naboba któryby zgubiwszy taką sumę, nie starał się jej odzyskać przez urząd bezpieczeństwa publicznego.

Stawiając wnioski, jakie tylko bujna wyobraźnia postawić może, że zgubił to człowiek pijany, który jadąc daleko, na przykład do Wiednia, we Wiedniu zauważył brak gotówki i tam policyę zawiadomił, — do żadnego rezultatu wy-

rozumowanego dojść nie mogę. Nawet gdyby ktoś wygrał tę sumę w karty, dochodziłby jej... Jest to zresztą absurdem. Gdy ktoś z naszych chce kilkadziesiąt tysięcy przegrać, jedzie do Monaco lub wiedeńskiego Jockey-klubu nie do... Krynicy.

Nie wiem tedy nic. Gubię się w domysłach. Wniosków wysnuć nie mogę żadnych. Prawdopodobieństwo jest tylko, w które chwilami wierzę, że zgubił to człowiek bogaty, magnat.

Biedny kasjer bankowy, mały szlachcic adwokat mający depozyt sierocy, robiłby straszny hałas, poruszyłby policją, przedewszystkiem zaś ogłosiłby w inseratach wszystkich gazet, że „szlachetnemu, uczciwemu znalazcy“ ofiaruje tyle i tyle.

Tęgo w dziennikach niema.

Gdyby to nędzarz zgubił, oddałbym natychmiast.

Zgubił to zepsuty do szpiku kości łotr, oszukujący żonę z Lulusią? Pociesz się po stracie łatwo! Lula go zabawi... Lula go zabawić umie... Chyba, że te sto dwadziescia tysięcy były resztą twego majątku, ty stary capie... Jeśli tak, to Lula wyrzuci cię za drzwi, wylecisz oknem z jej „chateńki“.

To nie dobrze, bo i ja ci nie oddam reszty twych pieniędzy. Nie żal mi cię zupełnie.

Ż e g i e s t ó w 3 sierpnia.

Cisza niepokoi mnie. Wolałbym, żeby było śledztwo, żeby była gonitwa za zgubą, żeby żandarmi i detektywi kręcili się po świecie, szukając tych pieniędzy, szukaliby bowiem, szukali i wre-

szcie zaprzestali szukać. Byłbym wtedy spokojniejszy, mając świadomość, że pościg się skończył, że sprawę złożono do aktów, a odkrycie sprawcy oddano szczęśliwemu jakiemuś trafowi. Policya szuka dzień, dwa, tydzień, wreszcie dwa tygodnie i cichnie.

W tej ciszy byłoby mi lepiej.

Mam chwile takie, w których wydaje mi się, że jest śledztwo, że cały świat śledzi, że rój policyantów wietrzy za znalazcą — tylko ja o niczem nie wiem i dowiedzieć się nie mogę.

Tak żona zdradza męża z kochankiem: całe miasto mówi o skandalu, cały świat wytyka głupiego męża palcem, tylko on nie wie o niczem, gotów zaprzysiądz uczciwość swej żony.

Żegiestów 3 sierpnia.

Czy ja jestem złodziejem, czy nim nie jestem? Uczucie mówi: jesteś. Rozum powiada: jeśli te pieniądze zgubił zbogacony Krezus, nie jesteś. Tak jest! Zachodzi tu niewątpliwie ten drugi przypadek, a gdy ochłonę tylko ze strachu, gdy nerwy się uspokoją, to i uczucie powie mi: nie jesteś, to całe jestestwo moje powie: „nie jesteś“.

Głupie, śmieszne skrupały. Są zbrodnie legalne i nielegalne, takie z którymi się ludzkość pogodziła i oswoiła, i takie, z którym się nie oswoiła. Zdegenerowany organizm ludzkości pogodził się naprzykład z jadem tytoniu a nie pogodził się z jadem lulku, choć jedno i drugie jest trucizną, dowiedzioną zaś jest rzeczą, że organizm ludzki można przyzwyczać do morfiny,

arszeniku a nawet strychniny. Głupiec tedy tylko blekot nazywa substancją szkodliwą a tytoń lub kawę substancją pożyteczną dla ludzkości.

Chemia, nauka, mówi jasno: to wszystko trucizna. Tak się ma rzecz i z pojęciami moralnymi.

Co znaczy złodziej? „Kto bez pracy a z cudzą szkodą zdobywa pieniądze, jest złodziejem“. Czy tak? Kto do banku włoży dwa miliony, pobierając od nich trzy procent, ten bez pracy a z wyraźną i oczywistą szkodą oprocentowanych dłużników bankowych, zdobywa pieniądze, jest więc złodziejem. Pobiera od dwóch milionów niemal sumę taką, jaką ja bez pracy a z cudzą szkodą zdobyłem. Albo tedy obydwaj jesteśmy złodziejami, albo żaden z nas.

Nie chcę już nawet porównywać ze sobą owych złodziei, którzy wypowiadając z trybuny parlamentarnej wojnę Rosyi, skupowali spadłe na kursie ruble, lub którzy głosząc pokój i przyjaźń dla Rosyi, sprzedawali wysoko podskakujące w cenie ruble.

Czemże jest moja rzekoma zbrodnia wobec tamtej?

Żegiestów 3 sierpnia.

Sofistyka znajdzie na wszystko odpowiedź w formie wspaniałego, czasem olśniewającego paradoksu. Powie ktoś tak: Ten pan ma prawo pobierać jeden kroć procentu, bo złożone miliony są jego własnością.

Co to jest własność? Skąd pochodzi własność? Własność może być nabyta albo odziedzi-

czona. Nie jestem wcale socyalistą i nawet na sympatyę zdobyć się nie mogę dla tej niedorzecznej teoryi, która tłum rozjątrza, zapalając w głupich głowach, Bóg wie, jakie nadzieje. Że jednak jestem przeciwnikiem socyalizmu, nie wynika stąd, żebym bił czołem kapitałowi, zapalał jutrznię nad jego głową.

Każdy niesocyalista, każdy rozumny człowiek wie o tem dobrze, że w oczach naszych rosnący kapitał nie powstaje ani nie rośnie drogą uczciwą i czystą. Składa się na niego praca ludzka, łzy ludzkie. Suma tą drogą uzyskana rośnie jak lawina śniegu, zwiększając się własnym biegiem i własnym ciężarem. Pochodzenie kapitału pod względem kodeksu uczciwe, zawsze jest ze stanowiska etycznego nieuczciwem i mętnem.

Zatem majątek odziedziczony... Przewszystkiem niewiadomo jest, co prawo przyszłości zawyrokuje o dziedziczeniu i o prawie dziedzictwa. Ale mniejsza z tem.

„Za zasługi położone dla dobra kraju, za waleczność na wojnie, za czyny wielkie nadawano znakomitym mężom godności, honory, ziemie“.

Czy tak?

No no... Kto w Polsce położył nieśmiertelne dla Rzeczypospolitej zasługi? Kto uwiecznił swą pamięć zdobyczami dla Europy, dla ludzkości? W Polsce zapewne Kochanowski, Kopernik, Żółkiewski, Kościuszko, Wit Stwosz, Czarniecki. W Europie znowu Newton, Kolumb, Guttenberg, Wilhelm Tell, Dante.

Pokażcie mi też państwo majątki dziś żyjących Koperników, Kościuszków, Newtonów i Tellów...

Takie komunały można mówić dzikiemu motłochowi, który historii nie czytał. My wiemy dokładnie, jaką drogą formowały się wielkie fortuny za czasów Kazimierza i Aleksandra Jagiellończyków. My wiemy...

Zatem rozum mój odnosi zwycięstwo na wszystkich punktach. Jeśli raz jeszcze poruszę kwestyę mojej uczciwości, nazwę się sam głupim mazgajem i marzycielem.

Żegiestów 4 sierpnia.

Mam apetyt dobry, a znajomi mówią, że wyglądam znakomicie. Mam cerę rumianą i zdrową.

Żegiestów 5 sierpnia.

To był okropny dzień. Dzień sądu boskiego.

Rano na deptaku łapie mię ktoś z tyłu za ramię i woła:

— Szukam pana, chodzę za panem.

Stał przedemną Konstanty Liszka, komisarz policyi, ten, który mi zaliczkę posłał na przyszłą lekcję.

Wszystka krew z głowy uciekła. W sercu czułem, jakby wepchnął ktoś tam straszny kamień, wszystkie zmysły się zmieszały. Wydało mi się, że nóg nie mam pod sobą, że ciało moje w mgłę się zamieniło, a zostało tylko serce, do którego wszystko się tłoczy. Jakby otwarł ktoś pierś, do której wtargnął huragan.

Zachwiałem się na nogach i byłbym runął na ziemię, gdyby nie komisarz. Podprowadził mnie na ławkę i rzekł:

— O! toż pan na prawdę chory. Zmiłuj się pan, pan ma błędne oczy i straszny wygląd suchotnika. Ratować pana trzeba...

Nie mogłem słowa powiedzieć, bo brakowało tchu. Komisarz mówił długo, stawiał różne horoskopy mej choroby, gdy wreszcie zdobywszy trochę sił, wyszeptalem:

— Wody.

Komisarz szybko pobiegł po wodę. Trzeba było po nią iść blisko pół kilometra, do najbliższej restauracyi.

Zebrałem tymczasem trochę myśli.

Jaki ja głupi! Przecie on żadnych dowodów nie ma i mieć nie może. Oprócz Boga, nikt nic nie wie.

Jednak podejrzenie... Jest... O jest!

Pocóżby on tu przyjeżdżał. Trzeba się trzymać...

Wrócił z wodą. Powstałem i dowlekliśmy się do restauracyi kurhausu. Czułem, że trzeba coś mówić, swobodnie mówić.

— Pan komisarz na długo tutaj?

— Na jeden dzień, tylko na dzień jeden. Widzi pan, dostałem dwa tygodnie urlopu, z którego tak korzystam, że objeżdżam wszystkie polskie zakłady kąpielowe. Byłem w Zakopanem, Iwoniczu i Rymanowie, byłem w Szczawnicy, przeszedłem piechotą Pieniny, te rozkoszne nasze Pieniny.

— Blaguj mnie rozkosznemi Pieninami pomyslałem, ty łotrze jakiś. Ci szpicle to zawsze tak z boku zachodzą, zaczynając od... Pienin.

— Dziś wieczór jadę do Krynicy, gdzie posiedzę ze dwa dni. Użyje człowiek rozkoszy lata, a kto wie, może po drodze co chwycę... Tak, tak, panie, złodzieje są wszędzie, nawet w miejscach kąpielowych. Ja sam łapałem już złodziei w kościele, na salonach, w chałupie, w szynku, nawet w kanale. Może i tu da się co chwycić... Napije się pan wódki?

— Napiję się.

— Chłopcze dwie wielkie, mocne i coś z mięsa. Co do pana, to ja wszystko już obmyśliłem. Niech pana to nie przeraża, ale pan wydajesz mi się być ciężko chorym. Musisz się leczyć. Otóż pan mi wspominałeś, że żaden z nakładców nie chce wydać pańskiego: „Marsza żałobnego“.

— Żądają walców lub pieśni miłosnych...

— Zrobimy tak. Jutro oddam to do litografii.

— A pieniądze na litografię?

— E nie udawaj pan, przecież pan musisz mieć jakieś pieniądze.... Ja wiem, że pan coś masz....

Cedził słowo za słowem... a w oczach tej podłej duszy błyskał zielony ogień żmiji... padalca... gadziny.

— Nie mam pieniędzy, — rzekłem sucho, prosto patrząc mu w oczy. Od pana dostałem dwadzieścia reńskich, swoich mam...

— Mniejsza z tem, to ja dam pieniędzy. Tu nie o pieniądze chodzi. Zaforszuszuję z chęcią tych kilkadziesiąt reńskich, wszak to tylko na kilka dni. Bo wie pan, jaki mam plan? Proszę pana, ja mam w Krakowie najmniej sto rodzin znajomych, otóż każdemu wpakuję pański „Marsz żałobny“ za guldena. Chcesz nie chcesz, umiesz grać czy nie umiesz, kupić musisz. Jak pan sądzi, ile może kosztować papier i litografia?

— Dokładnie nie wiem, bo wydawcy nie zdradzą tajemnicy, narzekając zawsze, że dużo kosztuje. Od nich prawdy nikt się nie dowie. Mniemam, że najwyżej pięćdziesiąt guldenów.

— Za ile egzemplarzy?

— Za tysiąc.

— Otóż rachunek gotowy. Ja wyłożę pięćdziesiąt guldenów, uzyskam ze sprzedaży Marsza sto, wręcę panu pięćdziesiąt na kuracyę i jeszcze będziesz pan miał dziewięćset egzemplarzy. A przecie trzeba liczyć i na to, że się po księgarniach i składach nut coś sprzeda...

— Dziękuję panu.

— A więc do czynu. Skoro tylko stanę w Krakowie, wejdę do pańskiego mieszkania, zabiorę manuskrypt i walę z nim do litografii. Czy dobrze?

— Doskonale. Wdzięczny panu będę.

— Z chęcią to czynię. Pan wie, że przepadam za sztuką. Ściany mego mieszkania obwieszono są obrazami, które kupowałem z biednej pensyi mojej. A nie ma u mnie rozkoszy, bo łapanie złodziei nie daje dochodów. Co do muzyki,

to nawet nie chcę mówić. Szaleję za nią. Wy muzycy mówicie, że Halka naszego Moniuszki nie jest operą?

— Nie umiał kontrapunktu.

— Panie, wierzaj mi! Gdyby Moniuszko żył, okrałbym żonę i dzieci, sprzedałbym buty i dałbym mu: idź i ucz się kontrapunktu. Zresztą nie ma o czem mówić. Halka i bez waszego kontrapunktu jest arcydziełem. Dyabli mi po kontrapunkcie. Na chorobę by się przydało, gdyby w Halce był kontrapunkt, a sensu nie było?

— Jest w tem trochę słuszności.

— Otóż tak drogi panie. Będziemy pana leczyć. Bóg wróci zdrowie i da panu wszystko dobre. Może się przejdziemy trochę? A, prawda pan nie może chodzić.

— Przejdę się z ochotą, byle nie daleko.

Przepędziliśmy dzień, mówiąc już o rzeczach obojętnych. Obiad zjedliśmy w zdrojowej restauracji, herbatę piliśmy na dole.

Pod wieczór komisarz wyjechał do Krynicy.

Przeżyłem straszliwe godziny. Wiem na pewno: policya szuka pieniędzy, śladów zbrodni szuka na linii Iwonicz—Rymanów—Sącz—Żegiestów—Krynica i Sącz—Szczawnica—Zakopane. Co do mej osoby nie ma pewności, ale ma podejrzenie, a Liszka robi w mojem mieszkaniu rewizję, szukając nibyto manuskryptu.

Śmieszne, zabawne — naprawdę śmieszne jest to, że Liszka odemnie chciał się czegoś wy-

się przez sośniaki i gąszcz świerkową, dech mi w piersiach zatyka, a strach łapie za gardło i dusi.

Gdy stanąłem naprzeciw wyboju, przeszła mi myśl przez głowę, że nie powinienem dać poznać po sobie, że mi coś na owym kamieniu lub jego zawartości zależy. Jeśli chłop ma pieniądze w rękach, toć gdybym się do ich umieszczenia tam przyznał, on dostałby nagrodę, ja zaś jako złodziej poszedłbym do kryminału. Hamując tedy głos, tamując me wzruszenie, wyszedłem wolnym krokiem z krzaków i wołam:

— Ojczy, a co wy tam robicie?

Chłop popatrzył na mnie z podełba podejrzliwie.

— A co wam do tego?

Nabrałem przekonania, że on wie o pieniądzach, że on je ukradł lub kraść zamierza.

— Jestem ciekawy, czy nie trujecie ryb, które ja tutaj lubię chwycić.

— To pan łapie ryby?

— Pstrągi.

— A kto to panu pozwolił? Ja jestem właścicielem rybołówstwa na Popradzie.

— Nie wiedziałem o tem. Jeśli szkodę zrobiłem, z chęcią wam zapłacę.

— Pan letnik?

— Letnik.

— No to panu powiem. Zakładam wędkę nocne. Pan wie, że gdy się na noc wężycz lub sznury zakłada, nie dobrze mieć świadków, bo

wstaną rano i sznury z rybami i węcierzem zabiorą.

— Ja kupię od was ryby, pokażcie mi jak się to zakłada.

Nie chodziło mi oczywiście wcale o to, jak się węcierze zakłada. Chciałem się upewnić, czy rzeczywiście góral zajmował się tam rybołówstwem.

— Pokażcie mi. Przecie ja wam ryb nie wykradnę, ani sznurów nie zabiorę.

— Pokażę.

— Przyjść tam do was przez Poprad?

— Nie. Ja przyjdę do pana.

Zabrał sznury, linki, saki i węcierze i przeszedł w bród przez Poprad.

— U nas, widzi pan, jak tylko podpatrzą, gdzie się węcierze na noc założyło, to zaraz ten lub ów złodziej wstanie przed wschodem słońca i wszystko z wody zabierze. No, ale pana się przecie nie boję. Chodźmy w górę. Założę dziś ze czterdziści sznurów, to się pan nauczy na nocną wędkę chwytać.

Szliśmy w górę wody, przystając co kilkadziesiąt kroków, aby wędkę założyć.

Na dwóch końcach grubego sznura przywiązało się ciężkie kamienie, na całą zaś długość przyczepiało się w równych odległościach cienkie szpagaty. Sznur miał wygląd grabi, na końcu zaś każdego ich zęba uciepiona była stalowa wędka. W konewce, którą rybak miał ze sobą, pływały we wodzie płotki, głowacze i ślize, przynęta dla

grubszej ryby. Nie brakło nawet kawałków mięsa i wątroby.

Góral przepuszczał przez skrzele rybki wędkę, uczepiając jej koniec o tylne pletwy przynęty. Gdy całe grabie obwieszane były żywą przynętą, rybak brał sznur z kamieniami i zanurzał w głąb wody. Linka zajmowała długą przestrzeń w poprzek Popradu, przyczepione zaś do wędek rybki, znalazłszy się w swym żywiole, szamotały się i rwały, nęcąc miotaniem się grubą rybę, mieszkającą w głębi wód.

— Tak wygląda nocna wędka.

— I łapią się na to ryby? Dużo?

— Jak czasem. Czasem, ile wędek tyle ryb, czasem zawisnie ogromny jelec lub brzana, zwykle jednak zaczepi się węgorz, najżarłoczniejsza z ryb. Węgorza inaczej nie dostanie tylko na nocną wędkę. Teraz pokażę panu więcierz Walec ze sieci, u dołu dno lejkowate, jak u butelki, w końcu lejka otwór. Wewnątrz rybka lub robak na drucie. Oto wszystko. To, jak jest, wrzuca się do wody. Ryba grubsza poczuje zdaleka robaka, zbliża się do więcierza, szuka otworu i szuka, nuchci i nuchci, aż wreszcie wynuchci. Gdy tam raz wlezie, już więcej nie wyjdzie, nie znajdzie otworu, którym do wnętrza weszła. Wie pan dlaczego?

— Dlaczego?

— Bo ryba jest złodziejem, przyszła do więcierza kraść. Każdy złodziej, proszę pana, ma sto sposobów ucieczki, sto sposobów ocalenia się, ale Bóg mu zaślepia oczy. On tak wszyst-

ko przemędrkuje, że sam wlezie w ręce sprawiedliwości.

— No, no, macie za fatygę koronę i bądźcie zdrowi.

— A ryb pan nie kupią?

— Ryb nie.

Ż e g i e s t ó w 9 sierpnia.

Odszedłem od rybaka, nie straciłem go jednak z oczów wcale. Mimo wszystkiego było mi mocno podejrzanem to jego na kamieniu przesiadywanie.

Słońce zaszło i chmara ciemni spadła na dolinę Popradu. Bujały one nad pienistą falą, tańczyły w kręgach szalonych, igrając nad szmaragdami wody. Z głębi fal jęły w powietrze skakać pstrągi, łapiąc w lot marny owad. Z dalekich łąk dolatywał głos derkaczy, wpadając w ucho razem z harmonią komarów, z buczeniem w sierpniu zjawiających się w górach czerwczyków.

Sledziłem aż do końca rybaka, chcąc się przekonać, czy nie wraca on na fatalny kamień. Z za świerków i wierzb pilnowałem go nieustannie, aż mrok nocy zasłonił go przed oczyma. Gdy ciemność nie dozwoliła mi już widzieć go zdaleka, zbliżyłem się do miejsca, gdzie on swe sznury nocne zakładał. Przebrnąłem gąszcz olch, przeszedłem urwiska skał, czepiając się świerczyn i jałowców, a gdy wreszcie stanąłem na miejscu, na całej jasnej wstędze Popradu, nie było już nikogo.

Żegiestów 10 sierpnia.

Nocy, och nocy! Nocy, która nasuwasz straszną myśl, że w grobie czucie nas nie opuści... Nocy, która płodzisz okropne marzenia nawet w głowach uczciwych ludzi.. O przekłeta nocy!

Gdy wczoraj zaświeciłem lampę, chwycił mię śmiech na myśl, że dziś, zapewne od wczoraj, przedwczoraj i od tygodnia grasuje policya po Krakowie, Lwowie, Warszawie, szukając złodzieja, który skradł czy znalazł portfel z pieniędzmi. Policya rozumuje, że złodziej uciekł z banknotami w świat daleki, że drapie do Rumunii, Ameryki, może Australii. Na pewno są już dziś depesze w Hawrze, Hamburgu i Bremie, ścigające portfel i jego posiadacza. Policya nowojorska czeka na statki, na których jedzie domniemany złodziej. Ha! Ha!

Śmiech nie trwał długo.

Przyszła mi myśl, że za mnie siedzi w więzieniu śledczem kilku niewinnych ludzi, podejrzanych o kradzież.. Jest to zupełnie możliwem, a myśl o tej możliwości we wściekłe zwierzę mię zamienia. Zdecydowany jestem na wszelkie konsekwencye, ale tej nie chcę..

Chciałem zaspać straszną zmoreę, zamknąłem oczy, gdy...

Przecież nie przekonałem się o tem, że pieniądze leżą w całości wśród kamieni. Góral pieniądze zabrał i drwił ze mnie w żywe oczy, tumaniąc swym wykładem teoryi łapania ryb na sznury i więcierz.

Zerwałem się z łóżka na równe nogi, wdziałem ubranie i bez namysłu poszedłem w drogę. Do ręki wziąłem kostur i linę, (kupiłem ją, aby przy jej pomocy schodzić z urwiska, pod którym skarb leży, góralowi zaś, u którego mieszkam, powiedziałem, że potrzebna mi ona do przywiązania się do sosny lub kamienia, abym kąpiąc się nie utonął).

Północ minęła, gdy wyszedłem z domu. Niebo zasiane było rojem gwiazd, księżyc świecił w pełni. Srebrzył się w kaskadach Popradu, błyszczącym konturem rysował szczyty gór urwisk i lasów. Pędem pobiegłem do kniei, choć straszna jakaś trwoga za serce chwyciła. Las w nocy mówi tajemniczym językiem... mówi...

Brodząc w paprociach, przeuszierając się przez jałowce i krzaki, biegłem wprost do celu. Stałem wreszcie.

W minutę byłem na samorodach. Na około nie widać żywej duszy. Pustka i cisza. Odwaliłem najmniejszy kamień i z biciem serca sięgnąłem ręką w głąb wyboju. Jest blaszana puszka — jest. Otwarłem ją dla wszelkiej pewności a w blaskach księżycy zobaczyłem zwój banknotów nienaruszony, mieniący się wspaniałemi barwami tęczy.

W kilka chwil zwałem kamień na nowo. Obawy moje były próżne. Jeszcze rąk nie oderwałem od kamieni, gdy...

Rany Zbawiciela, ratujcie mnie! Ratujcie!.. Rozprysły się srebrem tonie Popradu, pękła fala, w której borykało się straszne jakieś stwo-

rzenie, rzucając się na prawo i na lewo. Z szybkością strzały przelatywało po toni strumienia, miotając się we wodzie, bałwaniącej się z hukiem. Łomot fal, głuche chlapanie się wody huczy na dziesięciu miejscach naraz, a we mnie krew się ścina ze strachu, mrówki ogniem chodzą po ciele z trwogi.. Szatan, Szatan...

Skacze z fali, skacze prosto na mnie, snuje się po kamieniach do moich nóg, potwór... jakaś szatańska postać.

O!

Nie pojmuję, że mi życia starczyło na rozpoznanie, że to...

Ha, ha, ha!

Wielka wydra szamotała się po wodzie z potężną jakąś rybą. zmoęła ją, wypadła na brzeg prosto na mnie.. Nie poznałbym w ciemności jej ale poznałem srebrzystą szamocącą się w jej pysku rybę, która blaskami księżyca, perlącemi się w jej łuskach, migotała.

Nie wielkie zwierzę wyrosło w grozie strachu na szatana...

Wydra strzeliła jak piorun w krzaki, woda tylko chwije się i łopoce, objając się o kamienie.

Wyskoczyłem na brzeg i poszedłem szybko ku polanie.

Przystanąłem mimowoli.

Księżyc świecił pełnym swym blaskiem na wysokie trawy łąki, srebrzył się na liściach olch, całował leśne dzwonki, które niebieskie we dnie

jaśniały teraz czarownym nieziemskim jakimś lazurem.

Tylko w tęczy znajdziesz taką barwę, taką barwę muszą mieć skrzydła świętych aniołów...

Fantastycznie rozrzucone kępy paproci okryły krople rosy, a z każdej perły patrzy na ciebie, odbijająca się ognikiem brylantu, srebrna twarz księżycy.

Chwieją się rokosznie girlandy ożyn, a jałowce i sosny szlą odurzający zapach lasu. Na kwiatach macierzanek zawisają ćmy nocne, kołyszą się nad ziemią, drżąc i trzepocąc srebrzystymi skrzydłami.

Boże, mój Boże! co się działo w duszy mej... dawniej...

Dawniej...

Czy ty pojmujesz to, zjadaczu chleba, że jaskier polny jest pieśnią, że gra obłoków ma swą melodyę, że liść, spadający w jesieni z drzewa, śpiewa straszną nutę żałoby okropnym akordem rozpacz, żalu, bólu, śmierci...

Czyś słyszał, co mówi matka ziemia, gdy ucho doń przyłożysz? Czy słyszysz, co dąb odwieczny opowiada, o czym śpiewa ranna rosa?

Ja wiem. Ja słyszałem. Noce mi śpiewały melodyę miłości. Lato mi śpiewało wielki hymn o potędze Boga. Konwalia leśna miała inny ton, bławatek inny, a inny polna róża...

Co się stało, że dziś to umarło...

Od kilku, kilkunastu dni pół duszy umarło. Jużci ten rokoszny las mówi do duszy, ależ bo te czary przemówić muszą nawet do ostatniego

zapitego mieszczucha, do bankiera, te cuda boże nawet dzikie zwierzę by poruszyły...

Melodya uciekła z mojej duszy... nie masz jej... Boże zlituj się nademną..

A jednak ja pieniędzy oddać nie mogę. Porównywan stan dzisiejszy duszy mojej z nastrojem, jaki był dwa tygodnie temu. Dziś mi lepiej... O lepiej...

Mam zmarnieć bez pieniędzy, to wolę zmarnieć z pieniędzmi.

Opuściłem las, gdy dniało. Musiałem zaglądnąć, gdy rybak wyciągnie wędki założone obok mojego kamienia. Na wszelki wypadek...

Obszedłem las dookoła, zbudziłem przewoźnika w Żegiestowie i przepłynąłem Poprad, okrążywszy krzaki zagrządzające drogę do urwiska, które na tle świerczyny i olszyn bielą.

Nie było nikogo

Jutrznia zaranna zagasła już na niebie i pierwsze różowe promienie słońca rozpierzchły się po świecie. Rosa leżała prochem na trawach, jałowcach i rokosznem kwieciu.

Blaskiem złotego nieba jaśniał Poprad, czysty jak kryształ, czysty jak łza. Zieleń lasów odbijała się we wodzie i wpadała w oczy ludzkie prześliczną barwą szmaragdu.

Rybak się nie zjawiał.

— A gdybym ja założony sznur sam wyciągnął? Wyręczę chłopca i pozbędę się raz zmo-ry, że on przy moim kamieniu będzie coś my-

szkował. Zrzuciłem ubranie i skoczyłem do wody. Łatwo znalazłem końce sznura obciążone kamieniami, odwiązałem je i zacząłem cały szereg wędek ciągnąć na wierzch. Z początku szło łatwo, bo pierwsze sznurki były puste. Gdym ciągnął środek, lina zaczęła stawiać mi silny, gwałtowny niemal opór.

Na środku wody kotłuje coś okropnie, szasta się, rzuca i szamoce, stawiając całą siłą opór mej ręce. Dużej musiałem użyć siły, aby wywlec linę na brzeg.

Na sznurku wisiała ogromna srebrna ryba, a obok niej widać było coś nakształt grubego węża o barwie ciemno-zielonego aksamitu. Był to węgorz. Zatem zdobycz w postaci dwóch pięknych ryb.

Wyniosłem je na brzeg, złożyłem na piasku i ubrałem się szybko, chłód bowiem wody i powietrza był nie do wytrzymania.

Na piasku rzucały się biedne stworzenia, stawiając koziolki i strzelając pletwami, plezły się w kierunku wody. Ryba wywleczona na brzeg wie, gdzie jest woda i stara się wszelkimi siłami dostać do rodzinnego żywiołu. .

Widok był poprostu wstrętny.

W paszczach ryb tkwił ohydny hak żelazny, przebijając je na wskrós. Zwierzęta broczyły krwią... Snać całą noc szarpały się, rozdzierając swe rany, a krew ich spływała z wodą... Obrzydliwy proceder, ohydne znęcanie się nad stworzeniem bożem...

Otóż to jest objaw głupoty, mazgajstwa i miękkości mojej. Oto dwa naraz takie objawy.

To samo mazgajstwo, które każe mi litować się nad rybą, każe mi także płakać i lamentować nad faktem, że pieniądze znalezione nie są moją własnością. Czysta głupota i tchórzostwo. Jestem istotą niezdolną do walki o byt. Z mojemu przekonaniem, z moim liryzmem muszę poledz w tej okropnej walce, bo słabszy zawsze zginąć musi.

Otóż nie zginę.

Ryba jest na to, aby swą męką i śmiercią służyła człowiekowi za żer. Musi zdechnąć, bo jest słabszą. Gdy ryby będą mocniejsze, to one jeść będą ludzi, bo będą mocniejsze.

Ohydna, wstrętne komedia życia ludzkiego.

W pałacu swym siedzi właścicielka ferm rentownych i wzdycha: „nie mogę patrzeć, jak zabijają karpia, jak kawałki poszarpanej ryby skaczą, nie mogę ścierpieć krzywdy ludzi i zwierząt.“ Równocześnie za marną jakąś kradzież lasową licytuje nędzarza, sprzedając mu dobytek poniżej ceny szacunkowej. Ta sama właścicielka je w obiad rybę, kupioną z krwawych dochodów. Dla niej mordowano karpia, dla niej rujnowano chłopa...

Ona popełniła pośrednio dwie okropne zbrodnie, nad którymi płacze...

Tak bezczelnie kłamać potrafią tylko ludzie zdolni do walki o byt... Ja mazgaj odniósłbym wręcz do siebie winę i zbrodnię.

Trzeba się oblec w inną skórę. Wyzuć się z głupiej filozofii i marzycielstwa.

Pieniędzy nie oddam.

Chłop podziękował mi za wydobycie sznurka. Ma kosz krwawy pełen ryb.

O skarbie nic nie wie...

Kupiłem od niego węgorza. Wił się mi w rękach. Rzuciłem go na pożarcie kundlom, pilnującym bydła. Rozlargały go w mych oczach. Sprawili mi to radość i rozkosz.

Zegiestów 11 sierpnia.

Zaprzestałem prowadzenia w mej chałupie kuchni. Jadam w restauracyi kurhauzu.

Jestem o wiele spokojniejszy. Gdy ściśle zanalizuję zajście moje z komisarzem, przychodzę do wniosku, że strach mój był całkiem niepotrzebny i że w tym wypadku miał rzeczywiście wielkie oczy. Jak ja mogłem przypuszczać, że policya daje na nakład mojego żalobnego marsza. Przecież to sensu nie ma. Komisarz chce mi pomóc w dobrej wierze.

Że on w Żegiestowie, Krynicy i indziej był w sprawie zgubionego portfelu, to nie ulega wątpliwości. Fakt zaś, że i mnie stawiał podrywkowe pytania, nie znaczy nic. Bo policyjanci w całej ludzkości widzą złodziei, a Liszka każdemu zapewne znajomemu stawia podobne pytania, bo... a nuż to złodziej.

Żegiestów 14 sierpnia.

Od trzech dni leje jak z cebra. Świata bożego nie widać. W domu nie ma co robić, a w tym żegiestowskim wąwozie urwać się można. Siedzę całymi dniami na werandzie cukierni i czytam gazety.

W mojej sprawie w gazetach nic nie ma. Zakazano pewnie pisać, aby ułatwić śledztwo...

Przyszedł kelner i powiada:

— Poprad wzbiera. Warto się przypatrzeć proszę państwa jak wylał.

— Jakto wylał.

— Wystąpił z brzegów, zalał pola, wdziera się ku stacyi...

Zerwałem się na równe nogi i piorunem zbiegłem na dół wąwozu. Ogromna woda. Szaro-żółta masa płynie szeroko, spokojna, cicha, straszna.

Przewoźnik stał przy łódce, wyciągniętej na ląd.

— Przewieźcie mnie na drugą stronę.

— Czy mnie życie mierzi? Nie widzi pan, co się dzieje. Toć pewna śmierć teraz Popradem płynąć.

Pot wystąpił mi na czoło. Przecie ja muszę widzieć, co się tam... dzieje. Trzeba iść na dalsze drogi lasem. Kamieńca nie widać tak dobrze z upłazu góry, ale przecie coś widać.

Przestraszony i zaniepokojony wpadłem do lasu. Nie wiem, czy pięć minut upłynęło, gdy byłem już na miejscu.

O!!

Ani śladu kamienia! Ani śladu miejsca, gdzie był dawniej kamień. Woda, woda i woda. Rozpasany żywioł płynie pełnem korytem, podmulając ziemię, podrywając korzenie sosen i jodeł, które zwałone z wodą płyną. Nie szumi już. Poprad kaskadami, nie perli się woda na prą-

dach. Jakaś straszna żółta masa płynie na dół cicho, milcząco...

Przecie mojego straszliwego głazu chyba nie zabrało. Nikt nie jest w stanie poruszyć tej bryły. Poniżej pod upłazem góry zobaczyłem kilku goralich ze sieciami. Zbliżyłem się do nich tembardziej, że od nich lepszy był widok na urwisko.

— Co wy ludzie robicie?

— Łapiemy ryby. Gdy woda wielka, to wszystko, co w niej żyje, idzie do brzegu. Najłatwiej wtedy na podrywkę coś złapać.

— Dlaczego ryby do brzegu się zbliżają?

— Bo woda ciężkie kamienie toczy. Niesie granity z Tatr i wlecze je na dół, na dół i na dół. Toć pan widzi, że im dalej od źródła, to kamienie mniejsze i okrągłejsze. Pod Tarnowem już kamyki a niżej piasek. To toczony przez wodę kamień tak maleje. Jak się ryba dostanie pod kamień, to przepadła. Zresztą straszy ryby huk toczących się gładów i żwiru. Posłuchaj pan.

W głębi wód w istocie od czasu do czasu dał się słyszeć łomot głuchy.

— Czy wylew zmienia łożysko rzeki?

— Prawie zawsze.

— A może Poprad poruszyć taki ciężki ogromny samoród?

— Czemu nie? Widzi pan tamten gład, na brzegu pod lasem? On za mojej już pamięci był w górze rzeki na środku Popradu.

Więcej nic nie chciałem wiedzieć.

Wszystko stracone.

Patrzyłem niemy na straszny żywioł walący się z góry. Wysoko przy wylocie tunelu ujrzałem świerka z korzeniami, niesionego przez wodę. Cicho sunął się ku nam. Przyplął pod urwisko i zatrzymał się na miejscu, gdzie był mój kamień. Woda skręciła raz i drugi. Korona jego schowała się do wody, z której zwolna wyruszały się korzenie, szły w górę, w górę i znów one zapadły w wodę i znów z łona wody wyszła na wierzch zielona drzewa korona. Zakręcił się wreszcie i popłynął dalej.

Setki pniaków drewnianych, łupiek opalonych, desek z tartaku, kołysało się na falach, płynąc w dół.

Nagle usłyszałem straszny krzyk ludzki.

— Człowiek płynie, człowiek.

Na środku rzeki była szara masa, po białej koszuli łatwo można było rozeznaczyć, że to ludzka istota. I on obrócił się pod urwiskiem i jego jak świerk uniosła na dół woda. Nie mogłem patrzeć na to, co się dzieje, na to, co się stało... W głowie mi się pali... Gorączka straszliwa...

Ledwo dowlokłem się do domu.

Że jestó w 17 sierpnia.

Gdym oczy otworzył, zobaczyłem nad sobą schyłego zdrojowego lekarza.

— Dobrze już, ale spokoju dni kilka.

— Co się ze mną dzieje?

— Alboż ja wiem? Tyfus? nie! Malarya? nie! Zapalenie kiszek? nie! Silna gorączka na czterdzieści jeden stopni i koniec.

— Co mam robić?

— Leżeć, a jeżeli przyjdzie ochota, jeść. Rosół, bulion, miękie jaja, trochę koniaku.

— Wyjść nie można?

— To jutro panu dopiero powiem. Zajrzę rano.

— Będę bardzo wdzięczny.

Gdy wyszedł doktor, pot wystąpił na mnie zimny.

Wszak manuskrypt, w którym piszę me wspomnienia, leży na stole i każdy, ktoby tylko zajrzał do niego, dowie się o wszystkim. Co za głupota było to pisać, co za głupota zostawiać na widocznym miejscu. Od dwudziestego roku życia piszę ciągle me wspomnienia. Po co? Sam nie wiem. Nie przestałem ich nawet pisać wtedy, gdy...

Zwlokłem się z łóżka i spojrzałem na stół.

Chwała Bogu! Teka zamknięta na kluczyk, a kluczyk z drobną monetą pod poduszką. Chwała Bogu.

Był dzień prześliczny, słoneczny. Ubrałem się w letni paltot i wyszedłem przed dom. Promienie słońka grzały mnie siedzącego na ławie, czułem, że zdrowie mi wraca, że zdrowie w me ciało śle to złote słońce.

Żegiestów 18 sierpnia

Doktor rano zastał mnie już ubranego. Chodziłem o własnej mocy. Zbadał mię i stwierdził, że choć nic groźnego niema, to przecież serce nie jest zbyt w porządku.

— Może być, że dzieje się to skutkiem przebytej gorączki i że ustąpi. Gdyby nie ustąpiło, to

trzeba się będzie szanować. Nie forsuj się pan przedewszystkiem. Unikać wzruszeń. Dziś jeszcze zostań pan w domu.

W pół godziny po wyjściu lekarza byłem już w drodze.

Wszystko mnie tam ciągnęło... wszystko... Bo zostać złodziejem, a nie być właścicielem skradzionej rzeczy, jestto szczytem ironii losu. Jestto złe dla zła, tak jak jest sztuka dla sztuki.

Poprad opadł.

Kamień jest. Wszystko pokryte białym namulem, który w promieniach słońca spękał. Tak spowił ilastym całunem wszystko, że małego kamienia odwalić nie byłem w stanie.

Sośniakiem podważyłem.

Pieniądze przemokły.

Usiadłem na kamieniu w żarze piekącego słońca. Kilka razy obejrzałem się, czy ktoś mnie nie widzi. Nie było nikogo.

Rozciągnąłem tęczowe banknoty, susząc je. Śmiały się ich rozkoszne barwy do mnie, jak śmieje się łąka czerwcową, strojna kwiatem. Owinąłem je potem w manuskrypt, opisujący dnię od początku sierpnia i schowałem to wszystko tam, pod głazy. Tam im dobrze. Odtąd każda ćwiartka mej pisaniny spocznie pod kamieniem.

Bo gdyby...

Żegiestów 19 sierpnia.

O własnej sile poszedłem do kurhausu na obiad.

Doktor nie chciał wziąć odemnie zapłaty.

— Niech inni płacą, nie wy, artyści. Sztuka jest wrogiem pieniędzy, to też pieniądze są wrogiem sztuki. Zazdroszczę wam, wy bogaci duchem, i mam szacunek dla każdego talentu, który jest iskrą z nieba zesłaną. Wszak pan więcej takich kołysanek napisze jak ta, która nas w inny, piękniejszy świat przeniosła.

O ile dawniej słowa takie były mi tarczą przed zniechęceniem, parą, która poruszała motor mej duszy, o tyle dziś..

Wydawało mi się po prostu, że mnie lekarz po twarzy bije, że mnie policzkuje i plwa w moje oczy..

Ż e g i e s t ó w 19. sierpnia.

Szałeństwo się mej głowy czepia — szałeństwo.

Szałeństwo huraganem huczy po mej głowie, targa me myśli, płacze je i miesza. W mózgu grają wichry nieszczęścia, osaczył mnie splot sideł szatańskich, z których nie ma ratunku i wyjścia. W przeklętej muzyce mej duszy, nie ma nic z tragedyi wysnutej z ludzkiego ducha, strasznej lecz pięknej, łzawej lecz posągowej; dramat, który się we mnie rozgrywa, ma piętno zbrodni, zapach kanału; nie konam wzniośle jak król Lir, nie idę pod topór posągowo jak Marya Stuart, ale idę pod szubienicę jak zbrodniarz, którego gardło, ściśnięte sznurem, nadaje twarzy wszystkie barwy trupiej zgnilizny.

Portfel się znalazł.

Dziś, gdy siedziałem przed domem zbliżył się do mnie wójt i pyta:

— Nie ukradziono panu pieniędzy? —

— Nie.

— Ładna rzecz się w Żegiestowie stała!

— Cóż się stało?

— Patrz pan.

Pokazał mi portfel przemoczony i długi kawał przesiąkniętego wodą sznura.

— Morderstwo, rabunek, a co najmniej kradzież wielka.

Dławił mnie oddech, zapytałem jednak, dusząc się:

— Gdzieście to znaleźli?

— Chłopi znaleźli na kamieniu. Było snąć wrzucone na odmęt, kilkanaście kroków wyżej, nawała wody pchnęła kamień i zesunęła ku brzegowi

— To nie koniecznie musi być zbrodnią...

— A pocóżby kto pugilares do kamienia przywiązywał. Widocznie zrobił to jakiś złodziej. Pieniądze zabrał a pugilares wyrzucił.

— Było co w środku?

— Papiery, które rozmoknięte zaraz się rozlazły.

— Cóż z tem zrobicie?

— Pojutrze pojedę do Sącza meldować żandarmerji. Powiedz pan sam, że zrobić to mógł tylko jakiś złodziej.

— Zł. . . .

Jadę z Żegiestowa, jadę.

To okropne, co się ze mną dzieje. Duszno mi wśród tych gór, oddechu brak.

Śledzstwo, które prowadzą w połowie zapewne Europy, pojutrze przenosi się do Żegiestowa.

Wiem, że się nie wyratuję, a jednak ratować się muszę.

Ż e g i e s t ó w 19 sierpnia.

Nadałem na kolej rzeczy. Banknoty wydobylem. Manuskrypt włożyłem w kufer między bieliznę. Pieniądzy zabrać ze sobą nie mogę. Gdyby... Pieniądże wyślę pocztą pod swoim adresem krakowskim.

Ż e g i e s t ó w 19 sierpnia.

Jakiś kryminalista napisał, że zbrodniarz, o ile znakomicie obmyśli wszystko aż do popełnienia zbrodni, o tyle potem wszystko czyni, aby policji pościg ułatwić.

Jest to prawda. Nadać pieniądze pocztą! Toć w Sączu, Krakowie czekają już na taki list od dwóch przeszło tygodni. Toż policya każdy list pieniężny ogląda czy tam nie ma... Gdy przyjdzie do Krakowa pod moim adresem wielka suma, doniosą policji, tem bardziej, że, jak wiem od Liszki, fiakrzy, listonosze, a nawet i ekspresci czasem są do pościgu powołani.

Sensu nie ma. Sam oddałbym się w ręce policji.

Ż e g i e s t ó w 20 sierpnia.

Za list polecony nie gwarantuje państwo. Może wszystko z niego zginąć, byleby kopertę w dobrym stanie doręczono. Poczcie wolno kontrolować, czy w listach nie ma pieniędzy.

A przecież ze sobą brać tych pieniędzy nie mogę!

Przychodzą mi do głowy coraz głupsze pomysły. Nadać je w zwykłym, zupełnie zwyczajnym liście.. Jechać końmi a pieniądze zapakować do wnętrza wydrażonej literki... Tak i całą wieś wezwać, żeby dziurę w literce wierciła... Objaśnić właściciela wozu, po co się tam wierci otwór... Głupoto moja, oj! głupoto!

Ż e g i e s t ó w 20 sierpnia

Dziś jadę. W przepaść. Pieniądze biorę ze sobą. Postanowiłem na wypadek, gdyby mnie przytrzymano w Sączu lub Tarnowie, powiedzieć wręcz: „Wiozę pieniądze, aby je oddać policji. Znalazłem, a nie mając żandarmeryi pod ręką, postanowiłem je oddać w ręce przyjacielowi memu Liszce i zażądać należnego mi wynagrodzenia za znaleźne.“ Jadę.

K r a k ó w 21 sierpnia.

Nie potrafię opisać stanu, w jakim przejechałem przez Sącz, Tarnów i Kraków.

Jechał w wagonie trup. Bez czucia, bez duszy.

W nocy, na dworcu świeciło się mnóstwo latarni, a mnie się zdawało, że w Krakowie na peronie miliard gwiazd świeci, że jadę w otchłań ogniową, w której spalić się muszę. O! Wolalbym, żeby mnie wzięli... Żeby przyszedł był do mnie żandarm i rzekł: „Chodź złodzieju.“ Byłbym mu sam podał ręce do kajdan: „Weź mnie, już będzie spokój.“

K r a k ó w 22 sierpnia.

Policya mnie śledzi. Widocznie mnie śledzi. Przyjechałem o 10 wieczorem, a o 10 rano zjawił się u mnie pośnianiec z listem, na którym było napisane: „wewnątrz 116 koron“. W liście były rzeczywiście nieniadze i bilet: „Nie mogę przyjść. Sprzedałem sto Marszów. Nakład kosztował 42 guldeny. Oto reszta: pięćdziesiąt ośm. Sciskam pańską dłoń. Konstanty Liszka“.

Zatem policya wie już o moim przyjeździe. Śledzi mnie, oczywiście śledzi.

Godzina nie upłynęła, gdy ekspresi wnieśli do mego mieszkania pakę, w której było tysiąc dziewięćset Marszów, reszta nakładu...

O gdyby mój Marsz mógł towarzyszyć do grobu wszystkim szpiegom policyjnym.

K r a k ó w 23 sierpnia.

Już nic nie jest w stanie mnie przerazić, już nic nie jest w stanie nabawić mnie strachu. Kapitał życia się wyczerpie, kapitał młodości się wyczerpie, toć i kapitał strachu zbankrutować i wygasnąć musi. Śmiechem litości powitałem myśl, że mój kufer wraz z manuskryptem znajduje się już zapewne w rękach policyi. Jeśli mnie śledzą — to śledzą i mój kufer. Wydobyli manuskrypt, czytają go i wiedzą o wszystkim...

K r a k ó w 24 sierpnia.

Kufer dziś przyszedł i manuskrypty mam w rękę. Pakunku nigdzie nie rewidowano, kartka bowiem kolejowa z drukowanym napisem „Zegiestów przystanek“, przyklepiona na szparze, gdzie się wieko styka z dołem pudła, jest nienaruszona.

Stwierdziłem to z prawdziwą radością. Kartkę tę przyklepiono w mej obecności. Gdyby kto kufer był otwierał, musiałby kartkę przedrzeć. Fakt, że kufer mój bez policyjnej rewizyi wolno puszczone, dowodzi, że choć śledztwo wdrożono i przeciw mnie, to policya co do mej osoby nie ma żadnej pewności ani żadnego dowodu. Że zaś śledztwo dotyczy i mnie, dowodzą te szatańskie słowa Liszki: „Ja wiem, że pan ma pieniądze“... Chciał mię chwycić za słówko.

K r a k ó w 24 sierpnia.

W domu mojego ojca mieszkał odlewacz modeli gipsowych, od którego nauczyłem się manipulacyi gipsem. Kupiłem alabastrowego gipsu, schowałem grube banknoty i manuskrypt do pustego wewnątrz biustu Chopina i zalałem otwór gipsem. Zrobiłem to tak dobrze, że nikt, wzięwszy biust do ręki, nie przypuści nawet, aby w środku mogło się co mieścić. Cała podstawa, zalana gipsem, stanowi jedną wielką całość. Biust nie wielki, nie zwraca nawet wśród Wagnera i Gounoda żadnej uwagi. Nieco bielszy nowy gips zasmarowałem miałem węgla. Nikt nie pozna, że to nowo zalane.

Lekcyi zatrzymałem ledwie dwie — i to tylko dla oka. Wymówiłem się zdrowiem.

Dziś zmieniłem w kantorze trochę drobnych rubli.

K r a k ó w 25 sierpnia.

Rano spotkał mnie Liszka. Dobroć i łaska tej żmiji do wściekłości mnie doprowadza. Pod

pretekstem sprzedaży mej kompozycyi, stara się być ze mną w styczności, aby mnie mieć na oku.

Mówi mi tak:

— Panu odpadły, jak wiem, lekcye, ale będziemy radzić. Teraz śledzę zbója, który ukradł z biurka hrabiego Ostoi biżuteryi za dwadzieścia tysięcy. Jestem na tropie, co zaś najlepsze, to to, że wszystko zwrócone zostanie poszkodowanemu. W tej chwili jestem już tego pewny. Otóż gdy złapię łotra i kosztowności, musi hrabia kupić najmniej dziesięć marszów. Ja śledzę ustawicznie, ja ocalę prywatną moją gorliwością jego dobro, on musi Marszy kupić. Gdyby nie chciał, powiem mu: chodziłem nocami z twą sprawą, a więc: dawaj. Albo wie pan co? Zażądam, żeby kupił dwadzieścia odrazu. Potargujemy się i staniemy na piętnastu. Odesłałem panu nakład przedwczesnie, przyslij mi pan ze czterdzieści sztuk. Mam przecie takich, którzy kompozycyi pańskiej nie mają. Nie ma jej szlachcic z Rudej woli...

— Ależ on nie gra i nie ma wcale fortepianu.

— To niech na żarnach tego marsza wygra. Mnie to wszystko jedno. No bądź pan zdrów. Lecę za zbrodniarzem.

— Lec! Złam kark.

K r a k ó w 25 sierpnia.

On wie, że odpadły lekcye. On wie! On wszystko wiedzieć musi, a skoro wie, to musiał się starać o to, żeby się dowiedzieć. Zatem śle-

dzi mnie. Ale ty, bracie, nic na pewno nie wiesz i — nie będziesz wiedzieć.

Siły wróciły mi z powrotem i ogromną energię czuję w sobie. Dziwna ludzka natura. Ustrój naszej duszy faluje jak morze: otucha niknie i rośnie i znowu niknie. W Krakowie dusza jakoś we mnie wstąpiła, energia wzmacnia się z każdym dniem.

O komponowaniu oczywiście mowy nie ma. Odkładam to na czas, gdy się wszystko uspokoi, gdy ludzie zapomną, gdy przede wszystkim ja zapomnę... Kupię ogród na wsi, zasieję kwiatów, sprowadzę fortepian... Dziś w duszy nic nie ma. Absolutnie nic, pustka. Pustka, jeśli tem imieniem można nazwać zdolność do walki o byt — energię. Energię mam w duszy, męską myśl i siłę do walki. Przestałem myśleć nerwami i kieruję się zdrowym chłopskim rozumem.

Los oddał mi w rękę majątek i wdrzeć się potrafiłem do kasty ludzi posiadających. Mówię wyraźnie kasty — bo to frazes z romansu, że wolno chłopu zostać ministrem, a ministrowi chłopem. Wolno w teorii. W rzeczywistości wszystko jest dziedzicznym: ziemia, kapitał, urząd. Syn urzędnika zostaje urzędnikiem, chyba, że uda mu się wdrzeć do klasy kapitalistycznej. On musi pozostać w kaście, z której wyszedł, lub skoczyć do wyższej. Choćby nie miał za grosz talentu, to rodzice jego i stosunki nie dadzą zepchnąć go do proletariatu.

Gotówbym się na to zgodzić, że są tylko dwie kasty, posiadająca i nieposiadająca, gotów jestem stwierdzić nawet i to, że wśród szeregu klas kasty posiadającej przejście z jednej klasy do drugiej jest możliwem. Natomiast stanowczo twierdzę, że z kasty bezdomnej przejście do kasty posiadającej jest bezwarunkowo wykluczonem.

Obrzydliwy zaiste faryzeizm! Panująca klasa mówi do proletaryusza: możesz dziecko dać do szkoły, wolno dziecku twemu osiąść najwyższy urząd, a oni sami ustanawiają takie czesne, wpisowe do gimnazjum, jakiego proletaryusz za dziecko zapłacić nie jest w stanie.

Paradne są dzienniki klas panujących. W piorunujących artykułach uderzają na wodzów demokracji, przekonując swych czytelników o przewrotności i bałamuctwie demagogów. Kogo redakcja stara się przekonać? Juści nie tłum, który dziennika zachowawczego wcale nie czyta, tylko prenumeratorów, którzy są tego samego zdania co redakcja. Gdyby rzecz nie była omawiana w dzienniku, ale np. w cukierni, gdyby redaktor i prenumeratorowie zeszli się w zamkniętem kółku i tam redaktor chciał swoje poglądy wyjawic, ozwałyby się niewątpliwie głosy: Ależ my to wiemy, nudne, dosyć!

Złamałem żelazne zapory, które mi wstęp do klasy panującej zamykały. Czy zrobiłem to mocą uczciwą i drogą uczciwą? Jeśli nieuczciwą, to twierdzę, że ogromna część klasy posiadającej tą samą drogą do posiadania doszła.

Moje pieniądze są czystsze, niż akcyonaryusza kolei, którego walory poszły w górę skutkiem oszczędności na personalu, — którego zwyżkę dochodów obryzgała ludzka krew przy katastrofie kolejowej. Moje pieniądze są czystsze, niż właściciela kopalni węgla, który wskutek niedostatecznego zabezpieczenia zabił kilkuset robotników przy wybuchu.

Czystsze. Przynajmniej krwi ludzkiej na nich nie ma.

Dziś nikt nie pyta o pochodzenie pieniędzy. Uznaje tylko fakt posiadania i oddaje cześć temu, kto je posiada.

K r a k ó w 26 sierpnia.

Banknoty na tysiąc reńskich trzeba zmienić. Posiadanie drobnych pieniędzy nie zwraca uwagi niczyjej. Gdyby ktoś u mnie zobaczył taki ogromny banknot, posypałyby się pytania, skąd go wzięłem.

Straszmem w istocie byłoby dla mnie pytanie: skąd wzięłeś tysiąc reńskich? Parsknę mi śmiechem każdy w oczy, gdy powiem: z udzielania lekcyi. Zatem skąd? Od wydawców za nuty? Ależ to niemożliwe. Odziedziczyłeś? Po kim? Okropne zaiste jest, gdy złodzieja zapyta sędziego śledczy: powiedz, skąd wzięłeś ten banknot, kto wręczył ci ten banknot, kto fizycznie dał ci w rękę ten banknot?

Skłamać, że ten lub ów pan w Wiedniu, Warszawie, Lwowie? Ale oni w kilku godzinach telegraficznie dojdą prawdy. Nie ma po prostu wyjścia.

Trzeba je zmienić.

Już drugi raz niepokoi mnie mój jedyny powiernik, pamiętnik, który piszę. Przecież taką kartkę może ktoś znaleźć u mnie... Nie mogę się jednak rozstać z moim przyjacielem. Od dwudziestu lat piszę autobiografię moją, nie chcę więc i teraz w tak strasznych warunkach jej przerywać.

Na starość będę mieć znakomitą lekturę. Ta obawa o pamiętnik jest strachem hypochondrycznym. Jeśli bowiem mnie złapią, pieniądze znajdą, to niechże sobie łapią już i pamiętnik. Wtedy mi wszystko jedno.

Piszę więc dalej.

K r a k ó w 27 sierpnia.

Nie zapisuję nawet tego, że o zgubie zegiestowskiej dotąd ani słowa w dziennikach nie było. Każła wiadomość o tem byłaby dla mnie rzeczą pierwszej wagi. Natomiast zrewoltowała moje nerwy wyczytana w porannem wydaniu dziennika wiadomość, którą dosłownie przepisuję:

„Eskonter banku zaliczkowego, który uciekł z Wiednia, sprzeniewierzywszy blisko pół miliona, usiłował w jednym z tutejszych banków sprzedać znaczniejszą ilość sprzeniewierzonych papierów wartościowych. Poznany przez bankiera potrafił przed nadejściem policyi umknąć. Policya czujne oko zwróciła na tutejsze kantory wekslowe i jest podobno na tropie przemysłowego finansisty”.

Gdybym się zatem zgłosił dziś do kantoru z banknotem, to urzędujący tam szpicel zapytałby mnie:

— A skąd też z przeproszeniem pańskim, wziął pan tyle pieniędzy? Cały Kraków zna mnie, cały Kraków zna wytarty mój letni paltot, nie licujący z pełną portmonetką. To samo mogłoby mnie spotkać w sklepie — tembardziej dziś, gdy każdy zmieniający większy banknot, może być poczytany za współnika wiedeńskiego eskontera.

K r a k ó w 28 sierpnia.

• Muszę pieniądze zmienić. Austryackie banknoty mi się kończą, co do rubli zaś, to wszystkie drobniejsze zmieniłem; banknotów po pięćset rubli boję się zmieniać tutaj. Dziś w nocy postanowiłem wyjechać do Warszawy. Tam nikt mnie nie zna, tam też łatwiej mi będzie tego dokonać.

Drobnych pieniędzy potrzeba mi na życie, muszę też zapłacić zaległe raty za fortepian. Fabrykant posyła mi co trzeci dzień listy. W ostatnim z nich grozi adwokatem.

W a r s z a w a 30 sierpnia.

Nie poznałem mej starej znajomej. Wypiękniała Warszawa, rozrosła się. Nie ustępuje w niczem stolicom europejskim, niektóre zaś przewyższa ruchem i życiem. Zaimponował mi poprostu pomnik Mickiewicza. Przekonałem się na własne oczy, że krytyki i docinki dziennikarskie, skierowane przeciw rzeźbiarzowi, były szukaniem dziury na całym. Ależ on schodzi z tego piedestału. Schodzi żywy między swoich... Ta ręka, rozłożona na piersiach, drga, żyje a wskazując

na serce zdaje się mówić: o tyle jesteś człowiekiem, o ile masz serce. Zdaje się garnać do serca swój lud, wołać: „chodźcie ukochani do mnie wszyscy“.

Gdym to myślał, szatan zatargał mą duszą, szepcąc: ciebie nie woła. On woła wszystkich nędzarzy, co we łzach życie pędzą, on woła nie-szczęśliwych, wydziedziczonych, ekonomicznie słabych, on ekonomicznie słaby, wydziedziczony, on, który z głodu zastawiał kopertę od zegarka... Jakiś głos krzyczy w moich piersiach, wyje: on byłby oddał!!

Nie talentowi jego, czci jego postawili posąg. Za talent człowiek nie odpowiada, talent nie jest jego zasługą, Bóg daje talent lub go nie daje. Człowiek odpowiada za swoją cześć, za swoje czyny. Niedorzecznością jest mówić, przeznaczenie! konieczność! *Ἀνάγκη!* Musisz zostać zbrodniarzem, bo tak tobą los pokierował, takie było twoje przeznaczenie. Przeznaczenie nie pchało mojej ręki do portfela. Można go było nogą kopnąć, do Popradu wrzucić, oddać naczelnikowi stacyi i powiedzieć: oto znalazłem. Ja sam dobrowolnie pieniądze zatrzymałem.

Uciekałem z Krakowskiego przedmieścia na Marszałkowską w wir ludzki, aby zapomnieć refleksyj do serca się cisnących, gdy zatrzymuje mnie jakiś blady, nie szczególnie ubrany, młody człowiek.

— Jeśli się nie mylę, to pan Dora, muzyk.

— Tak jest.

— Toż ja przedstawiłem się panu w Krakowie podczas koncertu.

— Ach tak. Przypominam sobie. Pan Zygmunt Toński.

— Toński, Toński jestem. Bardzo się cieszę, że pana widzę, a to tembardziej, że jestem gorącym zwolennikiem tak nielicznie niestety ukazujących się kompozycji pańskich. Sam próbuję komponować i wiem, że...

— Dokąd pan teraz idzie?

— Wie pan, byłoby mi bardzo przyjemnie ugościć tak sympatycznego kolegę. Przebacz mi pan, że śmiem pana zaprosić na śniadanie skromne. Takie sobie małe, na jakie stać muzyka.

Pociągnął mnie do handlu, zadysponował wódkę i śledzia.

— Czem pan teraz zajęty? -- zapytałem Tońskiego,

— Twardo, ogromnie twardo idzie mi praca. Dusza, serce, każdy nerw duszy rwie się do kompozycyi, a tu trzeba na chleb pracować, chodzić na lekcye do różnego rodzaju nieuków. Ale wszystko się pokona. Najgorszem jest to, że nie mogę zdobyć się na wypożyczenie fortepianu. Pięć rubli miesięcznie, to dużo, a przyzna pan, że jeśli się nie ma w domu pianina, to o zanotowaniu jakiejś melodyi ani marzyć nie można. Wierzę w pomoc Bożą, w czyste zamiary moje i mam nadzieję, że zwyciężę te trudności, że wypowiem tonem to, co dusza moja czuje, co chcę wypowiedzieć.

— Nie wątpię o talencie pana i wierzę w to, że pan możesz na polu kompozycji muzycznej zejść daleko. Chcąc jednak dochować się jakiejś egzotycznej rośliny, np. palmy, to nie dość mieć szczep palmy, trzeba jeszcze odpowiedniego klimatu i odpowiedniej ziemi. Mówiąc jaśniej: jesteś pan pewien powodzenia finansowego, które panu do kształcenia się dopomoże i zabezpieczy byt spokojny, niezbędny do twórczej pracy?

— To nie moja w tem głowa, mój panie.

— A czyjaż?

— Moc i ręka Boża. Człowiek jest rolnikiem, który ziemię orze i zasiewa — rzeczą zaś jest Boga ręką tę gradem wybić, gąsienicami wyniszczyć, burzą wytrzebić lub też bogatym plonem obsypać. Stanie się to, co się jemu spodoba. Ja spełniam moje obowiązki; pracuję nad muzycznym i humanitarnym wykształceniem siebie, pracuję na chleb i ani na chwilę nie spuszcza z oka jasnej, promiennej przyszłości, do której pewnym krokiem idę. Ja sieję — co się zaś z moim posiewem stanie, to do mnie nie należy, to rzecz Boga — to mnie nawet mało obchodzi. Bóg zechce, będę Orfeuszem, do zwierząt dzikich mówić będą me tony. Bóg zechce, żydom na weselach będę grywać. Nad tem wcale nie rozmyślam, tem bardziej, że gdybym rozmyślał, gdybym głową w mur walił, to ani na włos muru przyszłości nie naruszę.

— To, co pan teraz mówi, jest ślicznym wstępem do nowelki. Pisz pan powieści tym sty-

lem i tej treści, a zdobędziesz uznanie i sławę. Publiczność lubi podniosłe powieści, które się dobrze i szczęśliwie kończą, które są miksturą wiary, nadziei i miłości. Publiczność lubi na wzór strusia włożyć łeb w piasek... zatkać sobie „szlachetną“ powieścią oczy, aby nie widzieć, co się w suterenach dzieje... A te dramaty, ta nędza suteren, są dziejami olbrzymiej większości ludów, dziejami ludzkości całej... Jako literat będziesz pan utworami swemi opiumował ludzi, wprowadzał ich w rajskie krainy marzeń, ułudy. Mniejsza z tem, że po użyciu opium następuje reakcja. Odpowiedz mi pan jednak na pozytywne i dorzeczne pytanie: jak pan dojdiesz do tej promiennej przyszłości bez środków, bez pieniędzy? Czy panu nie otwiera to oczów, że Opatrzność nie daje panu nawet środków na pożyczanie fortepianu? Czy nie byłoby to lepszą usługą dla idei, gdybyś pan w pierwszej linii starał się o pieniądze, potrzebne dla jej zrealizowania, starał się środkami takimi, jakimi w ogóle zdobywa się pieniądze?

— Przed pieniądzem nigdy czoła nie uchylę. Pieniądzmi się brzydzę, mam wstręt do pieniędzy.

— Frazes. A jednak starasz się o ten wstrętny, obrzydliwy przedmiot.

— Staram się, to prawda, ale to nie dowodzi niczego, bo ja się staram czasem także o proszek perski.... i rumbarbarum, pomimo, że mam wstręt do tych specyałów.

— Jednak...

— Mam głęboką wiarę, że jeszcze dożyję chwili, gdy na ziemi powstanie nowa arystokracja, nowy patrycyat. Będzie to arystokracja talentu, jedyna arystokracja, mająca rację bytu. Arystokracja siły znikła, straciła znaczenie w zamierzchłej przedhistorycznej przeszłości, — arystokracja rodu, królująca w wiekach średnich, zachwiała się za wojen chłopskich, a runęła podczas rewolucyi. Ta wprowadziła w ciało Europy plutokrację, patrycyat, nie mający ani pięści silnej, ani herbownicy pstrokatą, jeno banknot potężny. To najlichsza i najwstrętniejsza z arystokracji. Chwała Bogu, że dogorywa, że dnie jej policzone. Do walki z nią stanął głodny motłoch, zrewoltowany złudnemi obietnicami demagogów z jednej, — wszyscy zaś rozumni ludzie, wszelkie jestestwa ze sercem, z drugiej strony.

— O ile — ciągnął dalej — ten pierwszy wróg pieniądza jest mi nienawistnym, o ile wstrętne są jego sztandary, na których wypisano: „pełny żołądek“, o tyle z całego przekonania należę do tych drugich, którzy w imię najświętszych, najdroższych haseł burzą posąg złotego cielca. On runąć musi. W oczach naszych zwiększa się szereg ludzi, którym nie imponuje lakierowany powóz i lokaj w pończochach. A już najpierwsi my, artyści, winniśmy się od pokłonów wstrętnemu złotemu cielcowi i jego wybrańcom odzwyczajać. To hańbi nas i upadla. Talent nie ma nic wspólnego z pieniędzmi — pieniądze są jego wrogiem. Drogi panie kolego, znam i bardzo wysoko cenię

pańskie nieliczne kompozycje. Powiedz mi pan szczerze, pisałżeś je pan z wyładowaną kieszenią? A! Nic pan nie mówisz! To ja panu powiem: one powstały w biedzie lub półbiedzie, w stanie takiej półnędzy, w jakiej pracowali Chopin i Monuszko. Jeszcze jedno. Wierzaj mi pan, jeśli szatan unieszczęśliwi cię kiedy majątkiem, to możesz zostać właścicielem dóbr, handlarzem drzewa, małomiejским burmistrzem, ale nigdy nie będziesz — artystą.

Znudziła mnie niepomału ideologiczna gadanina, chciałem więc czempilniej ją skończyć.

Toński dobył starej zatłuszczonej portmonetki chcąc płacić.

— Ile się należy? — zapytał kelnera.

— Wódka, śledzie, piwa — kopiejek dziewięćdziesiąt dwie.

Toński dobył wszystkie pieniądze, jakie były w portmonetce, przeliczył je raz drugi i trzeci... i zaczerwienił się, jak burak.

Na stole leżało wszystkiego dziewięćdziesiąt jeden kopiejek.

-- Może pan kolega, — rzekł zmieszany, ma jedną kopiejkę, bo nie chce mi się zmieniać dziesięciorubłówki.

Wiedziałem, że kłamie przez ambicyę, że wstydzi się przyznać do swej nędzy i zasłania się kłamstwem.

Ogarnęła mnie gwałtowna chęć upokorzenia go za wygłoszoną deklamacyę, pokazania mu: chcesz imponować frazeologią, chcesz ucho-

dzieć za posąg cnoty, a kłamiesz jak pies. Pomysł ten uradował mnie niezmiernie.

— Ja zmienię dziesięć rubli, rzekłem. Wydobyłem pieniądze i położyłem szybko na stole, dziewięć rubli i dziewięćdziesiąt dziewięć kopiejek.

Toński oczywiście nie miał pieniędzy. Z upokorzenia i wstydu, dostał drżączki nerwowej, — z czerwonego, stał się bladym zielonym.

— Ja nie mam pieniędzy...

Zapłaciłem brakującą kopiejkę, rzuciłem kelnerowi dwadzieścia kopiejek na piwo i rzekłem wstając:

— Chorobą waszą jest frazes, mój panie kolego. Lepiej zawsze odkryć swą duszę i pokazać się w pełnej szczerości, niż deklamować frazesami, wygłaszać szczytne komunały. Choćbyśmy dziurawy but nie wiem jakim pokryli lakierem, będzie on zawsze dziurawym butem. Żegnam.

I opuściłem szybkim krokiem restaurację.

Sprawić komuś przykrość, upokorzyć kogoś, rozdrapać ranę, napawa mnie radością, sprawia mi ogromną ulgę. Świat robił to samo ze mną lat kilkanaście, oddaję mu więc pięknem za nadobne. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Jakim mnie moi współbliźni wychowali, takim mnie mają.

Z restauracji wyszedłem rozpromieniony. Jeśli jestem zdolny naplwać w czyje serce, kopnąć czyjąś duszę, to jestem już zdolny do walki o byt. Pierwszą zasadą walki o byt jest po-

zbyć się czułościowości. Jesteś słabszy, więc giń; masz mało chleba, wezmę ci i tę resztę, zdechnij z głodu jak pies. Ohydna teoria? No no! jeszcze raz pytam, czy ten, co bierze od kapitałów procenty, nie robi tego samego z nędzarką, która płaci procent od zastawionej spodnicy? Tylko bez kłamstwa, złodzieju jeden z drugim. Frazesem ob'agujesz wyborców z pierwszej kuryi, ale nie mnie. Daj pokój panie kolego.....

Jakaś do rozkoszy dochodząca wściekłość przechodziła moje całe jestestwo. Resztki, ale to ostatnie resztki sentymentalizmu wyrzucały mi, że przejadłem ostatni grosz Tońskiego, że dzięki spotkaniu ze mną stracił on resztę krwawego i łzawego swego grosza — palił mnie w gardle ten krwawy śledź, zapłacony przez nędzarza... Otóż to dobrze... Za jego gołębie serce, — za to, że podzielił się ze mną ostatnim naprawdę groszem, naplwałem mu w twarz, wypoliczkowałem go, skopałem go jak psa nogami. O jak to dobrze, jak to dobrze... Teraz wiem, że w walce o byt nie polegnę.

Warszawa d. 30 sierpnia

We furyi, w jaką wpadłem, pobiegłem na Nowy Świat, zmienić tysiąc rubli. Prędeży! zacząłem się nie chwyci znowu sentymentalizm, zacząłem nie powstać w duszy furye, które drwią z energii, drwią z przekonań moich.

Wstrzymałem się dopiero przy posągu Kopernika, skąd było widać kantor wymiany. Przecież trzeba się trochę namyślić. W każdym ra-

zie lepiej w kantorze nie mieć świadków, być sam na sam z bankierem.

Obserwowałem drzwi kantoru chwilę dłuższą. Nie wiem czemu serce zaczęło mi ogromnie bić. Bije i bije.. Czemu ono tak bije? Jakichś dwóch panów wyszło z kantoru. Zapewne kantorzysta będzie teraz sam...

Podszedłem szybkim krokiem ku bankowi... Furye, oj furye!! Ciało leci, nogi idą.., a dusza moja stoi tam pod Kopernikiem i woła: stój! stój! złodzieju stój!

Gdybym szedł z toporem rozbijać ludzką głowę, miałbym chyba to samo uczucie... Dusza moja pod Kopernikiem woła okropnym głosem: stój!!

Wszedłem.

Usta bełkotały wyuczone słowa:

- Jak stoją guldeny austriackie?
- Rubel wynosi sto dwadzieścia siedm.
- Ma pan znaczniejszą ilość guldenów?
- Mam.
- Proszę zmienić tysiąc rubli.

Bankier zaczął szukać banknotów, a mnie wróciło jakoś trochę równowagi.

Schował moje banknoty do szuffady i milcząc położył przedemną tysiąc dwieście siedemdziesiąt guldenów. Na stole leżał znowu banknot na tysiąc reńskich.

— Proszę za tę tysiączkę drobnych austriackich.

— Drobnych nie mam.

— Ależ ja koniecznie drobnych potrzebuję.
 — Zmieni pan w Krakowie, w każdym sklepie.

— Przecież...

— To wszystko jedno.

— Dziękuję panu.

Oj zmienię! pomyślałem sobie. Zmienię... zmienię...

Byłem wściekły. Oto *circulus vitiosus*, — oto koło zbrodni. Mam znowu tysiączkę w całości!

Kraków 1 września.

Ile razy jechałem z Warszawy, wstępowałem zawsze na Jasną górę. Zwykle taki szczęśliwy miałem rozkład jazdy, że mogłem wysiąść z pociągu, iść przed ołtarz Matki Boskiej, pomodlić się i wrócić na następny pociąg, który tymczasem ze Skierniewic wyjechał. Choć daleki od bigoteryi i nabożeństwa, choć niedowiarek co do wielu przepisów kościelnych, zawsze miałem dziwne nabożeństwo do Jasnej Góry i świętego obrazu. Biedna głupia dusza ludzka! Znam takich, którzy ledwo w Boga wierzą, odrzucają chrystyanizm, nie wierzą w tajemnice nie dające się udowodnić rozumem, a wierzą w... Matkę Boga. Tak jest! Rzeczywiście tak jest. To się z domu rodzinnego wynosi, to z nauki matki w duszy zostaje. To ogromna naprawdę zagadka psychologiczna, a raczej psychopatyczna, że rozum, analiza, książka, napisana przez mędrka, całą wiarę obali, z korzeniem wyrwie ze serca dogmat, — a wiary w moc Jasnej Góry nie wyrwie... Dziś miałem i roz-

kład jazdy kolejowej dobry, a jednak w Częstochowej pociągu nie opuściłem choć postanowiłem to uczynić, wyjeżdżając z Warszawy. Cemu? Nie wiem. Nie spieszyłem się przecież nigdzie, nic nie stało na przeszkodzie, a jednak.. Z pogardą odrzucam myśl, jakobym po ostatnich zajściach nie miał odwagi popatrzeć na święty obraz. ...

Nerwy... no, nastrój nerwowy był tego rodzaju, że coś mię od tego wstrzymało. Mam chwile rozstroju takie, że nie mogę na przykład pisać, jeśli mam scyzoryk po prawej ręce. Złości mnie to i denerwuje, muszę go po lewej stronie położyć i wtedy piszę dobrze.

K r a k ó w 2 września.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie te przekłete nerwy. One mi skrócą życie, one mi grób wykopią. Dzisiejszej nocy rozpałała mi głowę myśl: ty się marnujesz. Gdym został krezusem, mniemałem, że jestem u celu, a tymczasem widzę, że odszedłem od celu żywota, którym jest, była i będzie kompozycya muzyczna. Piekło wre we mnie, bo czuję, że nerw duszy, w którym się pieśń zrodziła, umarł we mnie. Okropne erynnie wołały: na zawsze! już na zawsze!

Czy na zawsze? nie wiem. To wiem, że dziś tworzyć nie jestem w stanie. Rozum mi mówi: to dobrze. Dobrze, bo dziś wrogiem moim jest sentymentalizm, wszelka rzewność i uczucie, którego rodzonem dzieckiem jest poezya i muzyka.

Gdy byt swój ustalę, posiadanie pieniędzy uprawdopodobnię, wtedy rozśpiewa się dusza pieśnią Bożą i natchnieniem Bożem.

Wcześniej nie.

K r a k ó w 3 września.

Jestem pod względem mej pomysłowości genialnym. Żyję w blizkiej zażyłości z pewnym wybitnym artystą malarzem, któremu bieda nie dała ogromnego naprawdę talentu rozwinąć. Recenzenci uznawali w nim niepospolity talent i — ogromne wady w obrazach. Śmieszne, głupie było koło, w którym się obracał.. nie tylko on jeden z naszych malarzy.

Recenzent woła: „Obraz jest zły, bo źle narysowany“ — publiczność nie kupuje obrazu, bo obraz jest zły, bo źle narysowany. Obraz jest zły i źle narysowany dlatego, bo model, koniecznie potrzebny do dobrego narysowania obrazu, kosztuje; na modele potrzeba pieniędzy, których malarz nie ma, bo... poprzedni obraz jego był zły i źle narysowany dlatego, bo malarz nie miał pieniędzy na model, dlatego, bo...

To idyotyczne koło, na którego torturze rozpięto duży talent, jest wręcz społeczną zbrodnią. Sam na własne oczy widziałem, gdy malarz, o którym mówię, naciągał na drewna proste drelich, gruntował go zwyczajną farbą, bo na płótno pieniędzy nie miał — widziałem, jak w braku farb, tarł je sam z ohydnej dekoracyjnej farby, malując naftą w braku oleju...

A krytyk... taki piszący pajac — wie, że on źle rysuje dlatego, że nie ma na model —

wie, że obraz wygląda niedbale, bo malowany jest na ohydnej ścierce — wie, że koloryt jest podły, bo malarz maluje byle błotem i naftą, a przecież... Zamiast zasłonić przed publicznością tę nędzę, popisuje się zarzutami rysunku, koloru i techniki dlatego, aby na moralnej i finansowej ruinie nędzarza wybudować gmach swej krytycznej chwały.

Robi to na mnie wrażenie takie, jak gdy jakiej chorej, anemicznej, dostojnej osobie wpuuszczają żywą krew z żył zdrowego robotnika...

Malarz, o którym piszę, złapał mnie dziś na ulicy. Miał wypłowiałą zarzutkę, brudny okropnie kołnierz, krawatkę węzłem przesuniętą na ramiona i jak się łatwo domysleć, brudne, dawno nieczyszczone buty.

— Chodź pan, zrobimy sobie śrubę.

— Jaką śrubę?

— No, zalejemy sobie pałę.

Już ten proletaryat artystyczny, gdy się dorwie trochę grosza, to nabiera ogromnej ochoty do poczęstunku. Tak robił Toński, tak robiła cała artystyczna rzesza.

— Masz pan pieniądze? — pytam.

— Mam, sprzedałem żydowi obraz. Kupił na handel.

Weszliśmy do sklepu.

— Dwie wódki większe. Pan także z mniejszego kieliszka nie pije? Co? Ja, jak mi taki naparstek podadzą, to mam takie wrażenie, że mi

odrobina tej wódki do wnętrza nie dojdzie. Ot wypić spory kielich, to się zagrzeją bebechy.

Po śniadaniu zawróciłem melancholijnie oczy i mówię:

— Ach, mam do pana prośbę.

— No?

— Pożycz mi pan dwadzieścia koron.

— Sam mam czterdzieści, ale dam panu.

Oto są. Przecie pan mi odda?

— Oczywiście.

Naturalnie, że mu nie oddam. Wiem, on już za dwa dni po nie przyleci, przyciśnięty biedą. Nie dam raz drugi i dziesiąty. Czynię to dlatego, bo malarz straszny gaduła, mający do tego sto-sunki z całym miastem, rozniesie po mieście, że ja długu kilku koron oddać mu nie mogę. Wiem, że rozgada on to w redakcyach pism, tych gniazdach bajczarstwa miejskiego. A sława biedaka i niewypłacalnego dłużnika, dobrze mi robi. Nawet w razie nieszczęścia powołam się, że pożyczałem...

I druga strona medalu nie jest zła. Będzie przezemnie biedę cierpiał ten nędzarz. Otóż to dobrze.

Cała natura moja woła: otóż to dobrze!

Kraków 4 września.

Gdyby ludzie ze sfer posiadających mieli serce, ale to naprawdę serce i wielką w sercu litość, musieliby się natychmiast pozbyć swych majątków. To serce kazałoby im zejść do robo-

tnicznych mieszkań, do strasznej nędzy komorników chłopskich. Gdyby tam zesłi, topniałby ich majątek jak śnieg w kwietniu, boć nie ma milionów na świecie, któreby były w stanie wytepić biedę, otrzeć łzy. Władza, która każe im zamknąć oczy na ludzką nędzę, nazywa się siłą, zdolnością do walki o byt. Siła ta sprawia, że odrzuca się dzienniki i broszury, które piszą o nędzy, a prenumeruje się te tylko, których redaktor stale i systematycznie wyrzuca lub krótko zbywa artykułiki jak: śmierć z głodu, wskoczenie zgłodniałej matki z trojgiem dzieci do Dunaju etc... Dziennik, rozmazujący takie wypadki, nazywa się wywrotowym, burzącym boski na świecie porządek rzeczy.

Siła ta zabrania czytać książkę, gdzie bohaterem jest nędza, a chwali, reklamuje i czyta serdeczne a wzniosłe powieści, gdzie popisują się bohaterowie bez skazy, hrabiowie analizujący to nic, które oni za duszę uważają. Niech Bóg broni analizować duszę murarskiego głodomora. Dusza cieśli nie może być tematem do dzieła sztuki. On nie ma duszy do analityki, jeśli zaś ją ma, to analityka łez, strachów przy szkarlatynie — jest głupią i nudną. Nas to nic nie obchodzi. W życiu tyle mamy goryczy i łez, że u ciebie chcemy od życia w świat powieści, w której hrabinę Izabellę zdradza Henryk, w której kochanek Hildegundy wpadł z mieczem w zastępy nieprzyjaciół, położył trupem sto dwadzieścia pięć wrogów w stal zakutych i po kolana broczył we krwi...

Drwię z tego rozumowania, a jednak go uznaję.

To trudno, gdy cała ludzkość chora, ja jeden nie mogę być zdrowym. Wiem, że mam siłę, choć mam odwagę się przyznać, że gmach tej siły stanął na ruinie litości, miłosierdzia, wszelkich uczuć w sercu.

K r a k ó w 5 września.

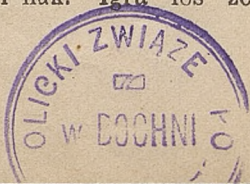
Jak fala morska wraca ciągle myśl, że muszę raz już pozbyć się większych banknotów — to musi się stać, raz już do tego przystąpić potrzeba.

Siłę w duszy mam, ale co ona mi pomoże, gdy ktoś zapyta mnie: skąd ten banknot wziąłeś? Tu potrzeba będzie dowodów innych, prozaicznych dowodów, a nie fantasmagoryi o sile. Z banknotami drobnymi będzie łatwiej. Łatwiej upozoruje się ich posiadanie. Dziś piątek, feralny dzień. Jutro idę do kantoru zmienić..

K r a k ó w 6 września.

To okropne. Raniutko odbiłem podstawę biustu Chopina, wyjąłem banknot, aby go zmienić, idę do cukierni na kawę i... wpada mi do ręki dziennik, a w nim artykuł w kronice: „Dziś w kantorze Silbersteina przytrzymano...“

Strach, paniczny strach za serca chwyta... Siła wietrzeje, a i groza chwyta mnie za serce. Mam takie wrażenie, że dusza moja pełna siły i zdolności do walki o byt, jest jak kołnierz krochmalny, który na talerzu z wodą zmienia się w łachman i flak. Igra los ze mną. Daje mi



w rękę szczęście, a nie da go użyć — drażni mnie..

Banknot zalepiłem w biuście..

Portrety moich pradziadów, czy też prapradziadów, wiszące w pokoju, dały mi dzisiaj dziwny temat do refleksyi. Wisi tam jakiś pan w czerwonym żupanie, w sposób bardzo a bardzo częstochowski namalowany, jakaś matrona, w pasie jak osa wycięta i kanonik czy biskup w czarnej peruce. Dziadek mój wiedział, co to za jedni, ja już zapomniałem; to wiem, że to przodkowie moi w prostej linii.

Dawniej lubiałem ogromnie fantaronować: „oto moje antenaty“, bo każdy człowiek lubi deklamować a ja sam znam najzagorzalszych demagogów, najwścieklejszych wrogów szlachetczyzny, którzy przy kuflu piwa wrzeszczą: „jestem przecie szlachcicem“... Bo jest to faktem i potwornym faktem, że ruch demokratyczny i demagogiczny rozpoczęła w Europie ródowa szlachta, i ta stoi na czele tego ruchu, „lanie“ zaś ziejące ze szpalt konserwatywnej prasy przeciw ruchowi ludowemu dostaje się owemu ślusarzowi, który nie zawinił, masom chłopskim i robotniczemu.

My lubimy samych siebie tumanić, lubimy aureolą otaczać to, co nie warte często aureoli. Śmiech mnie bierze, gdy czytam czasem historyczną powieść, w której odmalowaną jest wielka jakaś dusza.. Nie bierz historii do ręki, nie nicuj tej wielkiej duszy, nie wgłębiaj się w pamiętniki i dyaryusze, bo może bardzo łatwo wyjść

zabójca, gwałciciel, lub grosza publicznego złodziej. Może dowodów na to trzeba? O te bardzo łatwo.

W naturze naszej w szczególności, a powieściopisarzy europejskich w ogóle, leży takie kreowanie koturnowych wielkich postaci, któremi olśniewa się tłum. Powinni jednak ci mocarze pióra zawsze robić dwa wydania powieści, jedno dla tłumu zwyczajne, — drugie zaś dla ludzi z krytyką i historią w rękach, w tem zaś wydaniu powinno być na wstępie wydrukowane: „Szkoło! Nie dotykaj mych laleczek, bo się porozbijają“.

Zawsze szacunkiem, jeżeli nie czcią otaczałem moje lary domowe, nierzadko zaś fantazowałem o przeszłości, o czasach, w których one żyły. Bywały chwile, że czerwona lichonamalowana delia mego prapradziada bębniła mi nutę polonesa, że koronki i biała peruka mej prababki śpiewały mi wdzięczną nutę menueta. Szczerze jednak wyznaję, że zawsze daleki byłem od bezwzględności dla moich malowanych pradziadów uwielbienia, — zawsze bałem się zbyt szczegółowo o nich się coś wywiadywać, bojąc się, czy to nie laleczki ze szkła...

Dziś, gdym się mył, zdawało mi się, że portrety mówią... Jeśli kto chce, niech przeczy temu... Mówiły do mnie... Co to był za głos, nie wiem, może to przedelikacenie nerwów, może to czwarty wymiar, może spirytystyczna jakaś haluncjacya... Jednak głos ten był...

Przodek w czerwonej delii mówił:

— Złodzieju!

Otrzymałem się wnet z halucynacyi, z półsnu, odepchnąłem głupie widziadła i ich głosy.

Wiedziałem, że to tylko zdawało mi się, że to uluda — a jednak do wściekłości doprowadziła mnie ta scena.

Przyszedłem pod portret, popatrzyłem w piwne oczy praszczura i rzekłem:

— A znasz ty bohomazie przysłowie: nie daleko jabłko od jabłoni pada?

K r a k ó w 8 września.

Równowaga umysłowa, którą dotąd miałem, zaczyna marnieć i znikać. Co się stanie, jeśli długie lata miną a ja nie potrafię upozorować mego nagłego z bogacenia się, jeśli tak, jak dziś kryć się będę musiał z mojem mieniem? Nie dość na tem, wszak cel mego życia, muzyka, twórcza praca, wtedy będzie osiągniętym, jeśli potrafię pieniędzmi uzyskać spokój, nie zdobędę go zaś nigdy, jeśli nie będę mógł jasno w oczy każdemu patrząc, powiedzieć:

-- Mienie moje pochodzi stąd a stąd.

Okropne.

A jeśli to tak wiecznie trwać będzie? Jeśli ja nigdy nie znajdę isierki spokoju? Czyż po to zostałem zło... — no, powiedzmy otwarcie: złodziejem, — żeby życie artysty zamienić na nędzną wegetację małomiejskiego kołtuna, żeby jeść chleb kradziony w pocie i śmiertelnym strachu?

Jest różnica! O, jest jakaś różnica! Siedzę w kawiarni lub chodzę po wystawie obrazów, znając zaś dobrze całe miasto, wiem o opinii jaką królikowie miejscy mają. Ten adwokat to

złodziej, zdobył pieniądze na kurateli cudzego majątku, tamten kupiec dwa razy bankrutował, ów grał na zwyżkę węgla. Oni wszyscy, choć notoryczni złodzieje, chodzą po świecie wolno a ja... nie mogę świata w oczy powiedzieć: otom ukradł! Jest różnica między mną a nimi, między złodziejem a złodziejem. Różnica ta, że ich kradzież, choć wcale od mojej nie mniejsza, ani mniej moralna, nie stoi w sprzeczności z kodeksem karnym, jest kradzieżą legalną..

W dwudziestym wieku są kradzieże legalne, oszustwa uczciwe, cnoty nieuczciwe, arystokraci bez ojców, właściciele krociovych fortun bez grosza mienia i nauczyciele moralności publicznej bez czci, wiary, charakteru i sumienia.

K r a k ó w 9 września.

Popelniam szaleństwa, a moje własne czyny kiedyś się przeciw mnie obrócą. To, że pożyczyłem od znajomego artysty dwadzieścia koron i oddać ich nie chcę, jest czynem godnym kretyna lub idyoty. Za rok, dwa lub więcej zapyta mię sędzia: w jaki sposób doszedłeś do fortuny, kiedy rok temu nie mogłeś oddać pożyczonych dwudziestu koron?

Jeszcze gorzej z komisarzem i udzieloną mi przez niego pomocą. Jeśli kiedykolwiek zobaczą na mnie ludzie porządny paltot, a w kieszeni trochę gotówki, krzykną niewątpliwie: skąd on to wziął, on, który żył ze wsparcia komisarza Liszki?

Malarzowi dwadzieścia koron oddam, a Liszce kupię jakiś mały prezent.

W ostatnich dniach rozdrażnienie moje wzrasta ciągle. Głównym powodem tego dzienniki, które codziennie przeglądam. Nie ma dnia, żeby nie było jakiej defraudacji, nie ma dnia, żeby nie było artykułu zatytułowanego: „policya schwytala”. Bohaterowie wszystkich tych artykułów dali się łapać, przy realizowaniu swych zdobyczy, zatem w bankach, hotelach, sklepach, kantorach.

W okropnym chaosie myśli mam jednak w duszy dwa pewniki. Pierwszym jest ten, że należy duże banknoty na małe zmienić, drugi zaś ten, że trzeba się starać upozorować powolne moje dochodzenie do zamożności. Dziś ani jednego, ani drugiego do skutku doprowadzić nie mogę.

Wszystko się przez myśl przesuwają, wszystko, a jeden pomysł gorszy od drugiego. Iść do kasy oszczędności, złożyć na książeczkę oszczędnościową tysiąc reńskich? Znają mnie, rozgadają po mieście a fama zapyta się, skąd on wziął? To straszne: skąd on to wziął!

Chciałem wyjechać do Wiednia, Wenecji, do Monte Carlo... To ostatnie najwięcej mi się podobało. Ależ ciągle i ciągle piszą o łapaniu złodziei w pierwszorzędnym hotelach Paryża, Monte Carlo. I tam postawię pytanie: z kąd wziąłś?

Zresztą ta myśl o graniu w Monte Carlo przy bliższym zastanowieniu się jest zupełnie głupią. W pierwszej chwili, zdaje się, pójdę przegram trochę pieniędzy, wrócę i rozgłoszę: wygrałem sumy w Monaco. Przypuśćmy jednak,

że policya temu nie uwierzy, zabierze moją fotografię, w braku jej przemocą każe mnie odfotografować, pośle do szulerni i zapyta: czy ten pan wygrał? Wiele? Z Monte Carlo odpiszą: Był i przegrał.

Kraków 10 września.

Oszczędzam już, bo drobne pieniądze się kończą, a nie mam odwagi iść do kantoru... Jedyny mój zbytek, to natryski zimnej wody, które biorę, żeby nie oszaleć...

Oszaleć można, oszaleć!

Cały gmach szczęścia, z kart postawiony, wali się na moją głowę. Mniemałem, że jestem u celu mych pragnień, że wiosną zaśmieje się świat, że przyjdzie upragniony czas twórczej pracy.

Jakiś głos woła: nie przyjdzie nigdy! Nigdy! Nigdy!

Wiem, że to, co ludzie nazywają talentem, umarło już we mnie. Ta struna duszy już nie drga. Może odżyje jeszcze kiedyś.

Czasem oczom moim przedstawia się przepaść.. czasem próchno nicości widzę, świecące trupiem światłem przed duszą, coraz bardziej się przekonywam, że nabycie tych pieniędzy było dla mnie okropnem — nieszczęściem. Bez nich byłbym jedną z owych czystych dusz, które w biedzie umarły, jedną z owych perlego blasku iskierek talentu, których płomień topiel nędzy zagaśiła, drobnym robaczkiem świętojańskim, który małym blaskiem świeci, ale świeci...

A kto wie? Może Bóg byłby się ulitował, może podobałoby się Mu rozdmuchać z tej iskry meteor, słońce świecące ludzkości, płomienną pochodnię talentu, rozgrzewającą serca braci...

A teraz, teraz...

Złodziej...

K r a k ó w 10 września.

Gdym przejrzał się dziś w lustrze, przeląknęłam się. Policzki me zapadły a przy oczodołach rysują się głębokie zmarszczki, które wyryla zgrzyzota. Boć nie wiek przecie, nie wiek. Czy wrócę kiedyś do zdrowia, czy zajaśnieje w głowie pogodna myśl? Jeśli dzisiejszy stan duszy mej dłużej potrwa, to chyba nie.

Prawie nic nie jadam, w nocy spać nie mogę. Codziennie idę do restauracyi na obiad, czynię to jednak nie dla istotnej potrzeby, lecz z przyzwyczajenia, aby iść, aby zmieniono przedemną kilka talerzy i talerzyków, które nietknięte prawie oddaję. Za to dużo piję czarnej kawy, niesłychanie wzmacnia mnie to i życia dodaje.

Gdym dziś po obiedzie, a raczej po niezjedzonym obiedzie, szedł do cukierni, spotkałem w szarej guni, w okrągłym kapeluszu — wiecie państwo kogo? Cebulę. Tak jest, Wojciecha Cebulę, znanego mi dobrze przemysłowca z Żegiestowa. Czerwony, rudy, barczysty chłop, z twarzy jego widać zdrowie, z oczów spokój i równowagę ducha.

— Jak się macie Wojciechu?

— A to wielmożny pan! Bogu dzięki zdrów jestem.

- Żona zdrowa? dzieci?
- Wszystkie zdrowe.
- Co u was słyhać?
- Wszystko po staremu.
- Gdzież mieszkacie teraz?
- A no gdzież mam mieszkać? W naszej kupionej chałupie.

- Niby tej, gdzie ja mieszkałem w lecie?
- A juści.

Dziwna chęćka mi przyszła wedrzeć się w głąb sumienia tego człowieka, zajrzeć do jego splamionej złodziejstwem duszy, dowiedzieć się, co tam mieszka: czy spokój, który z oczów mu patrzy, czy tłumiona i tajona zgryzota, przekleństwo złego czynu.

- Chodźcie Wojciechu, napijecie się ze mną piwa!

— Jak pan taki łaskaw z prostym chłopem iść na piwo, to czemu nie?

Wstąpiliśmy do piwiarni. Chłop nie śmiał zrazu usiąść na pluszowej kanapie, zachęcony jednak przezemnie, zajął miejsce przy stole w bocznym pustym gabinecie.

- Zjedzcie co przed piwem.
- Jak pańska łaska.
- Chłopcze co macie gotowego?
- Gęś.
- Ćwierć gęsi dawaj tutaj.
- Czy na dwa talerze?
- Nię, jeden. Cóż w Żegiestowie nowego?
- Wszystko stare.

— Zagospodarowaliście się już w waszym domu?

— Wkrótce kupię sąsiedni ogród.

— Mój ojciec, jakto z tem waszem kupnem było? Wyście sprzedali ten dom Franciszkowi Marcowi i dostaliście za niego całą należytość gotówką.

— Juści gotówką.

— Wiem o tem, żeście większą część gotówki zgubili, a resztę wam ukradli, wiem. Za wasze długi zwalili się wierzyciele na sprzedane domostwo i...

— A czemuż się Marzec nie zahipotekował? Czy ja temu winien, że on głupi? Ja go będę rozumu uczył? Czy ja ojciec mu, swat lub brat? Ja mam za niego myśleć?

— Słusznie. — Wasza żona kupiła potem realność Marcową za pieniądze uzbierane i zapracowane z gospodarstwa, czy tak?

Chłop popatrzał na mnie podejrzliwie.

— Juści, że tak. Pacowała kobiecina, chodziła, cupkała, zganiała, aż se nazganiała.

Cebula patrzył w ziemię, bo kłamał jak pies.

— No mój ojciec, a dlaczegoż nie pomogła wam żona, żebyście długów nie potrzebowali robić? Przecie mąż i żona to jedno, jeśli zaś żona miała gotowe leżące pieniądze, to w jakiż sposób wyście robili długi? Na co? Po co?

Chłop łypnął na mnie ślepiami z podelba i rzekł:

— Mój panie, niech pan mnie na spytki nie bierze, bo się pan niczego nie dowie. Ja trzy razy do sądu jeździłem i trzy razy na wszystkie sposoby wypytywał się mię sędzia, skąd żona wzięła pieniądze. Żonę słuchał sędzia śledczy z dziesięć razy. Skąd wzięła? Pracowała i tyla. Pana może nastął kto na mnie...

— Niech Bóg zachowa, co wam też mój Wojciechu do głowy przychodzi. Ot, pytam jako zwyczajnie człowiek, co w waszym domu mieszkał. Skończcież tę gęsinę. Weźcie do rąk palcami, ktobyta z widelcem... A możeby tak jeszcze gęsiny.

— Zjadłbym.

— Chłopcze jeszcze pół gęsi i dwa piwa.

— Bardzo dobre mają w Krakowie piwo. Chleb biały...

— Wy mnie podejrzycie, a ja przecie ze sądem nie mam nic do czynienia, i nic ta cała sprawa mnie nie obchodzi. Chodziło mi tylko o to, żebym się dowiedział co się stało z Marcem, jak mu się powodzi...

— Już mu się nijak nie powodzi.

— Jak to?

— Nie żyje. Utopił się.

— Co wy mówicie? Jakże się to stało?

— Gdy sąd odebrał mu dom, zaczął sobie przybierać do głowy, chodził struty jak żbik, ludziom w oczy nie patrząc. Dobiły go nowe przesładowania sądowe, jakie mu na głowę spadły. Trzeba panu wiedzieć, że na kupienie odemnie domu, nie miał on całej potrzebnej gotówki, tyl-

ko musiał sto reńskich w kasie dapożyczyć. Gdy wyszedł z chałupy, a długi czem płaćć nie miał, rzucili się na krowę, rzucili się na paśną świnię i sprzedali mu na pokrycie weksła. W tensam dzień, gdy gadzinę mu sprzedali, poszedł na odmęt i utopił się.

Byłem przerażony spokojem, z jakim Cebula to opowiadał.

Złodziej ten i morderca moralny opowiadając o upadku i śmierci Marca, chrupał z ogromnym apetytem udo gęsie, zagryzał je czwartą z rzędu bułką z taką łapczywością i łakomstwem, że pot wystąpił mu na nos i na rumiane jak piwonia policzki.

— Macie dobry apetyt.

— Jest dziękować Bogu. Cóżto zresztą takie pół gęsi...

Siedziała przedemną w postaci tego człowieka zagadka. Czy on nie ma sumienia? Czy on nie wie, że popełnił zbrodnię kradzieży? Czy on nie ma poczucia, że jest sprawcą śmierci Marca, jego mordercą? Czy on nie ma w sobie ludzkiej duszy i ludzkiego serca? On zbrodniarz i morderca ma apetyt, równowagę umysłu i czyste sumienie, a ja... Nie, to nie do pojęcia, to się w głowie poprostu pomieścić nie może. Muszę przecież dotrzeć do głębin tej duszy, wykrzesać iskrę sumienia, iskrę skruchy.

— Napijmy się jeszcze piwa.

— Jak pan taki łaskaw.

— Mój ojciec nie żał wam też Marca?

— Juści że żal. Ostawił pięcioro dzieci, którym wdowa niema co do gęby włożyć, choć haruje, po robociznach chodzi do żniw, okopywania i zimą po dworach robi. Luto człowiekowi patrzeć, jak się obdarte biedactwa włóczą.

— Wam sumienie nic nie wyrzuca, że z was ta cała bieda poszła?

— A cóż mnie ma sumienie wyrzucać?

— Wzięliście pieniądze za dom.

— Nie wolno mi za mój dom wziąć pieniędzy?

— Nie popłaciliście długów.

-- Bom stracił.

— Ja wam wierzę, żeście stracili. Gdyby jednak prawdą było, żeście oddali je waszej żonie zamiast dać na długi...

— Gdyby to prawdą było, to zrobiłem dobrze. Pierwsza żona, niż wierzyciel, ja żonie jestem obowiązany jeść dać, a wierzycielom nie. A gdyby pan miał długi i żonę, komuby pan oddał pieniądze? Zresztą co tu dużo gadać. Gdy ja mam w ręce moje własne pieniądze, toć przecie wolno mi zrobić z niemi to, co mi się podoba. Z przeproszeniem pańs'twem, zapytam się pana, ma pan długi?

— Winienem za fortepian.

— Upominają się panu?

— Upominają.

— A dlaczegoż pan płaci gęsinę, każe przynosić piwo, zamiast dać te pieniądze temu, który panu zawierzył?

Uderzył mię obuchem w łeb swoją chłop-
ską żelazną logiką.

— Prawda.

— Jeśli ja jestem takim samym jak pan
człowiekiem, to mi wolno było żonie dać moje
pieniądze a nie wierzycielom, tak jak pan gęsinę
płaci a nie wierzycieli.

— Jednak żona kupiła na nowo ten dom?

— Czy żonie nie wolno kupić domu?

— Za pieniądze...

— Za pieniądze, które uczciwą drogą do-
stała.

— Jeśli od was dostała.

— To jest nieprawda. Gdyby jednak nawet
odemnie je dostała, to przysła do nich uczci-
wie. Wielmożny panie, jeśli teraz pan mi daruje
pięć reńskich, czy sto reńskich, wszystko jedno,
a ja to wezmę, czy ja do pieniędzy dochodzę
nieuczciwie?

— Uczciwie, ale...

— Wy wielcy państwo z miast kończycie
wysokie szkoły i pomiatacie chłopem, sądząc, że
on ciemny i głupi. A ja wam powiadam, że wy
chorujecie na rozum i niech mi wielmożny pan
daruje, moglibyście się czasem wiele od proste-
go człowieka nauczyć. Z pańskich oczów widzę,
że pan mię masz za złodzieja, że pan uważasz
mnie za zbója, który niesumiennie Marca we-
pchnął do wody.

— No, niech i tak będzie.

— Ha, ha, ha! Słuchaj pan. Coby się stało, gdyby się Marzec był zahipotekował na kupionym domu?

— Byłby żył, miał dom, dorabiał się...

— Żona moja wtedy byłaby inną chałupę kupiła. Ta była do sprzedania, a więc kupiłem tę, gdyby była inna, byłbym kupił inną. Gdybym ja był inną chałupę kupił, a Marzec i tak przez swoją głupotę został zlicytowanym, czy ja byłbym jego śmierci winien?

— Nie.

— A więc gdzież moja wina, że on się utopił? Gdzie? Rozumu pańskiego i sumienia się pytam, gdzie? Żem Marcową a nie inną chałupę kupił? Czy każdy człowiek, któryby był stanął na licytacyę i kupił jego chudobę, byłby zbrojem i mordercą? Każdy? Choćby go nawet ani razu w życiu na oczy nie widział? Weź pan Boga w serce i sumienie, powiedz pan, czy ja jestem winien jego śmierci?

— Nie.

— A widzi pan.

— Jesteście jednak przed Bogiem odpowiedzialni za to, że nie pospłacaliście długów.

— Jako żywo zapłaciłem. Bogiem się świadczę.

— Jak śmiecie Boga wzywać na świadectwo zbrodni.

— Powoli panie, hola! powoli. Było tak. Chałupa moja wartała czterysta reńskich. Pożyzyłem przed piętnastu laty w kasach trzysta reńskich. Ciężko borykając się z biedą, płaciłem

procenty i zwłoki, odnawiałem weksle i znowu procenty płaciłem tak, że wypłaciłem w piętnastu latach bankom trzysta sześćdziesiąt pięć reńskich gotówką brzęczącą, krwawicą moją. Zapłaciłem więc kasom cały dług trzysta reńskich i dałem jeszcze sześćdziesiąt pięć reńskich procentu.

Ja wiem o tem panowie, że pożyczysz trzysta, oddasz trzysta sześćdziesiąt pięć, jestem wam jeszcze winien przeszło trzysta... Ha, ha! Wiem. Takie wasze ustawy, takie wasze prawa. Wy składacie pieniądze do kas, a nędzarz musi wam procent płacić na wasze zbytki, na wina dobre, na dziewczęta ładne.

Gdy jednak traficie na chłopca jak ja mądrego, który was wykieruje i procentu odmówi, to nie płaczcie, nie lamentujcie, nie mówcie to złodziej.

To nie złodziej, tylko człowiek mądry...

Ty Boże widzisz, że pożyczone trzysta reńskich kasom zwróciłem. Ty Boże widzisz, że dałem im sześćdziesiąt pięć reńskich procentu za darmo. Wy nie bluźnijcie, że Bóg procent płacić kazał, bo procent to złodziejstwo i łotrowska rzecz. Nie dałem wam, he! he! śmiać mi się chce, parsnąłbym wam w oczy, wam, którym się grosz procentuje. Co? Mieliście apetyt na mój grosz? Ja będę robić i wam dawać! Jutro! Złodzieje! No, no, jak takich więcej będzie jak ja, to trzeba będzie taniej w karty grać i na dziewuchach trochę oszczędzać.

Dość tej mowy. Zapytuję teraz pana i po-
wołuję na świadka pańskie sumienie:

Gdzie to i jaką winę ja mam przed Bo-
giem? Co ja uczyniłem? Co ja temu winien, że
w moje sprawy zaplątał się ten biedny Marzec?
Co? Odpowiedz pan tak, jakbyś przed Bogiem od-
powiadał. Jestem winien lub nie?

Zamyśliłem się.

— Musiałbym mój ojciec rozważyć. Tak od-
razu odpowiedzieć nie mogę.

— Gdy pan sprawiedliwie w sumieniu rzecz
rozważysz, odpowiesz pan: nie.

K r a k ó w 10 września.

Resztę dnia spędziłem na rozmyślaniu o
Cebuli i jego sprawie.

Przed oczami duszy miałem wizję torturo-
wego koła, w które wpleciona jest ludzkość, —
zaczarowanej jakiejś błędniicy, z której rozum
ludzki wyjść nie jest w stanie.

Prawdą jest, że w Żegiestowie stała się
zbrodnia oszustwa i morderstwa, że dokonano
tych zbrodni na Franciszku Marcu. Wydarto mu
w niktzemny sposób mienie, spowodowano jego
okropną samobójczą śmierć.

Kto tę zbrodnię popełnił?

Przedewszystkiem stwierdzam, że zupełnie
podzielałam zdanie o procencie ogłoszone przez
Cebulę. Ośm procent od sta, każdy w ogóle pro-
cent, jest chorobą społeczną, wyzyskiem słab-
szych, nawet zbrodnią. Jeśli Cebula pożyczył
trzysta, oddał gotówką trzysta sześćdziesiąt, to
dobrze zrobił, że reszty nie zapłacił. Gdybym ja

pożyczył od kogo tysiąc, ten zaś po kilku latach zażądał odemnie dwóch tysięcy, powiedziałbym mu wręcz: Złodzieju. I z czystym sumieniem nie zapłaciłbym lichwy.

Konserwatywny purytanin, obrońca istniejącego porządku rzeczy powie mi może: gdyby nawet teoria twa o procencie była sprawiedliwą, to fakt oszustwa pozostaje, bo ty, zaciągając pożyczkę, zobowiązałeś się płacić umówiony procent, zatem zrywasz umowę i krzywdzisz człowieka. Takie rozumowanie jest czczą gadaniną. Gdy ja tonę, a ktoś mi powie: wyratuję cię, jeśli przyrzeczesz mi milion, toć ja przyrzeknę; gdy umieram z głodu, a ktoś za pół kromki chleba chce weksla na tysiące, toć go podpiszę... Ale tego rodzaju umowy, jak wszelkie umowy zawierane na tle niemoralnem, nie obowiązują. Kapitalista chce mnie okraść, chce zrobić źle, popełnić czyn niemoralny, traci więc prawo do zbierania owoców czynu niemoralnego.

Wy pieniądze bogowie tego świata nie żądajcież od słabszych, żeby oni dobrowolnie szli na rzeź kapitału, żeby oni finansowo zarzynani, mówili do was: masz wszelką słuszność, że mnie zabijasz, twoje prawo jest boskiem prawem. Boć nie ma tak głupiego człowieka, któryby mając do siebie skierowany zbójcecki rewolwer rzekł: czekaj waćpan, wyjmę z kieszeni papierośnicę, żeby się pańska kula przypadkiem na blasze nie zatrzymała, zdejmę cylinder, żeby pańska pałka tem łatwiej roztrzaskała mi łeb.

Kto skrzywdził Marca, kto zlicytował jego mienie, kto wepchnął do grobu? Kto jest tym zbrodniarzem.

Nie jest nim Cebula, który pożyczwszy z banku trzysta, oddał trzysta sześćdziesiąt i płacenia dalszej lichwy odmówił.

Nie jest nim Cebula, który dom swój własny Marcowi sprzedał, uzyskane zaś pieniądze darował żonie.

Nie on temu winien, że wówczas, kiedy Cebulina chodziła za zakupnem domu, zagroda Marca była do sprzedania, nie on zatem winien, że Marzec życie zakończył śmiercią samobójczą.

A jednak winowajcą ktoś być musi.

Jest nim kapitał, pieniądz, ustrój społeczny.

Pieniądz!

Przeczyście temu? Cebula winien?

Jeżeli winien, czemu nie siedzi on, ani jego żona w więzieniu? Wszak kto winien zbrodni oszustwa, idzie do kryminału, kto spowodował śmierć człowieka, idzie na szubienicę. A Cebula chodzi po świecie.

Jeśli ty, obrońco istniejącego porządku rzeczy, obrońco teorii procentowej, mówisz: „on winien“, to sąd i prawo, broniące istniejącego porządku rzeczy, odpowiedziało ci już: „Cebula nie winien.“

Sprawiedliwość dzisiejsza, etyka dzisiejsza, która mu wolno chodzić pozwala, powiada: nie winien.

Nie pomoże oburzanie się i gniew.

Marca zabił nowy, ohydny bóg ludzkości, któremu na imię: Pieniądz.

K r a k ó w 10 września.

Prawo zawyrokowało już w sprawie Cebuli, zawyrokował już rozum. Uniewinniło go jedno i drugie. A jednak jest jakiś głos w człowieku, który woła na niego: oszuście i zabójco!

Jest, o jest! Mniejsza zresztą o Marca i Cebulę. Ich postacie i losy obchodzą mnie tylko jako teoria prawna, klasyczny przykład elastyczności naszych ustaw i chorego ustroju społecznego.

Mimowoli jednak przychodzi mi ciągle na myśl porównanie Cebuli ze mną. Gdybym ja był Cebulą, nie miałbym jednej spokojnej myśli, jednej spokojnej chwili, szalałbym w dzień, nie spałbym w nocy. Ja nie potrafiłbym sobie wytłumaczyć tego wszystkiego w tak prosty chłopski sposób; nie potrafiłbym uspokoić głosu sumienia, zachować równowagi takiej, jaką on posiada. Topielec Marzec chodziłby za mną dzień i noc wołając: „zabójco“ aż wreszcie wciągnąłby mnie do mogiły. Nie potrafiłbym, opowiadając o śmierci Marca, mieć pełne usta gęsiny...

Nie mogę powiedzieć, że ja mam sumienie, a Cebula nie ma sumienia. Między nami jest tylko ta różnica, że sumienie, które on ma, prowadzi na cuglach swym rozumem, podczas gdy u mnie nie tylko sumienie cugli nie ma, ale ma skrzydła. mej newrozy, mych rozszalałych nerwów, dla których niema tamy, ni hamulca. Ner-

wy moje są wynikiem kultury i rasy, są owocem życia i użycia całych pokoleń, po których odziedziczyłem niezdolność do życia, brak odporności w walce z przeciwnością. Chłop Cebula, to człowiek, który nie ma kultury, nie ma rasowego rozpieszczenia, a skutkiem tych braków ma zdolność do bytu, zdolność do walki. To człowiek jutra.

Gdyby Cebula znalazł sto tysięcy, byłby zdrowy, miałby spokojne sumienie i równowagę umysłu. I olbrzymia większość ludzi w tych warunkach zasypiałaby snem człeka sprawiedliwego. Tylko ja! i nieliczni tacy, jak ja...

Rzekoma zbrodnia moja wielką jest, nie istotą swoją, lecz nerwami mojemu. Patrząc na nią przez pryzmat mej rozwydrzonej subtelnej nadczułości duszy, a widmo jej rzucone na wyobraźnię, ma wszystkie barwy występku, wszystkie kolory zbrodni, których w istocie jej niema ani śladu. Mój Boże!

Na darze, który mi przyniósł, nie wiem już kto, Bóg czy szatan, nie mogę znaleźć plam z krwi ludzkiej. Mnie nie ściga duch topielca, ni wyrzut rozmyślnego i zamierzonego oszustwa. Wziąłem to, co dał mi los w ręce dobrowolnie. Czemu Cebula jest zdrowy, wesóły, czemu ma wzrok pogodny i sumienie czyste? A czemu ja taki nieszczęśliwy? Czemu?

Całe jestestwo wysila się na żywiołowe jakieś odruchy, aby dźwignąć się na duchu, aby pozbyć się purytańskich myśli, aby położenie

swoje zobaczyć i ocenić okiem rozumu, a nie nerwów.

Sprawa Cebuli, widok tego pogodnego i spokojnego zbrodniarza oddziałał na mnie ostatecznie dobrze. Chwilami zdaje mi się, że jestem nim, że mam jego równowagę i chłopski rozum. Kilka dni temu, ile razy siedziałem w czytelnicy nad gazetą, miałem co chwila wrażenie, że ktoś z tyłu zbliża się do mnie, kładzie rękę na ramieniu i woła: chodź na policję. Dziś częściowo to ustało.

Mając dużo wolnego czasu, chodzę po Krakowie, siedzę w bibliotekach i czytelnicy publicznych. Często wstępuję do kościołów. Nie staram się wcale modlić; o, bo siły już nie mam do tego. Siły czy odwagi?

Wczoraj byłem w katedrze na Wawelu. Nie znam chyba tak trzeźwego historyografa, nie znam tak zażartego republikanina, żeby te brzozy, te wykute z marmuru postacie, nie przemówiły do niego. Posągi mają swoją poezję przeszłości, wieje od nich pewna zaduma, jakiś smutek... Nastrój, wywołany grobowcami, jest dla mnie głęboką psychologiczną zagadką, nie należę bowiem do szeregu ludzi, którzy entuzjastycznie się przeszłością dlatego tylko, że ona jest przeszłością i niczem więcej, którzy bezkrytycznie admirują każdy kamień, nie pytając, co on kryje, która karta historii w nim zakuta, nie rozumując zresztą, nie wiedząc o tem, czy nie chcąc wiedzieć, że bogaty Kmita ma tam kamień, a Skarga ani Kopernik nie mają kamienia... Zbio-

rowisko grobowców przemawia do tego skrzydła duszy, które się zwie poezją, tym poetycznym nastrojem mówi do mnie wspaniały renesans, prastary gotyk i ciężkie marmury barokka, wszelką zaś krytykę zawiesza się wtedy na kolek, tłumi się ją w sercu i ze serca wyrzuca — przypominałaby ona bowiem, że w katedrze na Wawelu jest między innymi także tablica Mikołaja Zebrzydowskiego.. Uczucie ludzkie, które wzbiera przy czerwonym grobie nieśmiertelnego Kazimierza, przy szarym sarkofagu Łokietka i niewielu innych, opada wnet, a serce poetyzuje sentymentem humanistycznego łacińskiego wiersza, prześlicznego formą, mistrzowskiego grą wyrazów, brylantowego rytmiką, pustego zaś i bezdusznego treścią.

Są uczucia bez uczucia, są sentymenty w duszy, które bicia serca ani o włos nie przyspieszają. Wydaje się to paradoksem — a jednak tak jest.

Znam w Warszawie jednego pierwszorzędnego polskiego pisarza, sławnego pedanta co do formy swych utworów, co do rytmiki swych wierszy, co do kunsztu budowniczego każdego frazesu, każdego literackiego zwrotu i okresu. Gdy napisze stronicę manuskryptu, czyta ją od początku do końca, szukając, czy na jednej stronicy nie powtarza się dwa razy zaimek „który, która, które“. Jeżeli podczas tego polowania na zaimek uda się mu go znaleźć, to tak długo zdania przerabia, tak długo zmienia frazesy, aż to drugie „który“ wyrzuci. Wpisze pięć nowych

zdań, ale nieszczęsne „które“ musi wylecieć. Raz zapytał mnie ten wielki wielbiciel Mickiewicza:

— Wie pan dlaczego Mickiewicz jest takim literackim kolosem?

— Bo napisał „Pana Tadeusza“.

— Nie.

— Bo w „Dziadach“ zaleciał tam na skrzydłach swej duszy, gdzie inny człowiek dojsć nie jest w stanie.

— Nie.

— Zapewne dlatego, że mistrzowska budowa sonetów Krymskich...

— Nie, nie.

— A więc dlatego, że tak grał na ludzkich sercach, jak nikt przedtem i nikt potem.

— Ależ nie.

— Dlaczegoż więc?

— Mickiewicz jest dlatego wielkim, bo napisał sześć słów.

— Sześć słów?

— Anioł burzy... „uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.“

— Jest to frazes wspaniały, ale...

— Panie! takiego frazezu, takiego mistrzowskiego zestawienia liter nie ma piśmiennictwo Europy, to ostatnie słowo mistrzowskiej budowy zdania, to ostatnie słowo kunsztu, w którym gra słów, nieporównana muzyka brzmień sekunduja treści... Gdyby Mickiewicz nic był nie napisał więcej prócz tych sześciu słów, to już za te słowa postawiłbym mu pomnik, na który one zasłużyły. Dziesięć lat pracuję, aby wymyślić po-

dobny genialny frazes i Mickiewiczowi konkurencyę zrobić, — niestety na nic się wszystko nie zdało

Oto entuzjazmowanie się nie frazesem, ale jego formą — oto sentyment na zimno. Gdyby można powiedzieć, że Mickiewicz ma tysiąc zalet, to frazes ten byłby zaledwie dziewięćset dziewięćdziesiątą jego zaletą. Są ludzie, którzy wywleką ją na czoło i na pierwszym miejscu postawią.

Taki entuzjazm jest rozumowanym, takie uczucie jest sztucznem, odczuciem na zimno. Z takim też uczuciem szedłem do grobów królewskich, które właśnie otwierano.

Człowiek, który panuje nad swoją fantazyą, filozofuje zawsze i pyta się: Dlaczego ja mam się rozczulać nad kamienną bazą lub kapitelem prastarej krypty wawelskiej, stojącej siedmset, czy więcej lat, a nie mam się rozczulać nad bryłą kamienia pinczowskiego, nad kawałkiem granitu tatrzańskiego, który tyleż lat na turniach stoi? Natura ludzka lubi sentymentalizm, a człowiek, oglądając stary zabytek, starą historyczną szablę lub jej falsyfikat, lubi pozować na głęboko myślącego.

Każdemu pierwszemu lepszemu pionkowi zdaje się wtedy, że jest on istotą wyższą, że jest on teraz w jakiejś dramatycznej roli, że brak jedynie pod ręką dramaturga, aby z jego postaci zrobił wzruszający do łez dramat — brak malarza, któryby z niego stworzył przepyszny, uczu-

ciowo rodzajowy obraz, sfałdowawszy nieco z gotycka rękawy prozaicznego, szablonowego surduta...

Z filozoficznym uśmiechem wszedłem do krypty, gdy w tem... Stoi tam szary z prostego piaskowca wykuty sarkofag. Myśli cisną się tłumnie, zaroilo się nagle pod czaszką, jak w pniu pszczelnym w chwili, gdy barć ma się wyroić.

— Jemu dawano tysiące rubli do ręki, a nie wziął...

Dawał mu je człowiek, który choć nieprzyjaciel, miał dla niego szacunek, cześć. Nie chciał nic za to, nawet przyjaźni, mówił tylko: weź! A ten z biedy i ubóstwa zastawiając filizanki w Londynie, zagrożony zapewne głodem... ruble napowrót odesłał...

On nie wziął darowanych pieniędzy. A ja ukradłem je...

Coś strasznego w duszy się dzieje, jakiś straszny płomień rozgorzał w mózgu. Coś dusi mnie za gardło...

Wszystkie erynnie, wszystkie furye w sercu powstają, szarpią je na kawałki, brocząc się krwią moją. Sumienie mówi, sumienie woła:

— Idź precz nędzniku od tych świętych zwłok!

Okropne...

Niewidziane moce pluja mi w twarz, policzkują mnie bez litości, nadludzka siła z potęgą huraganu łapie mnie za krtań, dławi, dusi w gardle, chwyta za kołnierz i woła:

— Precz stąd łotrze! Precz!

K r a k ó w 10 września.

Nigdy z większym apetytem wódki nie piłem. Dziwi mnie to tem bardziej, że nie jestem zwolennikiem tego kordyału, sztuczne zaś podniecanie się spirytusem zostawia za sobą niesmak i zmęczenie. Dziś wypilem pięć kieliszków wódki, zjadłem cztery jaja z kawiozem.

— Za kradzione pieniądze — szeptałem sam do siebie.

Tak jest, za kradzione. Dlatego właśnie mi tak smakuje, że za kradzione, że zdobyte siłą potrzebną do walki o byt, a raczej zatrzymane siłą potrzebną do walki o byt. Miałem wielką ochotę kupić sobie pół gęsi, aby dać taki sam koncert, jaki niegdyś dał Cebula. Szkoda naprawdę, że w handlu piwnym, do którego wstąpiłem na wódkę, nie sprzedają tego parafianskiego nieco przysmaku.

Śmiać mi się chce doprawdy z mych wzruszeń, — z orgii, jakie czasem moje nerwy wyprawiają. Litość czuję dla samego siebie, że lada chwila, lada powiew fantazyi jest w stanie rozpuścić cugle nerwom, moim rozwydrzonym nerwom. Śmiać mi się chce z porannej sceny w grobowcach.

To, że nie wziął rubli, świadczy nie dobrze, lecz źle o nim. Była to natura niezdolna do istnienia, niezdolna do walki o byt. Wielkie wypadki dziejowe spowodowali ludzie, gotowi na wszystko, nie myślący nerwami, nie przebiera-

jący w środkach, nie rozróżniający granicy między dobrem a złem, cnotą a zbrodnią. Wielkim czynom dziejowym towarzyszą ściśle wielkie zbrodnie dziejowe, zawsze i bez wyjątku.

Jest to niewątpliwie bardzo poetycznym, że on nie był zdolnym do zbrodni. Wielbić go będą poeci, czcić go będą pokolenia — ale społeczeństwo potrzebuje czynu, a nie poezyi.

To nie był człowiek czynu, nie był człowiek dzieła. Najlepszy dowód, że upadł, upadł razem ze społeczeństwem... Upadł dlatego, że pierwiastkiem jego duszy był liryzm, miękkość, dobroduszość serca, poezya, zapatrzenie się w gwiazdy niebieskie — słowem właściwości, które zwą się cnotą. Do czynu potrzeba żelaznej ręki, siły woli, energii i wyzucia ze wszystkich uczuć ludzkich. Do czynu potrzeba przekonania, że siła stoi przed prawem, że dzieje ludzkości pisze się nie piórem lecz żelazem, nie atramentem lecz krwią ludzką.

Gdyby on był pieniądze wziął, ukradł drugie tyle, zrabował krocie, ściągnął kontrybucjami miliony, obrabował kościoły, wziął na sumienie tysiące spalonych siół, zrabowanych domostw, pomordowanych ludzi, byłby zwyciężył. On nie był zdolny do zwycięstwa, bo los zwycięstw w takie ręce nie daje.

Biada słabym. Świat należy do silnej pięści. Siłą przed prawem żyje na pustyni tygrys, siłą przed prawem żyje każde zwierzę, każde ziemskie jestestwo. Patrz w ciemny bukowy las. Tam na ziemi nic nie rośnie, bo korony drzew

nie dopuszczają promienie słońca, bo mocniejszy buk zabrał wszelkie promienia słoneczne i nie da wyrósć dzwonekowi, dziewannie i konwalii. To inna rzecz, że dzwonek, dziewanna i konwalia mają prawo do bytu, że antylopa zażarta przez tygrysa ma prawo do bytu, to rzecz inna.. Żyje ten, kto jest mocniejszy.

Gdyby lew zrezygnował ze swej siły i uznał prawo do bytu antylopy i gazelli, musiałby zdechnąć z głodu. Z chwilą, gdy przyszedł na świat, nie wolno mu zrezygnować ze swych praw — ze swych praw do pożarcia słabszego.

Przecież to jest oczywistem, że ludzie nie są wyjątkami, że na całej ziemi panuje to prawo i to samo prawo odnosi się do zwierząt, roślin i ludzi.

Wzywam każdego rozumnego człowieka, niech popatrzy na świat, czy cały system społeczny nie jest oparty na temsamem zwierzęcem prawie? Wysnuwa się sam przez się żelazny, nieubłagany wniosek, że kto chce żyć i istnieć, nie śmie się wyzbywać swego prawa, nie śmie rezygnować z prawa pożarcia słabszego.

To nie ja winien, że zesłano mnie na ten świat, gdzie takie panuje prawo. Ja nie prosiłem, żeby mię tu zesłano. Jeśli mnie zaś zesłano, chcę korzystać ze swych praw, chcę istnieć. Kto nie chce istnieć, niech rezygnuje. Społeczeństwa takie wymrą, ludzie zaś boso i nago błąkać się będą po przytułkach noclegowych. Ja nie mam do tego ochoty.

Amerykańscy Indianie zapewne mają autochtoniczne prawo do bytu na własnej ziemi. Oni mają prawo, ale my biali siłę...

Istnieć lub nie istnieć, znaczy: mieć siłę lub prawo. Ja chcę istnieć.

Co prawda, nie źle jest przy tych zasadach zachować pewne dekorum. Kosztuje to kilka marnych frazesów, kilka westchnień o treści umoralniającej...

Gdy się zrobi wielkie jakieś łotrowstwo, gdy się zasiądzie w cudzem gnieździe, żyje cudzym chlebem, cudzym dorobkiem, cudzą krwawicą, nie źle jest od czasu do czasu powiedzieć: „Przedewszystkiem cnota“ lub też „Bóg sprawiedliwy z nami“ albo „Bóg widzi nasze czyste dusze“.

To dobrze robi. Zwłaszcza dla historyków trzeba kilka takich zdań powiedzieć, aby mieli pyszne tytuły dla historycznych artykułów. Ja sam wkrótce zapiszę się do wszystkich filantropijnych stowarzyszeń, mających na celu otarcie łez ludzkich, pomoc dla upadających i potrzebujących wsparcia, dla zubożałych nie z własnej winy. Dam taką wkładkę, że niewątpliwie wybiorą mnie prezesem. Jakżeż przepysznie będę posiedzenia wydziału inaugurować.

— „Panowie! Ohydne hasła walki o byt, rzucone lat temu kilka...“ — lub też: „Moje panie! szanowni panowie! Stoimy wobec problemu, czy wolno nam beczynie patrzeć na ludzi, którzy, całe życie pracując, w nędzę popadli...“

Przemowy moje będą drukowane w gazetach, kto wie, czy nie cytowane we wstępnych dziennikarskich artykułach, jako wzory altruizmu i cnoty obywatelskiej.

Tymczasem napijmy się wódki.

— Panie, panie! Pomarańczowej z mocną. Jeszcze jedno jajo z kawiozem!

K r a k ó w 11 września.

Jestem poprostu zdumiony zręcznością policyi i pytam się sam siebie, jak ona potrafi zataić przed dziennikami i famą publiczną sprawę zgubienia tak ogromnej sumy. Widać, że dośledztwa potrzebna im ta tajemnica, że wszyscy interesowani wezwani są do grobowego, bezwarunkowego milczenia.

Musiała im policja wręcz powiedzieć: jeśli słowo piśniesz, przepadły twoje pieniądze. Milczą też jak ryba, bo jeśli reporterzy pism, którzy wszystko wiedzą, nic się dotąd o zgubie nie dowiedzieli, to już chyba nikt o niej nic nie może wiedzieć.

Staram się ciągle dowiedzieć, kto był właścicielem zgubionego portfelu. Mając duże koło znajomych, obeznanych dokładnie ze skandaliczną kroniką Lwowa, Warszawy, Krakowa i Poznania, badałem, czy nie znajdę jakiej Luli, utrzymywanej i hojnie obsypywanej przez jakiegoś staruszka. Lula to zapewne zdrobniałe albo Karolina albo Ludwika. Pytałem o wszelkie Lule półświatka i żadna jakoś nie odpowiada moim domysłom i domniemaniom.

Żałuję naprawdę, że nie zapisałem sobie nazwisk fabrykanta i hrabiego, których bilety były w portfelu. Poszły one do wody wraz z portfelem, jeśli zaś we wodzie nie zgniły, ma je zapewne w ręku władza policyjna. Szkoda, że ja tych nazwisk nie pamiętam, bo miałbym bardzo łatwą drogę do dojścia, kto zgubił portfel, kto jest owa Lula.

Bywalcom lwowskim i warszawskim kazałem sobie wyliczać wszelkie damy półświatka, którym kupiono w darze kamienice. Ale i to nie doprowadziło mnie do celu.

Byłbym zupełnie spokojny, gdyby nie to, że mam zaledwie sto koron drobnych pieniędzy. Jak miecz Damoklesa wisi nademną konieczność zmiany wielkich banknotów, mimo całego mego spokoju dla mnie rzecz arcynieprzyjemna. To musi się stać, abym miał co jeść.

Wiem dobrze, że najłatwiej grubsze banknoty zmieniać w rządowym urzędzie podatkowym. Trzeba mieć naprawdę nieszczęście, że krakowscy poborcy podatkowi, to dobrzy moi znajomi, co zaś gorsza, to wspólni moi znajomi z tym łotrem Konstantym Liszką. On nawet mnie z nimi zapoznał i nie przesadzę, jeśli powiem, że ze dwadzieścia razy byliśmy wszyscy razem na piwie, przyczem przydywał Liszka, któremu po złapaniu jakiego złodzieja piwo bardzo smakuje.

Dziś poborca podatkowy, u którego tysiączkę zmienię, powie zaraz o tem Liszce, a ten ma-

jąc tylko dalekie a dalekie poszlaki, będzie miał już pewność...

Tego zrobić nie mogę.

E! co tam! Pierwszego lepszego poranka palnę sobie kilka pomarańczowych z mocrą i z głową pełną fantazyi pójdę do kantoru zmienić. Jak jest chleb, to już o nóż łatwo...

Próbowałem dzisiaj grać... o, po raz już ostatni.. Nie dotknę więcej fortepianu, żeby nie oszaleć! Mniejsza z tem, że tworczy organ ducha we mnie zamarł, że nuta, która dawniej błąkała się po duszy i melodya, którą drgało każde uderzenie mego serca, zamarła już, zamarła. Dziś przekonałem się, że ja nietylko tworzyć, ale i odtworzyć nic nie potrafię. Próbowałem dziś zagrać ulubionego mego polonesa Chopinowskiego *es dur*. Matko Boska, toż ja już czucie, rozumienie melodyi straciłem. Wybijałem mechanicznie nuty zamknięte w pięciu liniach, tłukłem je bez ducha, uczucia, zrozumienia, sensu...

K r a k ó w 11 września.

Muszę coś ze sobą począć, rozwiązać jakoś problem mej przyszłości. Tak dalej być nie może. Przedewszystkiem potrzeba zmienić pieniądze.

Kilka razy przychodziła mi myśl, żeby jechać do Ameryki i zawsze ją odtrąciłem. I dziś ze wstrętem prawie myślę o ewentualnym pobycie moim za oceanem.

Mimo całego krytycyzmu mego, mimo pozbycia się czułościowości i obleczenia się w skórę na zimno myślącego człowieka, widzę, że ty-

godnia nie wyżyłbym bez kraju, bez rodzinnego pejzażu i ojczystej ziemi.

Przecież do dziś dnia pamiętam mój pobyt w Monachium, gdzie tęskniłem za krajem, gdzie szalałem z tęsknoty za polską wierzwą, polskim brudnym chłopem, polską ojczystą mową. Czyż jest co piękniejszego na świecie, niż ta pani Adryatyku Wenecya? Czyż jest gdzie takie c-gromne arcydzieło, jak cały plac św. Marka? Czyż można pomyśleć piękniejsze cacko, aniżeli prześliczna Piazzeta, której pałace odbijają się w rozkoszne szmaragdowej toni morza? A jednak gdyś stamtąd przed nostalgią uciekał, to zimny wichur, który z lodowych szczytów zawiął na mnie w Alpach, rozradował moją duszę, bo przypomniał mi kraj mój...

Mniejsza z tem, że niema się co łudzić, abym mógł bezpiecznie i cało do Ameryki dojechać. Wiem o tem dobrze, że w Hamburgu i Hawrze policya każdemu z wychodźców dobrze w oczy patrzy, że w Nowym Jorku w porcie chwytają złodziei i odstawiają ich z powrotem. Ameryka przestała być schroniskiem, w którym każdy wchodzący do kraju kapitał witano z radością. Dziś pytają się: skąd masz ten kapitał.

Przypuśćmy jednak, że się uda... Czuję, że gdybyś tam stanął, to po jakimś tygodniu powiesiłbyś się z tęsknoty. Tego już z duszy nie wyrzucę. Jak woda i chleb, tak mi potrzebna zielona łąka, szumiący las, kwietne ugory i szumiące górskie potoki. Nie potrzebuję zresztą tego z duszy wyrzucać. Owszem kapitał pomoże mi bujać

po rozkosznym świecie... Osiędę gdzieś na wsi...
Kupię dom przy lesie, założę ogródek pełen ostróżek,
dzwonków, lewkonij, laków i lilij białych.
Boże mój, Boże!

W kwietne łąki, w podszyte lasy uciekałem dawniej przed zgryzotą i złą myślą, aby nabrać ducha, nabrać sił, odświeżyć się. W brzegi leśne, pokryte kwieciami ostreżnic i malin, w zieleniutkie lasy brzezinowe szedłem jak do kościoła, modlić się do Stwórcy, który powołał do bytu tę brzezinę, girlandy bluszczów, łąny macierzanki. Lepiej tam myśleć o Bogu, prędzej myśl do Niego leci, niż w kościele, gdzie pod pozłotką ołtarzy robak toczy próchno drzew. Bo największym, najpiękniejszym kościołem jest bór, gdzie iglice sosnowe szumią wielką pieśń stworzenia — las pełen zieleni i kwieciami, o podłodze wybitej gwiazdami zawilców, o sklepieniu listowia, przez które lazur nieba się przedziera. Największym dla mnie kościołem jest wnętrze kielicha dzwonka leśnego, którego budowa, struktura, kształty i barwa prześciga konstrukcyjnym talentem wszystko, co ziemscy mistrzowie architektury wymyśleć i stworzyć potrafili...

Uciec w ten świat czarów, w ten świat cudów...

Zmianę pieniędzy odkładam z dnia na dzień. Jakoś, jak nie szło, tak nie idzie. Żal mi naprawdę, że pod wpływem usposobienia mego przedwczoraj tego nie uczyniłem. Dziś znowu jakaś słabość, idyotyczna słabość paraliżuje moją wolę.

Strasznie musiałem walczyć ze sobą, nim zdobyłem się na krok stanowczy i energię. Wydobyłem banknot i poszedłem z nim do miasta. Dla nabrania otuchy, pewności siebie, wstąpiłem do wódczanego handelku, aby wódka wygnała ze mnie resztę głupich refleksyj. Mam i miałem zawsze wstręt do wódki, a jednak wypilem jeden, drugi i trzeci... Było mi trochę lepiej, serdeczniej, zaciszniej... Wypilem czwarty. Nic spirytus w głowie nie szumi, nic nie działa, nie upaja... A przecież to *esprit de vins*, wódka mocna.

Trzeba wreszcie iść. Szedłem przez rynek ku kantorowi krokiem pewnym... Im bliżej jestem kantoru, tem... Wiem dobrze z przeszłości, że gdy miałem dziurawy but pęknięty na wierzchu, to równocześnie odczuwałem, jakby cały świat, wszyscy ludzie na moje buty patrzyli. To samo uczucie mam teraz. Tylko wielkie jak burza, potężne jak nawałnica, wyjące jak hu agan...

Miga mi się w czach, cały świat mgłą zachodzi — jakiś straszny świat. Jakby iskry latały w powietrzu, jakby wieża maryacka iskrami się przesłoniła.

Kantor... drzwi duże szklane, mosiężna klamka... Dotknąłem jej.

Jutro pójdę. Wódka zachwiała mym mózgiem, zdaje mi się, że świat się obraca, że kolumny Sukiennic tańczą, że wieża ratuszowa zgięła się w połowie i leci na mnie, leci....

Przyszedłem do domu. Nawet nie potrzebo-
wałem chować pieniędzy do biustu Chopina-

Niech wszystko dyabli wezmą, niech mnie wezmą. Co ma być, niech się stanie, byle prędzej... O byle prędzej. Te pieniądze czepiają się mych palców, jakby nagumowane. Idźcie precz, wy nieszczęście moje.

Piekło mi ten dar dało. Piekło!

Ratuj mnie Boże...

K r a k ó w 11 września.

Boże ulituj się nademną!

W kronice jakiegoś dziennika czytam co następuje: „Tych szczęśliwców, którzy posiadają dotychczasowe banknoty na tysiąc reńskich, jeszcze raz zawiadamiamy, że kursować one będą w zwykłym obiegu do dnia pierwszego grudnia br. Kasy zbiorcze podatkowe wymienić je będą do dnia 1 lutego, wiedeńska c. k. kasa zbiorcza do dnia 1 maja, po tym zaś terminie tracą wszelką wartość. Nowe banknoty na dwa tysiące koron puszczono w obieg z początkiem bieżącego roku“.

Zatem dwa miesiące czasu... Przez dwa miesiące muszę jedenaście razy przejść przez dreszcze śmierci.

Gdzie się podziła odwaga moja, gdzie pierzchnęło poczucie siły, które w siebie wmaślałem?

K r a k ó w 11 września.

Poszedłem zmienić tysiączkę. Co przeżyłem, Bóg wie. O! O! Kantorzysta powiedział: „nie mamy drobnych“. Gdy wychodziłem, szeptał coś z bankierem. Szeptał... Wymówiono moje nazwisko: Dora.

Lecę w przepaść z rozpędem tatrzańskiego z góry strąconego głazu. Lecę...

Chcę nabrać sił, nabrać odwagi panowania nad sobą... Śmiech mnie i litość nad samym sobą bierze. Oto, — czuję, że wisi nademną głaz, wisi na nitce. Musi się urwać, musi.

Biust Chopina zalepiłem na nowo.

K r a k ó w 11 września.

Wierzę, że pieniądz jest szatańskiego pochodzenia. On nie może być darem Bożym. Bóg nie może dawać zła. On tylko dobre dać może. Kogo chce zrobić nieszczęśliwym, daje mu pieniądze. O nie mówmy, że temu a temu człowiekowi Bóg błogosławi, bo mu dał pieniądze. Przypatrzmy się tylko biedzie lub bogactwu z odległości tysiąca lat, oświećmy rzekome szczęście ludzkie przestrzenią czasu. Cóż za nędza! Boć przecie to chyba wszystko jedno, czy ktoś, co tysiąc lat temu umarł, leży w ziemi czy w Quedlinburskiem mauzoleum. Proch i proch.

A może sława? Może ten argument, ten wzgląd, że ludzie ci, którzy posiadali moc czy pieniądze uśmiertelnili się w pergaminach, w książkach średniowiecznych, w posągach, sarkofagach, pamiątnikach, historyach lub dzisiejszych dziennikach? Boże mocny! Nie puszczając się między planetarne loty, nie argumentując, że podobno są gwiazdy, gdzie była cywilizacja, historia, literatura, sława, które wymarły i śladu już po nich nie masz — kto mi z uczonych geologów zaręczy, że tam, gdzie dziś ocean Spokojny i Atlan-

tycki, nie było ładu z cywilizacją? Kto mi zaręczy, że pewnej pięknej nocy nie nastąpi wybuch, który w sekundzie Europę pchnie na dno morza, z fali Atlantyku zaś wydobędzie nową ziemię, która na nowo zacznie się roślinności, zwierząt, ludzi i... cywilizacyi dorabiać? Kto tę możliwość jest w stanie wykluczyć? A ile tam na dnie oceanu wartać będą biblioteki, posągi, dobra, kapitały, co znaczyć będzie laur, nieśmiertelność, sława?

.
Dusza ludzka!

Niemasz w naturze potęgi, któraby sosnę zamieniła w świerk, ocean Lodowaty w Alpy, wiatr południowy w piasek Sachary. Żadna moc tego zrobić nie jest w stanie. Tylko w biednej duszy ludzkiej dzieją się takie przemiany. Z nadziei rozpacz, — ze szczęścia, piekło. I to bez stanów pośrednich...

Jakie wysiłki robiłem, aby wrócić duszy siłę, która w niej była, — energię, która żarem w żyłach płonęła tak nie dawno jeszcze. Ani jednego nerwu nadziei, ani jednego włókna, z któregooby szczęście, choć ułudę szczęścia, wyprząść było można.

Ja nie chcę już tej energii, nie chcę siły, nie chcę zdolności do walki o byt. O! mnie lepiej z tą rozpaczą, z tym ciężarem w duszy, z wyrzutem sumienia i rozdartem sercem. Jestem bliżej Boga...

K r a k ó w 11 września.

Pieniądze oddam.

K r a k ó w 12 września.

Czuję w sobie dwie natury. Dziś w okropnem nieszczęściu, w bezbrzeżnej rozpacz, dwa stany duszy, dwie istoty duszy odrzynają się od siebie wyraźną namacalną niemal krawędzią.

Mam czystą od Boga mi daną duszę. Jest ona częścią Boga, wysłanniczką Boga. Obok niej, wspólnie z nią, mieszka drapieżny wilk, ten, który więcej owiec bije, niż ich zjeść może, Spał on cicho, skuty, związany w mej duszy. Spowiła go w kajdany myśl moja, pieśń moja, ten największy dar Boży.

Pieniądze zbudziły nagle to żarłoczne zwierzę. Poszarpał, sponiewierał duszę moją i zasnął.

O gdyby dawniejszy czas wrócić mógł, gdyby...

K r a k ó w 12 września.

Chciałem się koniecznie dowiedzieć o następstwach prawnych faktu kradzieży czy zatajenia, chciałem nadto wiedzieć, czy i o ile będę pociągany do odpowiedzialności sądowej, jeśli całą prawie sumę zwrócę, małą zaledwie część sprzeniewierzywszy. Bo bezwarunkowo chcę oddać i oddam.

O podał bilardu, gdy grywam, siada zwykle młody prawnik, zdaje mi się, że koncypient adwokacki. Młodzi prawnicy, młodzi medycy, sławni są z tego, że o niczem innem mówić nie lubią, tylko o paragrafach i chorobach. Sprawia im to przyjemność. Taki kandydat na doktora na zapytanie: cóż tam słyhać? — odpowiada zaraz: dziś krajaliśmy trupa, szukając raka, lub też dziś

pacjentowi wyrzynałiśmy wątrobę. Młody znów kauzyperda ciągle szastać będzie paragrafami, on myśli nie własnym mózgiem, ale paragrafem. Taki młodzieniec dowiedzie, że chodzenie z parasolem jest sprzeniewierzeniem, bo człowiek, który idzie z parasolem koło roli lub ogrodu, zabiera właścicielowi pewną sumę deszczu, potrzebnego mu, przez co przyprawia go o straty i może być o to pociągniętym do sądowej odpowiedzialności.

Swoją drogą nie znam ludzi więcej ograniczonych, jak zacierzewieni prawnicy. Oni mają czaszkę wewnątrz wytapicerowaną kodeksem i poza paragrafy kodeksu myśl ich nie idzie, bo z szyn logiki sądowej wyskoczyć nie może. Nie przeczę, że taki człowiek może być dobrym adwokatem lub administratorem, to jednak pewna, że nie będzie on miał polotu, twórczości i inicjatywy, nie będzie mężem stanu, filozofem a nawet twórczym talentem ekonomicznym. Gadażliwość prawnicza, która człowiekowi nie raz kością w gardle stanąć może, postanowiłem wyzyskać.

— Mój panie doktorze, racz mię pan objaśnić w pewnej kwestyi prawnej.

— O, z przyjemnością służę, z przyjemnością.

— Czy dzisiejsze kodeksy europejskie dają jeden i ten sam wymiar kary za zbrodnie w różnych warunkach popełnione?

— Nie rozumiem pana.

— Dajmy na to, że ktoś panu ukradnie zegarek. Czy to wszystko jedno, czy zegarek będzie żelazny, niklowy, srebrny lub i złoty?

— Zupełnie wszystko jedno. Kradzież jest kradzieżą. Kodeks jednak rozróżnia wartość przedmiotu skradzionego. Co innego jest ukraść koronę, a co innego tysiąc koron.

— Jakaż różnica?

— Przy kradzieżach i sprzeniewierzeniach wytyczną sumą co do wymiaru kary jest dwadzieścia pięć złr., względnie 300 złr.

— Więc nie jest to wszystko jedno, czy ktoś ukradnie 299 złr. a trzysta jeden?

— Nie; przy trzystu złr. jest granica. Od tej jednak granicy pozostawia się złodziejowi zupełną wolność. Czy złodziej ukradnie lub sprzeniewierzy 300 złr. czy dwieście tysięcy złr., to jest wszystko jedno. Kara za to wynosi pięć do dziesięciu lat ciężkiego więzienia z utratą wszelkich praw obywatelskich.

— Jakich praw obywatelskich?

— No szlachectwa, czynnego i biernego prawa wyboru i tak dalej.

— Nie zrozumiałem pana. Czy ukraść 300 złr. a dwieście tysięcy to wszystko jedno?

— Zupełnie wszystko jedno.

— Ależ rozmiar wyrządzonej krzywdy?...

— W to już kodeks wchodzić nie może. Nie jest rzeczą ustawy karnej mierzyć czyjaś krzywdę, bo to należy do procesu cywilnego, ale karać złodzieja, który, jeśli ukradł 300 złr., to jest zdolny ukraść i dwieście tysięcy.

— Nie mogę was zrozumieć, panowie prawnicy, nie mogę pojąć rozumowania waszego kodeksu. Jakto? Jestem dajmy na to przy otwar-

tej żelaznej kasie, w której leżą miliony. Mogłem być miliony zabrać, lecz ja zabrałem tylko 300 złr. Czyż wszystko jedno, ile ja sprzeniewierzyłem?

— To nie jest przedewszystkiem sprzeniewierzenie, tylko kradzież. Co do tego zaś wypadku, fakt, że pan mogąc wziąć więcej, wziął tylko 300 zł. jest okolicznością łagodzącą, ale nie uwalniającą. Dlatego też ustawa mówi, że kara za to od pięciu lat do dziesięciu i że przy bardziej obciążających okolicznościach należy wymierzyć wyższą karę, przy łagodzących zaś niższą.

— Ścisłe jednak rzecz biorąc, jak według pańskiego mniemania zawyrokowałby w tej sprawie sędzia?

— Trudno przewidzieć. Poniżej pięciu lat ciężkiego więzienia wymierzyłby nie mógł.

— Mógłby jednak dać więcej?

— Naturalnie.

— I utrata praw obywatelskich?

— Oczywiście.

— Jestem panu bardzo za pańskie informacye zobowiązany, przyznam się panu bowiem pod sekretem, że czasami bawię się nowelistiką. Obecnie mam zamiar napisać nowelkę kryminalną, a pan, panie doktorze, bardzo mi wiele uwagami swemi dopomogli. Mniemam, że powieściopisarzowi mylić się nie wolno i nie wolno wystawiać się na tak nedorzeczną śmieszność, jak „realistyczny“ autor „Dziela“, w którym malarz pracuje w atelier oświetlonem słonecznymi promieniami.

— Cóż w tem złego popełnił Zola?

— Pierwszą zasadą budowy malarskiej pracowni jest to, żeby słoneczne promienie nigdy się do niej nie wdzierały, żeby było tylko światło odbite, północne lub północno-wschodnie.

— Nie wiedziałem o tem i zdawało mi się...

— Aha! żebym nie zapomniał. Snujmy dalej tę złodziejsko-kryminalną sprawę. Złodziej stoi przy żelaznej kasie i kradnie z niej sto tysięcy. Ucieka z nią szczęśliwie, w domu jednak sumienie go rusza, wraca więc i oddaje wszystko z powrotem. Czy on jest złodziejem, czy nim nie jest?

— Jest i nie jest. Ustawa mówi: Jeśli o fakcie władza się dowiedziała, to winien już jest zbrodni kradzieży. Jeśli jednak kapitał zwrócił, zanim się władza dowiedziała, jest niewinnym.

— Czy nie zagrałby pan partyi w bilard?

— Przecie pan dobrze o tem wie, że ja od lat kilku wcale nie grywam.

— Ach prawda, prawda, pan nie gra, jak ja mogłem o tem zapomnieć.

— Pozwól pan, że pana zapytam, czemu pan taki blady jesteś?

— Nie domagam trochę na zdrowiu, w ostatnich zaś dniach mocno jestem zdenerwowany.

— Czytałeś pan może dzisiejszy poranny dziennik? Jest tam przewyborny artykuł. Ogromnie zajmujący. Przeczytaj pan, o! tu w kro-

nice: „Dziś w kantorze banku austro-węgierskiego przytrzymano złodzieja, który“...

— Co panu jest?

— Serce... bije oh... serce...

K r a k ó w 13 września.

Wszystkie drogi zamknięte, wszystkie mosty spalone, byłoby to głupiem złudzeniem, mniemać, że władza o niczem nie wie. Przypuśćmy nawet, że Liszka nic nie wie, niczego się nie domyśla, że podejrzenia moje były hipochondryą, szukaniem na całym dziury. Nie jest tak, wiem na pewne, milczenie jego w ostatnich czasach, unikanie mnie, to potwierdza. No ale przypuśćmy. To i tak władza wie. Władza dowiedziała się o tem z chwilą, gdy wójt w Żegiestowie odwiązał od kamienia przemokły portfel...

To okropne. Zostać złodziejem nie można, zostać uczciwym także nie można.

Ze sumy znalezionej sprzeniewierzyłem dotychczas więcej niż trzysta guldenów. Ile sprzeniewierzyłem? Czy ja wiem? Czy ja zdolny dziś do rachunków? Mógłbym obliczyć, ale co mi z tego przyjdzie? Rezultat tego jest rzeczą zupełnie dla mnie obojętną, bo wiem na pewno, że jest to cyfra, która mię skazuje na kilka lat ciężkiego więzienia.

Oddać!

Ależ ja już nie mogę oddać. Oddać to znaczy pójść do kryminału, wyzbyć się czci, szacunku ludzkiego...

Straszny jakiś głos mówi: ty się już czci wyzbyłeś wtedy... Zatrzymawszy pieniądze, mo-

zna mieć prawo do ludzkiego szacunku, dokąd nie wysledzą, że... O Boże wielki Boże!

Jest jakiś nerw duszy, który mówi: powinieneś ponieść wszelkie następstwa. Idź, oddaj wszystko, wydaj się sędziemu śledczemu a będziesz czysty przed Bogiem i własnym sumieniem. Matko Boska! Czy można żądać tego od zwyczajnego człowieka? Taką rzecz mógłby zrobić bohater, heros, kolos moralności i męstwa, ale nie ja. Ja wiem, że wtedy przed Bogiem i sumieniem byłbym uczciwym. Ale o okropna ironio losu! o błazeńska opinio ludzka... wszak wtedy, gdybym przed Bogiem stał się uczciwym, wtedy przed ludźmi, przed opinią stanę się nieuczciwym, wtedy padnie pierwsze słowo: złodziej!

Chodźcie do mnie wszyscy ludzie, chodźcie do mnie wszyscy filozofowie świata, chodźcie do mnie wy analitycy duszy ludzkiej i powiedzcie czy jest wyjście?

Nie ma! Nie ma! Nie ma!

Przeznaczenie!

A ja w nie nie wierzyłem.

Ono jest wykluczeniem Boga, zapoznaniem Boga. Przeznaczenie, to pojęcie antychrystowskie, piekielne. Mój Bóg za złe karze a za dobre nagradza, u mego Boga losy ludzkie płyną tak jak czyny ludzkie, — losy ludzkie płyną raczej korytem, wykopanem przez czyny ludzkie. Koryto się skręca — woda również, koryto idzie na przepaście, to i człowiek w przepaść swych własnych czynów wpada. A to przecie wyklucza koniecz-

ność, wyklucza rozkaz boży: fali twego życia zło-
bisz koryto uczciwe, a ja i tak cię puszcze na od-
męty i przepaście...

Dziś przychodzi mi w przeznaczenie i ko-
niecność uwierzyć. Przeznaczenie mnie ściga, bo
me położenie bez wyjścia dowodzi, że skazano
mnie na...

Pieć! A więc z góry ktoś zawyrokował:
ten musi upaść!? Dla mnie z góry wykluczoną
została litość, miłosierdzie!?

Rzućcie na mnie kamieniem!

A ja w oczy powiadam wam: na sto ludzi
dziewięćdziesiąt dziewięć zrobi tak, jak ja zro-
biłem.

Cofam się, odwołuję. Na stu, zrobi tak, jak
ja, stu.

Wam się sposobność nie nadarzyła, zatem
rzucajcie na mnie błotem.

Uderz się w piersi jeden z drugim i po-
wiedz... ale powiedz tak do samego siebie, do
własnego sumienia... cobyś uczynił?

No no! nikt cię nie słyszy...

A teraz idź w tłum i z patosem kandydata
z piątej kuryi, krzyknij na mnie: oto złodziej!

K r a k ó w 14 września.

Przeznaczenie i konieczność!

Gdyby te pieniądze był znalazł lichy jakiś
bankrut przemysłowy, nie posiadający nic, obra-
cający jednak kapitałem, jakże łatwo byłoby mu
się wylegitymować, bo ludzie widzą u niego o-

brót pieniężny i nikogoby nie zdziwiło, że ma znaczniejszą gotówkę. Gdyby te pieniądze znalazł biedny poborca podatkowy, lub kasyer pocztowy z małego miasteczka — to byłby wziął z rządowej kasy tysiąc drobnych guldenów, schował je w kieszeń, i mógłby bezpiecznie co tydzień taką operację powtarzać.

Na mnie to musiało trafić, na mnie nędznego proletaryusza!

Mnie się już nic nie chce, niczego nie pragnę.

Stanowczo i nieodwołalnie, nie chcę już posiadać znalezionej fortuny. Nie pragnę grosza z tego. Ale każdy, kto ma ludzką duszę i ludzkie w piersi serce, przyzna, że ja nie mogę chcieć niesławy i kryminału.

A położenie mówi mi tak: zatrzymując znalezione pieniądze możesz długo, bardzo długo, może na zawsze, posiadać cześć ludzką, — oddając je w tej chwili, jesteś wyzuty z czci, sławy i wiary.

Boże dopomóż mnie wybrać jedno z tej straszliwej alternatywy!

Ja nie jestem w stanie.

K r a k ó w 15 września.

Czemu otworzyły się moje oczy, czemu serce nie przestało bić, czemu obudzono mnie do życia z martwoty, czemu sen, w który wczoraj zapadłem, nie przedłużył się na wieki. Czemu?

Wpadł do mnie komisarz Liszka w mundurze i przy szpadzie. Śmiejąc się szyderczo, rzekł:

— Przychodzę do pana, jak pan widzi, urzędowo.

Oparłem się na fortepianie, aby nie runąć.

— No, mówno pan co, mów.

Mówiłem... Co jednak mówiłem, nie pamiętam, nie jestem w stanie powtórzyć.

— Skąd pan ma te meble?

— Po rodzicach.

— Patrz pan, to machoń, roshar, prawdziwy roshar. Ja kupiłem teraz garnitur za dwieście guldenów, rozciąłem umyślnie dla ciekawości bok fotelu, a tu wszystko wysłane morską trawą. To jest nowożytny przemysł! Tysiąc razy wolę pańskie meble stare, niż moje nowe. Roshar, wszędzie roshar. Czybyś pan nie pozwolił, żebym scyzorykiem tak odrobinę otworzył z boku pańską kanapę, czy to naprawdę roshar?

— Rozcinaj pan, szukaj, jak się panu podoba.

Patrzałem niemy, jak Liszka w meblach pieniędzy szuka. Oczy mi mgłą zaszyły. Wyciągnął biały gwóźdź palcami, włożył rękę za jutę, szuka i szuka...

Dobyl trochę sierści.

— To roshar! to roshar!

Niech szuka, ale dlaczego ten człowiek drwi ze mnie? Dlaczego nie powie mi wręcz: oddaj pieniądze! On igra, jak kot z myszą, gra na mych nerwach, targa mi duszę, plwa na me nie-szczęście.

Siadł na kanapie, podskakuje na niej, maca rękami tu i tam...

— O! roshar.

Nie oczywiście w meblach nie znalazł, poszedł więc do stosu nut i przerzuca je, jak słomę. Udawał niby, że czyta tytuły, wykrzykiwał: Beethoven, Chopin, Liszt, Mascagni... Dobięł do końca, najlepszy dowód, że nie chodziło mu wcale o tytuły, lecz o rewizję, bo w takiej ilości nut byłby stanowczo znalazł jeden z nielicznych utworów, jakie mogą stanowić repertoar jego policyjnej głowy.

Jeszcze raz, przewraca teraz z tyłu naprzód. Od chwili do chwili sylabizuje nuty, nucąc pod nosem najfałszywiej — a ja rozpięty na krzyżu męki, konam, szaleję. Nie ma naprawdę w słowniku ludzkim wyrazów na wypowiedzenie tego, co się ze mną działo.

W pierwszej chwili strach, paniczny strach. Śmierć oczywista nadchodząca na człowieka nie może spaść na nikogo takim popłochem, jakim rewizya spadła na mnie. Po strachu przyszło uczucie okropnej niemocy, bezwładności. Wreszcie i to minęło. Upadłem nieruchomie na fotel i byłem przygotowany na wszystko. Już mnie nie bolało nawet to, że Liszka drwi ze mnie, że na-

igrawa się z mojego nieszczęścia. O, Bóg cię za to pokarze, bo ja, choć zbrodnią splamiony, jestem twym bliźnim i zasługuję na twą litość. Gdy zwierzę się zabija, to staramy się skrócić jego mękę konania, aby jak najmniej czuło, jak najmniej straszego bólu konania zaznało — a ty rozkrwawiasz moje rany, rozdrapujesz je bezlitosny wysłańcze piekła! Zamiast zabić od razu, kłujesz szpilkami, wbijasz na pał, aby nędzarz długo, bardzo długo konał.

Liszka usiadł przedemną, wpił we mnie swe zielone źmije oczy i zapytał:

— Powiedz mi pan, co jest z pieniędzmi?

Cień, ślad przytomności mi wrócił.

— Ja żadnych pieniędzy nie mam.

— Czy naprawdę?

— Nie mam i nic nie wiem o żadnych pieniądzach.

-- Jest między nami nieporozumienie, mój panie, rzekł Liszka. Ja się nie pytam o te drobne... no, wie pan pożyczki... niech panu służą, mnie ich nie potrzeba wcale. Pan myśli, że przyszedłem po to, aby mi je pan oddał? Ależ ja bym nie przyjął teraz zwrotu od pana. Zresztą co tam gadać, zapomnijmy o tem i kwita. Chciałem pomówić z panem o rzeczy poważnej, o bardzo poważnej.

— Służę panu.

— Zwierz mi się pan. Powiedz mi pan prawdę, ale to szczerą prawdę, przyznaj mi się pan. .

— Daj mi pan pokój. Nie wiem nic.

— Jeszcze raz mówię, że ja ich panu nie odbiorę. Mnie o to chodzi, żeby panu w nieszczęściu ulżyć, pomódz.

Ładne ulżenie, ładna pomoc, pomyślałem.

— Rozumie się samo przez się, że ja całego pańskiego ciężaru nie wezmę na barki, bo jestem biedny człowiek, przecież co będę mógł, to zrobię...

— Ja nie wiem nic. Ja nie mam pieniędzy.

— Ależ do dyabła, czy masz pan na jutro na obiad, czy nie masz?

— Mam zaledwie kilkanaście reńskich.

— No, to pan tak gadaj. Bo ja w mieście i na policyi słyszałem o panu rzeczy, które mnie bardzo zasmuciły. Nie spodziewałem się tego — o, nie. To źle kryć się przedemną. Najlepiej całą prawdę wyznać, całą nagą prawdę... rozumiesz pan?

Całą prawdę wyznać... całą nagą prawdę... Zaciemniało mi w oczach.

-- Ja nie mam do wyznania.

— Czy pan prawdę w tej chwili mówisz? Powstałem.

— Prawdę.

— Pan mówisz w tej chwili nieprawdę.

— Prawdę!

— Pan piszesz pamiętnik. Myśli pan, że nie poznałem tego na jeden rzut oka? Staremu policyantowi dość okiem rzucić, aby wszystkiego

się dowiedzieć. Zresztą co tu gadać? Arkuszowy format, pokrajany rozdziałami, Żegiestów dnia, Kraków dnia...

— Ten pamiętnik?

— Ja wiem wszystko. W tym pamiętniku są takie rzeczy, które pan mógłbyś powtórzyć tylko przed Bogiem lub własnym sumieniem...

— Nieprawdę pisałem... jak Bóg żywy...

— Człowiek otwiera swą duszę przed Bogiem i sobą samym. Ja wiem, że tam jest prawda!

— Nie! Nie!

— Kiedy dziś przypadkowo się dowiedziałem, że pan się bawisz w literata, przyznam się i ja panu, że piszę rzecz do druku. Czy pan studiował kiedy profile i głowy ludzkie?

Czułem, że Liszka atakuje mnie z nowej strony. Do jakich wniosków chce dojść, rozpoczynając rozmowę od profilu ludzkiego, zgadnąć nie mogłem. Tyłem wiedziałem, że to jest zwyczajna policyjna zasadzka, o których dość się w książkach naczytałem.

— Nie znam się na tem.

— Z zawodu mego muszę się trochę zajmować frenologią. Za granicą wyszły kryminalne dzieła o budowie czaszki złoczyńców, które jak z własnego doświadczenia się przekonałem, dużo a dużo mają w sobie prawdy. Zaczerpniętą z dzieł włoskich hipotezę snułem sam dalej, że zaś ludzkiemu umysłowi nigdy nie można powiedzieć:

„dość“ — doszedłem więc w mych badaniach tam, gdzie się wcale zająć nie spodziewałem. ŚmieJCie się ze mnie albo nie śmieJCie, kto wie, czy w przyszłości nie zaczniecie mnie szanować za moją frenologiczną hipotezę pochodzenia szlachty polskiej i kmiecia polskiego.

— Doszedłem — mówił dalej — do głębokiego przekonania, a nawet jestem pewny i mam frenologiczne dowody na to, że szlachta polska, że typ polskiego szlachcica nie jest pochodzenia słowiańskiego, nie ma nic wspólnego z czaszką słowiańską. Są prawdopodobnie Normanami lub Skandynawcami. Pan mi odpowie na to, że niewątpliwy polski szlachcic Adam Mickiewicz ma poczciwą twarz śląskiego polskiego chłopca, że natomiast niewątpliwy mieszczanin toruński, napewno z chłopów pochodzący Mikołaj Kopernik, ma czystą typową szlachecką budowę czaszki? To nic mój panie, to nic. To niczego nie dowodzi i wcale mej teorii frenologicznej nie osłabia. Nos szlachecki, widzi pan, ma się bowiem tak do nosa chłopskiego... Zaraz. Ja to panu najlepiej na przykładzie objaśnię. Widzisz pan ten biust Chopina?

— Tam...

— Biust Chopina co na kroksztynie stoi?

..Oczy mgłą zachodzą, lecę z jakiegoś stromego dachu, w bezdeń, lecę w przepaść... ćmi się... ćmi... ziemia ucieka z pod nóg... o...

— Zdejmę biust, żeby mu się pan przypatrzył.

Idzie komisarz ku ścianie... wyciąga ręce po biust.

Boże!... mój Boże... ciemno... Wszystkie moce niebieskie... on ma biust Chopina w rękach.. Matko.. Matko.. Matko...

Stał nademną komisarz wraz z doktorem.

— Weź pan te krople z cukrem do ust.

Ohydne laurowe krople.

— Lepiej panu?

— Lepiej.

— To dobrze.

— Kto mię rozebrał i do łóżka położył?

— My. Krople te musisz pan wszystkie wyżyć.

— Tem — mówię — leczą chorych na serce...

— Nie rób sobie pan nic z tego, bo pan znowu tak ciężko na serce nie chory. To minie. Pańska choroba jest doprawdy zastanawiającą. Przed czterema miesiącami badałem pana, a serce było jak dzwon. To też zdumiony jestem tym straszliwym... to jest chciałem powiedzieć tym dziwnym jego stanem, właściwie bowiem mówiąc, pan jesteś zdrow, tylko krople zażywaj I ciągle odtąd potrzeba zachowywać spokój, bezwarunkowy spokój.

— Spokój?

— Bądź pan spokojny,—mówił komisarz,—będziemy pana ratować, a o finanse się pan nie troszcz; poręczam panu, że wszystko się zrobi. Tylko szczerze ze mną, szczerze...

— Mogę wstać?

— Dzisiaj, niech Bóg broni. Wątpię zresztą, czy pan masz na to dość siły.

— Wieczerzę przysłę tu panu.

— Jutro co innego. Jeśli się pan na siłach czuć będziesz, wstań pan, idź na słońce. Ot najlepiej się w słońcu w cukierni na plantacyach, napić się szklankę mleka i siedzieć.

— Herbaty nie?

— Niech Bóg zachowa. Dobrze, że mi pan przypomniał. Od dziś dnia nie wolno panu na czas nieograniczony pić ani kawy ani herbaty. Wszelkiego piwa, wódki, wina, bezwarunkowo zabraniam.

— A więc jestem chory na serce?

— Nie, zapewniam pana, że nie. Niech pan będzie spokojny. Jest tu wprawdzie lekka niedyspozycja sercowa, ale nie mająca charakteru stałego. To minie.

— Wszystko minie.

— Gdyby jutro było panu gorzej, przyslij pan po mnie. A teraz żegnam i zdrowia życzę.

— O siódmej będzie tu mój służący—rzekł Liszka. Zadysponuj sobie pan wieczerzę..

— Nic jeść nie będę.

— W każdym razie przyjdzie. A teraz do widzenia, wyzdrowiej mi pan, mój drogi, kochany panie.

Kraków 16 września.

Połowa zaledwie minęła września, a przecieź liście zwolna już mrą i żółkną. Od gałęzi do gałęzi snuje się srebrna nić pajęczyny, zapo-

wieź babiego lata i jesieni. Czasem zerwie się żółty liść z drzewa, obija o gałęzie kasztana i lekkim szelestem leci ku ziemi. Nim dopadł gruntu, zatoczyło nim powietrze, obracając wirowym młynem. Tak i ci, którzy do grobu schodzą, nie mogą zejść w podziemia spokojnie, musi los z nimi w końcu swą orgię wyprawić.

A przecież tym, co kończą życie, co chcą umrzeć, należy się trochę ciszy.

Przed kilku laty, przed kilku miesiącami przychodziła mi ciągle na myśl moja starość, mój wiek sędziwy. Byłem pewny, że go doczekam, dlatego byłem pewny, że kto się oddał Bogu w opiekę, może być pewien:

„ . . . zacności
„I lat sędziwych i mej życzliwości.

Szatanowi podobało się poplątać moje losy, skrócić me życie, napoić je goryczą, przeciąć nie żywota w ciągu młodych lat. Dziś nie mam nawet żalu do niego za to. Dobrze zrobił, że skrócił...

Męczy mnie życie, męczy... Tęsknię za spokojem bezwzględnym. O jaki straszliwy pesymizm wieje z zadusznej pieśni kościelnej, która mówi:

„A ci, którzy już dni swoje skończyli
I ten straszliwy termin odprawili.
Niech mają pokój...

Pokój! Pokój będziemy mieli. A pokój wyklucza chyba ponowne istnienie...

.

W chwilach mej młodości nie dziwiłem się wcale, że życie jest taką straszną walką, taką okropną męką.

Byłem bowiem pewny, że po męce Opatrzność da nam kilka, kilkanaście lat odpoczynku, że przyjdzie czas zebrać plon życia, zebrać owoce swej własnej pracy.

Mniemałem, że, ile lat w życiu męki, tyle lat w życiu zwycięstwa, że po męce i zwycięstwie, da los starość spokojną i cichą. Że ja w sędziwych latach zasieję sobie grzędy kwiatów, patrzeć będę na ich kielkowanie, wzrost, zieleni i kwiat, że zejdzie mi reszta dni w cichym moim domu.

Usiądę gdzieś w cieniu kwitnących jarzębin, patrząc na bielutkie rumianki, na obsypane kwieciami krzewy białej róży, na grzędy rezedy i kępy fiołków, które wiosennym zapachem swemu panu trybut słać będą. Że wśród śpiewu słowika, który mi dzieje mej przepracowanej młodości opowiadać będzie, usnę... usnę.. i pójdę do mego Stwórcy.

To wszystko było marzeniem. Ja dziś przyspieszonym krokiem idę na tamten świat.

Idę.

Nie jestem wcale chory i nie choroba powodem mej śmierci będzie. Doktor ma zupełną rację, że mały atak sercowy był objawem przemijającym a nie wpływem jakiejś zasadniczej wady...

Zresztą co tu mówić, czuję się zdrowym. Serce bije jak dzwon.

Wepchnie mnie do grobu pieniędzy. Ten przeklęty dar piekła... pieniądze...

Wepchnie mnie, choć ja chcę go oddać.

Ty widzisz Boże, że chcę oddać sprzeniewierzone pieniądze i że je oddam. Oddam je prawemu właścicielowi, ale nie władzy.

To zawiele żądać od człowieka; oddaj, a za twą sumiennność weź jeszcze na siebie piętno złodzieja.

Znajść właściciela muszę. Gdy znajdę, oddam mu, ile mam; co do reszty powiem mu: zmiłuj się, przebacz.

On przebaczy. Ujrzy przecież skrucę moją, dobrą wiarę moją, odezwie się przecie u niego serce..

To kłamstwo, żeby człowiek należący do klasy panującej nie miał serca...

Ma takie, jak każdy inny człowiek.

Wiem o tem, a to przeklęte zaczarowane koło mej męki nie zmalalo i tak wcale.

Chcę oddać a nie mam komu oddać..

Przecież to straszna ironia losu.

Ale już nie bolę nad sobą, nie rozpaczam, nie klnę na przeznaczenie.

Chce mi się tylko płakać.

Płakać.

K r a k ó w 17 września.

Prześliczny brzeg Wisły zasypany kwieciami. Tysiące, dziesiątki tysięcy żółtych baldaszkowatych dzwonek jesiennych stroi zieloną ruń. Niebieszczeją modre gwiazdy cykoryi wśród ogromnych zielonych liści podbiału.

Nad wszystkie kwiaty strzela w górę dziewanna, o chabinie smukłej, otoczonej prześlicznym żółtem kwieciem. Rój barwnych motyli kołysze się po kwiatkach.

Czarowna, rokoszna jesień. Na wiosnę natura ma więcej czaru, urody, siły, ale ani śladu tej poezji, tej, tęsknoty, melancholii, co ma jesień. Zda się, że cała ziemia o czemś myśli, o czemś дума...

Na trawach zielonych widzę puch ostu, lekki puszek o ziarnku małym i lekkim, o długich srebrzystych włosach rosnących od nasienia tak gęsto, że wszystko zdaje się być włochatą kulą. Toczy się ziarnko puchu i toczy po trawie, zadał wiatr, podniósł puch w górę, zagnał na gałęzie olszyn a stamtąd znowu niesie go na pola i ugory.

Olbrzymi rozum Opatrzności. Opatrzyła ona ziarnko takim puchem, aby wiatr mógł rozsiać roślinę po całym świecie, aby ją zaniósł na zapadle lasy, na szczyty Tatr... Przyjdzie deszcz, wbije puch w ziemię i na wiosnę zejdzie oset.

Leci puch ostu... O! wpadł do wody na falę wiślaną...

Już nie urośnie, nie zasieje się, nie zejdzie... Popłynie do Warszawy, do Gdańska i utonie w morzu. Jeśli nie, to stanie się atomem żwiru i błota rzecznego.

Dlaczego jedno ziarnko los niesie na urodzajną glebę a drugie rzuca w odmęty i śmierć? Dlaczego?

Przecież ani jedno ani drugie nie było moralniejszym, lepszym, więcej zasłużonem, godniejszym lepszej doli...

Zatem los, ślepy los rządzi... Ślepy!

Słaby już jestem i żadna myśl rozgoryczyć nie jest mnie w stanie. Mam ochotę skoczyć do Wisły, pójść na odmęt, umrzeć.

Oto zielony odmęt wiruje, toczy i zakręca żółtą pianę, a kotłująca się w głębinach woda bełkoce zgłuszonym jakimś szumem. Jakby wołała... Melodya nicości jest w tym cichym, głuchym, okropnym bełkocie.

Nie! Nie pójdę ze świata złodziejem. Nie chcę nic więcej od losu, oprócz tego, żebym zeszedł czysty do grobu. Przecież mało żądam, bardzo mało.

Odmęt zakończyłby wszystkie me cierpienia? Prawda.

Jeżeli jednak los rządzący ludźmi, los bez powodu rzucający ziarno ostu na śmierć w toni morskiej, może być niemoralnym, to żadną miarą nie wolno być niemoralnym ludzkiej rozumnej jednostce...

A w tych słowach mieści się cała rozpacz bytu na ziemi, beczelnie głupia, bez granic idyotyczna dola człowieka.

K r a k ó w 18 września.

Coś mi mówi: czarę goryczy wychylisz aż do dna.

Szedłem dziś rynkiem, jak zwykle bez celu, i napotkałem kondukt żałobny, żołnierski, po-

przedzony przez wojskową orkiestrę. Bardzo lubię żałobne marsze, grane zazwyczaj poprawnie przez wyborne austriackie orkiestry.

Poszedłem w tęsamą stronę, gdzie szedł pochód. Na ulicy Floryańskiej uderzył bęben, muzyka zaczęła grać.

Czy mnie uszy mylą, czy słuch mój także jest na usługach nerwów i halucynacyi? Orkiestra gra mój marsz żałobny. Jak się to stało, w jaki sposób? Kilka dopiero temu tygodni, gdy wydałem drukiem marsz; jak on się mógł w tak krótkim czasie przetransponować na orkiestrę, i dostać do żołnierzy? A jednak tak się stało.

Rozległy się majestatyczne szerokie tony, rozbrzmiały trąby harmonią bólu, smutku, żałoby, zrodzonej w mem sercu.

Tragiczna nuta zagrała na... mych nerwach, na wszystkich strunach mej duszy. Każdy ton, każda nuta zrodziła się w mem sercu, jako zaś matka najbardziej kocha swoje własne dzieci, jako matce najpiękniejszym, najlepszem, najdoskonalszem wydaje się własne dziecko, tak mnie najbliższą była nuta zrodzona przezemnie, mówiąca melodyą mego bólu, mej duszy.

Nie mogłem wstrzymać łez, wszedłem do ciemnej bramy i buchnąłem płaczem. Tej nuty śpiewającej majestał śmierci, ogrom nicestwa, dusza moja dzisiejsza jużby nie zrodziła. Zamarł talent, zamarło serce na wieki. Teraz widzę, jak przy ubóstwie mojem byłem dawniej bogaty, jakie skarby posiadałem, co na zawsze utraciłem.

Są nędze z pieniędzmi, jest bogactwo z nędzą.

Jak wichur jesienny oderwie z pnia róży wielkie zielone listowie, strąci wszelkie kwiecie, tak pieniądz wyrwał z mej duszy wszystko, co było poezją i życiem. Została naga łodyga, szalejąca z bolu, rozdarta nieszczęściem...

K r a k ó w 18 września.

Dziś siedziałem w cukierni letniej, pod baldachinem zielonego listowia kasztanów, zaczytany w jakiejś francuskiej gazecie.

Nagle usłyszałem melodyjny głos kobiety.

— Panie Janie!...

O czom nie chciałem wierzyć. Wyciągała do mnie białą rękę Helena...

Nazwiska... nie pamiętam,, a raczej pamiętać nie chcę. Własne dobrowolnie zatraciła, gdy na myśl mi przyjdzie nabyte — dreszcz zgrozy mnie bierze, ohyda wspomnień wstrząsa całą mą naturą.

Helena, ta sama Helena... żona cudza...

Na widok jej powstała w całej krasie przeszłość z przed lat dziesięciu, ożyły rozkoszne chwile młodości, spędzone przy jej boku, w blaskach jej oczu przesłicznych. Poznałem ją przy fortepianie, a muzyka, ta boska wysłanniczka, była swatem naszych dusz.

Na wyżynach pobrały się nasze dusze i zaprzysięgły sobie iść razem przez świat, przez życie, przez wieczność całą.

Helena! Helena!

Nie zapomnę nigdy tej dziewiczej twarzy-
czki, tych włosów płowych, tych słów melodyj-
nych, co perłami z różanych ustek płynęły, chwy-
tając za serce. Nie zapomnę promiennych oczów
ukochanego dziewczątka, w które zapatrzony by-
łem jak pies, słuchający co mu pan rozkaże, sta-
rający się z oczu pana wyczytać jego wolę i za-
miary.

A czy można zapomnieć ten wieczór czerw-
cowy, tę noc poetyczną wśród jaśminów, bzów,
te klomby pełne rezed i białych lilij, — oddech
jej ciepły, od rezed i lilij wonniejszy, usta jej
różowe, gorące, jak wiosna rozkoszne...

Usta, te usta! Gdyby nie ich wspomnienie,
o ileż mniej byłoby goryczy w życiu, przekleń-
stwa losu. Po co ja ich rozkoszy zaznałem w sam
przeddzień rozpaczy, w przeddzień najnieszczę-
śliwszych chwil mojego żywota?

Gdy na drugi dzień po owej nocy, pijany
szczęściem dnia wczorajszego, oszołomiony wspo-
mnieniami ubiegłego wieczoru, przyszedłem do
ich domu, czekał już na mnie w przedpokoju jej
ojciec.

— Dzień dobry panu, rzekł sucho. Dziś już
lekcyi nie będzie. Dziękujemy panu.

— Nie będzie?...

— Tak jest, nie będzie. Pan pozwoli, że
policzę się z nim. Jesteśmy mu dłużni za ośm
godzin gry fortepianowej, ośm guldenów. Oto są.

— Jednak...

— A, właśnie miałem panu powiedzieć, że wi-
zyty pańskie są dla mnie i mojego domu wiel-

kim zaszczytem i sprawia nam pan niemi —
 racz mi pan wierzyć — dużą przyjemność. Po-
 nieważ jednak zamierzamy wydać Helenkę za
 pana Müllera, przedsiębiorcę kolejowego, zrozumie
 pan więc, że bywanie u nas młodego człowieka
 może być dla przyszłego narzeczonego Helenki
 rzeczą, jakby to powiedzieć... nieprzyjemną; a
 więc...

— Zrozumiałem...

— Jestem pewny, że pan mnie zrozumie, u-
 sprawiedliwi i nie weźmie mnie za złe tego, co
 powiedziałem.

Wyszedłem.

Świat toczył się w koło przed oczyma
 mojemu.

We dwa dni później zobaczyłem Müllera.
 Był to chłop z ordynarną twarzą, z ogromnym
 złotym łańcuchem przy kamizelce. Miał folwark i
 kwitnący interes w rękach.

Sprzedano mu Helenę. Postanowiono ją wy-
 dać, bo Müller miał pełną kieszeń, miał dom dla
 żony, miał jej dać co jeść — a ja tego nie mia-
 łem. Rozdzielił nas pieniądz.

Co dalej się działo, wspominać nawet nie
 chcę. Wiem, że w dzień ich ślubu, wsiadłem na
 pociąg i wyjechałem do Wiednia.. Byłem pewny,
 że stolica rozerwie mnie swą wesołością i stłumi
 rozpacz, że zapomnę.

Stałem w hotelu Nordbahn. Cały dzień
 błąkałem się po mieście, zdawało mi się, że pa-
 łace na Ringstrasse wała się na moją głowę, że
 Votivkirche i parlament wirują jakimś przekle-

tym tańcem, że turkot fiaków, hałas tramwajów, gwar ludzki woła do mnie: Helena, Helena!

W nocy starałem się usnąć. Niepodobna. Ciągłe jej głos słyszę, dźwięk jej słów, ścigają mnie melodyjne brzmienia jej szczebiotu i zdaje mi się, że w sąsiednim pokoju ona mówi. Przez drzwi, zastawione szafą, słyszę jej głos.

Targałem się za włosy, chwyciłem się za głowę, aby się przekonać, czy ja nie jestem szalony.

Rano... Otwieram drzwi, aby wyjść na miasto i oto z drzwi sąsiedniego pokoju wychodzą Müller i jego żona.

Helena zbladła na mój widok jak trup...

Los, ten straszny mój wróg, kazał mi asystować w ich podróży poślubnej... A!

Sczęściem wyjechali... Na dziesięć lat straciłem ją z oczu.

Mysli ułożyły się jakoś, a choć serce nigdy nie zapomniało tej jedynie drogiej, jedynie ukochanej, przecież wspomnienie zostało już jak bliźna po ranie. Choć nie boli, widać ją na miejscu rany, zostanie w ciele na zawsze, pójdzie z człowiekiem do grobu.

Przystąpiła do mnie, podając mi rękę.

— Źle pan wygląda, panie Janie. Ledwo pana poznałam.

— Panno Heleno...

— Pozwoli pan, że przy pańskim stoliku herbatę wypiję?

Nie odpowiedziałem nic. Widok jej spadł na mnie tak nagle, tak niespodziewanie, że nie zda-
wałem sobie sprawy z tego, co się ze mną dzieje.
Przyszła jak przeszłość, jak wspomnienie wiosny
życia...

— Dużo lat upłynęło, jak pana nie widzia-
łam. Ostatni raz było to, jak mi się zdaje, w Kra-
wie.

— Nie. Ostatni raz widziałem panią w Wie-
dniu w hotelu Nordbahn..

Spuściła oczy, pilnie patrząc w szklankę dy-
miącej się herbaty. Nie odpowiedziała mi nic...

Spojrzałem na jej postać. Jaka zmiana!
Lat temu dziesięć było to prześliczne młode
dziewczątko, podobne do rozwijającego się pą-
czka róży, do gałązki majowej konwalii, która
bielutkie pączki kwiatu z zielonych osłon wy-
chyla.

Dziś rozwinął się ten kwiat, zajaśniał całym
urokiem kobiecej urody, zakwitła i zajaśniała
wszystkimi blaskami wdzięków kobiecych. Wi-
śniowe usta wyrzeźbiła natura w rozkoszne mi-
strzowskie linie, oczy z pod długich aksamitnych
rzęs błyszczą czarem, ogniem i wdziękiem. Wło-
sy bujne, w bogate węzły splecione, nos prześli-
czny i wspaniała rozrosła postać składają się na
posąg doskonałej piękności ludzkiej, na ideał uro-
dy kobiecej. Po pierwszym ogromnem wrażeniu,
jakie na mnie uczyniła, z tłoku myśli, które się
pchały do głowy, wyłoniła się jedna, jak burza
mocna, żarem serce paląca...

Było to uczucie nieopisanej wściekłości, na moją dolę, na mój los...

Gdy, patrząc na nią, myślę, że ja mogłem ten kobiecy ideał posiadać, że ta, bez granic piękna kobieta, mogła być moją własną, moją żoną, że ja jeden mam do niej prawo, prawo natury, prawo serca, że ja jeden mam prawo mieszkać z nią pod jednym dachem, to mam ochotę gryść własne ręce, targać włosy, kłąć dzień, w którym na świat przyszedłem.

Ja zabrał mi pieniądze... tę prawnie moją, te sercem wybraną...

Ale jak wiatr południowy topi nagle śniegi marcowe, tak oczy jej uciszyły duszę wzburzoną, uspiły złość, stłumiły rozpacz. Popatrzyła na mnie oczami, w których malował się smutek, a może żal.

— Czy pan się ożenił?

— Ślubowałem wieczną miłość i wieczną wiarę; ślub mój wprawdzie nie odbył się w kościele, nie mniej jednak przysięgi raz danej złamać nie mogę.

— Czas pana zwolnił.

— Czas przecie ślubu nie daje, zatem i zwalniać nie ma prawa.

— Od przysięgi sam się pan uwolnić może.

— Ja byłem pewny, że tylko ten, komu przysięgłem.

Zamilkła, udając, że czyta inseraty jakiegoś dziennika. Biała rączka, mieszała nerwowo w szklance herbatę, której tam prawie już nic nie

było. Zwolna podniosła głowę i zapatrzyła się w zieleń kasztanów, w gałęzie akacyi, któremi zdobiły się aleje.

Westchnęła cicho.

— Czy pan chce być zwolnionym?

— Nie zamierzam się wcale żenić; jeśli więc nawet będę zwolnionym, nie będę korzystać z mej wolności. Zresztą jak pani widzi, wyglądam na człowieka, który jeśli może się żenić, to chyba z trumną... Nawzajem jednak pozwól mi pani, panno Heleno... to jest chciałem powiedzieć...

— Mów pan... tak... mów pan...

— Czy słowo moje jest ciężarem, czy przysięga moja sprawia pani kłopot, którego pani chciałaby się pozbyć?

Helena milczała.

— Rzecz, o której rozprawiamy, przysięga o której mówimy, zwolnienie od niej, lub jej zatrzymanie, jest rzeczą teoretyczną, nie mającą cienia aktualności. Przecież racz mi pani powiedzieć, czy serce i człowiek, który pani bez formalności ale dobrowolnie przysięgł, ciąży pani? Czy dusza ludzka, dziesięć lat przysiędze wierna, dziesięć lat myślą i duchem przy pani będąca, na skrzydłach wyobraźni do pani lecąca, sprawia pani przykrość, krzywdę? Czy pani przeszkadza wierność ducha, bicie serca, które panią nade wszystko kochało? Czy chcesz się pani przysięgi wyzbyć?

— Nie... o nie.. — wyszeptała cicho.

Serdeczna jakaś radość chwyciła mnie za serce, jakby z jej zaprzeczeniem wiosna wstępowała w duszę...

— Ja codzień myślę o panu. Kilka razy mi pan mówił, że gram na fortepianie z pewnym talentem.

— Pani byłaś może jedyną moją zdolną uczenicą.

— Wszystkie twoje kompozycje leżą u mnie na pulcie pianina, nie ma wieczoru, abym ich nie grała, umię je na pamięć... Każda ich nuta gra w mojem sercu, wciska się w duszę, przynosząc ze sobą przeszłość... tę przeszłość. Oto patrz pan...

Rozwinęła różowy rulon papieru, w który był owinięty mój marsz żałobny.

— Kupiłam to dzisiaj.

— W księgarni?

— Nie. Siedziałam rano w cukierni z gro-nem krakowskich znajomych, wśród których był jakiś komisarz policji.

— Policji...

— Przedstawił mi się i zaproponował, abym marsz kupiła.

Uczulem cios policzka na twarzy. Okropny jest ten Liszka z żebranią dla mnie.

— Czy nie mówił, dlaczego się trudni tą sprzedażą?

Mówił, że on jest wielbicielem tego marsza, że jest jego obywatelskim obowiązkiem tak znakomity utwór spopularyzować.

Odetchnąłem.

W pierwszej chwili byłem pewny, że Liszka sprzedaje, głosząc wręcz: „kup, wspomóż nędzarza“.

— Dziesięć lat pana nie widziałam, a jednak wierzaj pan, że dusza moja do pana leci, że...

— Mów panno Heleno...

— Że pańską własnością są moje wspomnienia.

— Tak, tak! Ja mam wspomnienia... a mąż pani ma te usta wiśniowe, tę postać rozkoszną, te lica młode i włosy bogate. Równy podział, zupełnie równy... Jabym oszalał ze szczęścia, żeby te usta rokoszne na chwilę były moją własnością... no, ale muszę zadowolić się wspomnieniem. Wie pani co? Wspomnienie jest tak tanią rzeczą, że każdy rozumny mąż może śmiało pozwolić żonie dysponować wspomnieniami...

— Lepiej mi było pana nie spotkać.

— Przebacz mi panno Heleno. Jeśli dziesięć lat w piersiach i w sercu zbiera się jad i gorzyc, toć nie żądajże pani, żeby z tego serca szła słodycz i perfumy. Mówmy zresztą o czem innem. Ile pani ma dzieci?

— Troje. Najstarszemu dałam na imię Jan.

— Mąż zdrowy?

— Zdrowy. Pracuje, aby zdobyć majątek dla dzieci, ma dla mnie dobroć, szacunek i cześć.

— A więc pani jesteś szczęśliwą?

Nie odpowiedziała.

— Jesteś panno Heleno szczęśliwą?

Patrzała w dal przed siebie i rzekła z cicha:

— Tak.

W oczach jej zabłyśły łzy.

Łzy jak kryształ czyste, jak perły duże, toczyły się po delikatnej twarzyczce.

A te łzy wołały do mnie: Nie jestem szczęśliwą.

Zapadał wieczór pogodny i cichy. Był to jeden z tych prześlicznych dni, jakie daje nasza jesień.

Smutek, tęskna jakaś poezya tchnęła z żółkniejących drzew, bujnie rozkwitłych astrów i wysmukłych złocieni tych jesiennych epigonów lata.

I nastrój duszy był jesienny jakiś i smutny.

— Czas już mnie na kolej.

— A dokąd pani jedzie?

— Do Stryja, gdzie mąż mój jest zajęty budową kolei.

— Do odjazdu pociągu ma pani jeszcze półtorej godziny czasu.

— Wcześniej trzeba zająć na kolej, bo...

— Ma pani przecież jeszcze do załatwienia jakieś interesy?

— Wszystko załatwiłam, pakunki moje czekają na mnie na dworcu.

— Zatem jeszcze na dworzec zawczasie.

— Wolę się przejść trochę. W cukierni, przy tym stoliku usłyszałam takie słowa, że wspomnienie ich będzie do śmierci nieść smutne echa. Wolę iść.

— Pozwoli pani towarzyszyć sobie?

— Wdzięczną panu będę. Może padnie pogodniejsze jakieś słowo, może...

Poszliśmy w aleje plant krakowskich, na których piaski padały żółte jesienne liście.

— Patrz pani, jaki to osobliwy zbieg okoliczności. Gdy panią dziesięć lat temu ostatni raz widziałem, był to prześliczny, wiosenny wieczór. W ogródku kwitły bzy i jaśminy, kwiecie słało zapach wiosny, a na bielutkich kielichach lilij siadły perły rosy.

W pobliskim ogrodzie śpiewały czarowne swe melodye słowiki. Czy pamiętasz pani ten wieczór?

— Jakże mogłabym zapomnieć...

— W powietrzu drgał czar wiosny, czar upojenia, miłości. Patrzyłem w oczy twoje panno Heleno, ścisnąłem rękę twoją, słuchałem szeptu słów ukochanego dziewczęcia mojego. Usteczka twoja, jak wiosna rozkoszne...

— O, nie mów pan, nie mów...

— Dziś znowu rozmawiam z panią. Widzisz, jak jesienne liście z drzew lecą, jak natura układa się do zimowego snu śmierci. Patrz panno Heleno, oto zakwitają złocienie i astry, których kwiat przypomina mi rumieńce suchotnika, zapowiadające bliską śmierć...

— Czy pan myśli, że na śmierci i grobie wszystko się kończy? Czy pan nie wierzy w zagrobową przyszłość? Ja, panie Janie, jestem pewna, że tam w innym życiu spotkamy się w idealnie doskonałych warunkach, że tam nie będzie już zapór dla dusz, które wzajemnie się kochały. Ufaj więc i czekaj...

— Śmierci czekać?... Pani Heleno, czy kochasz swoje dzieci?

— Nad życie.

— A one kochają ojca swojego?

— Jest dla nich dobry, więc go kochają.

— Jeśli zatem wierzysz w zmartwychwstanie, to chyba sama nie życzysz sobie, abyś była rozłączona ze swemi dziećmi, te zaś nie chcą rozłączenia ze swym ojcem... He, he, he! Ja będę przy was tem piętrem kołem u wozu. Złączenie się bratnich dusz po śmierci! ha, ha, śmiać mi się chce. Widzisz z tego, pani Heleno, jasno, że kajdany małżeńskie są gorszą rozłąką od samej śmierci — z tego poznać możesz, jak straszną krzywdę robi się temu...

— Panie Janie.

— Wróc z wrogiem się tam zejdzie, ogień z wodą się pogodzi, cudza jednak żona tam pozostanie cudzą żoną, obcą dla wszystkich na wieki...

— Pan zapomina, że w idealnym przyszłym bycie zniknie zazdrość, zniknie...

— Zniknie miłość płciowa, miłość ciał, a zostaną tylko wzajemne uczucia dusz, o które nikt nie może być zazdrcsnym, ani żądać wyłączenia.

czności posiadania czyjegoś serca? Odpowiem pani na to, że są wyznania i religie uznane w Europie, głoszone przez liczne miliony ludzi, którzy mówią i wierzą, że raj zagrobowy będzie wieczną miłością kochanków, że będzie wieczną pieśczętą zakochanych w sobie ludzi. Panno Heleno, uczucie pierwszej miłości jest stanem duszy tak czystym, tak idealnym, że mimowoli nasuwa się domysł o zagrobowym trwaniu tego uczucia. Kto wie, czy los nie da nam takiego szczęścia za grobem, jakim jest pierwsza miłość niewygasła, wiecznie trwająca. Nie jest to znowu tak dzika i oderwana hipoteza, skoro to przekonanie wyznają miliony rozumnych ludzi. A przecie, gdy w mojej duszy dział się ten rozkoszny i nieszczęśny zarazem, ten błogosławiony i przeklęty proces pierwszej miłości, to kochałem oczy prześliczne pod aksamitnymi twymi rzęsami, usta wiśniowe, idealnie piękną postać dziewczątka mojego, szczebiot jej słowiczego głosu... I jeśli nie byłbym się nigdy na to zgodził, żeby dwóch nas w tym samym ideale się kochało, toć nie zgodzę się ani ja ani nikt i w owym przyszłym rajku...

— Przypuśćmy jednak, czego zresztą pewna jestem, że hipoteza fizycznego zagrobowego szczęścia jest fałszywą?

— Jeśli jest fałszywa, to przypuścić należy, że zaledwie setna część naszego dzisiejszego jestestwa pójdzie w wieczność, a reszta zostanie pogrzebana w ziemi. Jeśli ziemia taki ogromny trybut zabierze, to zabierze zapewne wszelką indywidualność, wszelkie cechy osobiste jednostki,

jeden duch będzie tak podobny do drugiego, jak pionek na szachownicy do pionka. Istoty tu na ziemi, na podstawie ścisłych indywidualnych cech i zalet swoich w sobie zakochane, będą sobie tam zupełnie obce, pozbywszy się ziemskich przymiotów i objawów, które łączą serca, łączą duszę...

Boć trudno być do tego stopnia poetą, aby utrzymywać, że młodzieniec, który na balu zobaczy kobietę młodą i w niej się zakocha, zakochał się w tych jej właściwościach, które trwać będą na wieczność. On kocha jej oczy, usta, włosy i postać całą ziemską... a nie oderwane, teoretyczne jej własności, których oczami ludzkimi niepodobienstwem dojrzeć.

— Straszna pustka wieje z pańskich słów.

— Kto temu winien?

— Los.

— Czy los jest taką świętością, że wyroków jego nie wolno obalać, że od werdyktu jego niema odwołania? Jeśli człowiek jest mocny, może odebrać sobie to, co mu los wydarł. Losowi poddają się słabi, mocni sami biorą sobie to, co im los odebrał.

— Nawet i w tym wypadku?

— A gdyby i w tym, panno Heleno.

Porwałem jej delikatną rękę, przycisnąłem do ust i zacząłem obsypywać pocałunkami.

Broniła jej kobieta jak mogła, starając się uwolnić swą dłoń z rąk moich. Wreszcie wydarła mi ją prawie przemocą.

— Czy nie poczuł pan, że na mej ręce jest ślubny pierścionek?

— Wiem, czułem ten zimny jak lód łańcuch.

— Zatem...

— Zatem wierność małżeńska. Chwalebna rzecz, bez pytania. Dziwne to jednak jest, że świętą jest dla pani przysięga zimnego ślubnego ceremoniału, nie jest zaś świętą przysięga, złożona dobrowolnie, bez przymusu, ze szczerego serca. Jeśli jesteś pani wierną mężowi...

— Nietylko mężowi. Przedewszystkiem wierność moim dzieciom! Wierność mojemu domowi, w którym ukochane me istoty mieszkają.

— Pozwoli pani odprowadzić się na kolej?

— Nie przemawiaj tak do mnie, panie Janie. Wiem, ile wobec pana zawiniłam, szczerze wyznaję panu moją przyjaźń. Nie chciałabym się źle z panem rozstać, bo kto wie, czy los pozwoli nam się choć raz jeszcze widzieć w życiu. To też chcę, żeby pan zachował mnie w przyjaźniej pamięci, chcę być częścią pańskiej myśli, pańskiej duszy.

— Wiem — domyślam się reszty. Stara piosenka. Mówisz pani do mnie: chcę być twoim ideałem, chcę być ołtarzem, przed którym masz się modlić, kadzidła palić, poselać wszystkie myśli i westchnienia, w zamian zaś za to, ja nie pozwolę ci pocałować mej ręki, na której jest pierścionek mojego męża. Stosunki takie między mężczyzną a kobietą nie są nowością. W średnich wiekach każda dama miała najprzód męża do...

jakby tu powiedzieć, no męża, oprócz zaś męża miała rycerza, który jej szarfy nosił, hołdy składał, w jej barwy ubrany, stawał do turnieju. Ten drugi, to pyszny hohater do operetki. Taki pajac, grający na mandolinie pod oknami sypialni małżeńskiej, jest wprost nieporównany... Tylko go wypchać.,.

— Źle mię pan zrozumiałeś. Hołdów ani ubóstwiania nie żądałam i nie żądam. Chcę przyjaźni pańskiej.

— I jest pani zdania, że uczucie przyjaźni wszystkie nasze rachunki wyrówna? Że podeptać najświętsze uczucia, zadać jątrzącą się ranę swemu bliźniemu, to rzecz tak błaha, że wyrówna ją słowo : przyjaźń?

— Cóż więc ją wyrówna?

— Wyrówna ją panno Heleno jedno ciepłe uściśnienie dłoni, jedno dotknięcie twych przeslicznych ustek ..

— Chodźmy na kolej.

— Do męża pani tak pilno, zatem chodźmy.

Kupiłem bilet i odprowadziłem ją na peron.

Usiadła w pustym przedziale wagonu przy otwartych drzwiach. Służący kolejowy podał jej pakunki. Wśród gromady paczek widziałem dziecięce trzewiki, bęben dziecinny i różne zabawki.

Niewypowiedzianie głupie uczucie brało mię za serce na widok dawnej mej ukochanej, wiozącej zabawki dla swych dzieci... Dla jej dzieci...

A przecie to ta sama Helenka, to samo dziecko rozkwitłe dzisiaj, błyszczące całą potęgą kobiecej urody, kobiecego majestatu. Tak mi bliska i tak mi daleka...

Moja, a wara zbliżyć się do niej. To nie mąż, to nie mąż jest między nami. Dzieli nas pieniądz. Dzieli nas szatańska atmosfera, jaką on wytworzył.

— Panie Janie, nie gniewaj się na mnie.

— Cóż może panią obchodzić mój gniew. Jesteś pani tak dobrą żoną, że tylko gniew męża lub jego uwielbienie może wywołać w pani strach lub radość. Jakie ja zaś dla pani mieć będę uczucia, jest dla pani obojętnem. Gniew mój nie powinien trwożyć pani, a uwielbienie zachwycać!

— Chcę pańskiej przyjaźni.

— Posłuchaj pani. To co między nami przed dziesięciu laty zaszło, łatwo zwalić na młodość pani, na fakt, że rodzice zmusili panią do zamążpójścia. Zechciej mi pani jednak odpowiedzieć na jedno pytanie. Ja jestem biednym muzykiem, zarabiającym lekcyami na moje utrzymanie. Bieda zagląda w me progi. Zapytuję tedy: gdyby przeszłość dała się cofnąć, gdybyś pani dziś była panną i ręką swą rozporządzała, czy zechciałabyś pani wyjść za mnie, poślubić człowieka biednego, dzielić z nim dolę i niedolę, cierpieć biedę, a kto wie, czy nie nędzę?

— Tak.

— Trudno mi uwierzyć...

— Przysięgam panu na miłość mych dzieci. Wierz mi, panie Janie, o wierz! I ja zasłużyłam na lepszą dolę... Umiąłeś być mym sędzią, zechciej pan być i obrońcą. Gdybyś pan wiedział, jak ja czasem na myśl o panu byłam nieszczęśliwą!... Pociąg wnet odjedzie. Podaj mi rękę panie Janie...

Popatrzyłem na Helenę. Oczy miała pełne łez. Chwyciłem białą jej prześliczną rękę i przycisnąłem do ust. Poczulem gorący uścisk jej dłoni.

— Do widzenia, panie Janie, do widzenia.

— Oglądać pana będę chyba...

— Tam, o tam! W niebie.

Zagwizdała przeraźliwie maszyna i pociąg ruszył w drogę, unosząc z mych oczu tę kobietę. Odjechała, zjawiwszy się jak meteor przed memi oczami. Zostawiła mnie z mą nicością i rozpaczą w duszy.

Czułem do siebie obrzydzenie. Jak ja okłamywałem tę kobietę, jak drapowałem się w płaszcz poetycznego kochanka, jak podchodziłem jej serce.

Gdyby ona wiedziała!

A przecież, gdyby nie owe pieniądze znalezione w Żegiestowie, ja byłbym godzien jej sympatii, jej przyjaźni... Byłbym godzien jej łez, które stoczyły się po prześlicznych jagodach. Ja straciłem ją wtedy, gdym zdobył pieniądź...

Gdy pomyślę, że kiedyś wszystko się przed nią odkryje, że jej „pan Jan“ jest złodziejem... to wściekłość mnie bierze na samego siebie.

Zachowałem się dziś, jak kłown cyrkowy, jak bezczelny rycerz wolnego przemysłu, który ma odwagę prawić morały, wyrzucać kobiecie złamanie słowa, krzywoprzysięstwo!

Jeśli prawdą jest, że ja zdradzony i opuszczony przez nią, byłem w stosunku do niej ofiarą i bohaterem, to od chwili sprzeniewierzenia pieniędzy stałem się wobec niej nędznikiem. Ona ma poczucie, że cnota jej jest własnością jej męża, ja sprzeniewierzyłem cudzą własność... Z herosa zeszedłem na histryona i błazna.

Powinienem był, spotkawszy ją, uciec, aby rozmową z nią, całowaniem jej rąk, nie splamić tej uczciwej kobiety.

K r a k ó w 19 września.

Kilka godzin, które spędziłem przy boku Heleny, były istnem dla mnie dobrodziejstwem. Choć na chwilę pod wpływem jej oczu, pod wpływem wspomnień zasnęły me myśli. Obudziłem się...

Już nie boję się odpowiedzialności, już we mnie usnęło nawet sumienie. Jestem tylko zmęczony życiem.

Nie chcę kapitału i gdyby mi dobrowolnie go ktoś darował, nie przyjąłbym go, bo dał mi się okropnie we znaki.

Na myśl, że ja dziś go nawet oddać nie mogę, przytomność tracę.

A przecież jest nademną Bóg! A przecież kłamstwem jest, jakoby on się nie troszczył o losy ludzkie, jakoby modlitwa i prośba do Niego była waleniem o mur głową.

On słucha. On słucha... On słyszy każde słowo, widzi każdą myśl, głupim zaś trzeba być, żeby wymagać, aby Bóg każde nasze życzenie w tej chwili wypełniał.

K r a k ó w 19 września.

Chwyta mnie lęk nieopisany, strach przed niewiedzą czem. W tem miejscu, gdzie w pierśiach jest serce, czuję kamień — boli coś, gniewie, a całe ciało drży.

Strach! Zdaje mi się, że powietrze drży, że liście drżą na drzewach, że na świecie dzieje się straszna jakaś rzecz... że coś się stanie... Zdaje mi się, że cała natura czegoś się boi, trzęsie się i drży przed czemś nieznanem, przed nieznaną jakąś potęgą. Wiem, że na taki strach pomaga mi czarna kawa.

᾿Ανάμνη! Konieczność... ta konieczność przeciwna mocy bożej, wykluczająca Boga! Widzę jej rękę na sobie, cięży ona żelazną rękawicą na mych losach, na mej przeszłości i przyszłości. Boże ratuj mię, Boże ulituj się nademną.

K r a k ó w 20 września.

Boże, który patrzysz w moją duszę, Ty widzisz, że chcę złe naprawić, chcę oddać skradzione pieniądze, chcę zostać uczciwym człowiekiem.

.

Dokonało się. Dotąd stałem nad przepaścią, dziś lecę w jej bezdeń. Już nie ma nadziei.

W południe spotkał mię Liszka. Był błady i zdenerwowany.

— Jak długo bawiłeś w Żegiestowie?

— Do końca sierpnia, jeśli się nie mylę.

— Do końca sierpnia? ślicznie.

Popatrzył mi w oczy.

— Pokażę coś panu.

Wydobył jakiś przedmiot, owinięty w gazetę. Był to przegniły żegiestowski portfel...

— Czy znasz pan ten portfel?

.....

Serce bije, po nogach mrowie chodzi zimne. Strach. Drży świat cały. Zatyka w gardle. O!

.....

— Ja nie znam tego portfelu.

— Łotrowstwo, olbrzymie łotrowstwo...

Zaśmiał się Liszka, a w zielonych jego oczach paliły się ogniki piekła.

— Dziś tam jadę. Załóż się pan, że trzy dni nie minie, a sprawca będzie siedział w kryminale. Założy się pan?

— Ja...

— Paniel Pan mię nie zna! Pan nie zna Konstantego Liszki. Ja świat w zdumienie wprowadzę, a łotr pojutrze gnić będzie. Wszystkie dzienniki pisać będą. Czy pan myślisz, że się łotrowstwo takie ukryje? Nie byłbym chyba Liszką. Słuchaj no pan, panie Dora. Jadę na dni kilka. Po co się ukrywać i nie powiedzieć prawdy serdecznemu przyjacielowi. Jesteś pan błąd jak trup. Wiem wszystko.

— Pan nie wie...

— Gadaj pan wprost, co jest z pieniędzmi?

— Nie... mam.

Liszka żuł zębami cygaro, chwiał się na łydkach i patrzył w dal.

— Chodź pan, panie Dora, do sieni.

Pociągnął mnie za rękaw, szarpnął mną. Samo ciało szło moje, bo dusza uciekła, dusza umarła. Niech robi ze mną, co chce. Włożył nagle rękę w górną kieszeń mego surduta i rzekł:

— Gonię łapać fałszerza stempli kauczukowych, a potem na kolej. Łotr żegiestowski zgnieć w kryminale musi, ja na nic względu mieć nie będę. O, na nic. Mnie Bóg powołał do czuwania nad ludzkim mieniem i do wyłączenia wszelkiego plugastwa na ziemi, pan poznasz mnie dopiero, pan dowiesz się, kto to jest Konstanty Liszka!

Wypadł jak furja na ulicę i zniknął w tłumie.

Wyszedłem z ciemnej sieni na ulicę. Słoneczko cieplutkie świeciło wprost na mnie. Słoneczko ulituj się, rozgrzej krew we mnie, wejdź we mnie duchem i daj trochę nadziei.

Ty powołujesz rośliny do bytu, ty stwarzasz chmurę muszek, co pod wieczór w twych promieniach igrają. Daj i mnie trochę życia, bo lód płynie w mych tętnach, lód..

Odruchem mimowolnym sięgnąłem do kieszeni, którą rewidował Liszka. Czego on w tej

kieszoni szukał, pojąć ani zrozumieć nie mogę. Pusta... Zaraz, jest coś na dnie. Papier zwinięty.

Cóż to? Banknot na dwadzieścia koron... No, przecie Liszka go tam nie włożył, choć dziwię się, z kąd on się tam mógł dostać. Ja, znając wartość grosza, z największą skrupulatnością chowam pieniądze w portfelu, a nie w jakichś bocznych kieszeniach.

A może to nowa pomoc ze strony Liszki... Nie, nie, mnie się już wszystko w głowie płące, a myśl, która dawniej prostym i jasnym szła szlakiem, błąka się dzisiaj w fantastycznych krzywiznach. Na chwilę przychodzi mi myśl, że Liszka o niczem nie wie, że ściga wprawdzie złodzieja, bada, kto mógł w Żegiestowie portfel zatopić, ale że nie ja jestem celem pościgu, że nie mnie podejrzywa.

Rzecz jasna, że domniemanie to nie ma żadnej logicznej podstawy, aluzje bowiem, jakie do mnie kierował, wskazują aż nadto jasno, gdzie on upatruje złodzieja. Gdyby jednak i tak było, jeśli Liszka nie o mnie nie wie, — to przecie lada dzień rzecz odkryje. „Łotr zgnije w kryminale“.

Stałem długo w promieniach słonecznych ślepy i niemy. Ludzie chodzili koło mnie, mijali mnie, potracali mnie, a ja stałem martwy. Już nie ma ucieczki, już mnie nikt nie uratuje. Nie ma nadziei, nie ma.

A jednak jest ona, jest. W Bogu. I tam być musi. Oto niesie mię coś do kościoła. Automatycznie niesie... Jakaś absolutna, świadoma.

siebie myśl, żyjąca w przestworzach, pcha mnie mimo mej woli do kościoła.

Poza mną ta myśl żyje, działa poza granicami mego mózgu. To część tej potęgi, która się nazywa Bogiem. Dba o każdy mój włos. Wy nie widzicie jej, bo nie jesteście nieszczęśliwi. Mózg przeżarty rdzą rozpaczy widzi absolut, rozmawia z absolutem i absolut ten zakryty przed oczami obżartego tłumu, pokazuje się duszom, nędzą i łzami żywota do poznania Boga przygotowanym. On prowadzi mnie przed krucyfiks w maryackim kościele. . .

Nie modliłem się wcale. Był ciemny róg kościoła, usiadłem tam w ławce. Głowa pochyliła się na dół, opadła w dłonie... Jak długo siedziałem, Bóg jeden wie. Może trzy godziny, może pół dnia.

Jak mgła ranna pod wpływem promieni słonecznych na ziemi osiada, ukazując prześliczne lazurowe niebo, tak spadały z duszy wszelkie smutki, wszelkie zło wietrzało i uciekało z duszy. Jak chemik chcąc izolować jakiś pierwiastek, wlewa do retorty silny przetwór chemiczny, który pożera i łączy się ze substancją połączoną z tym pierwiastkiem, czystym go zostawiając, tak wiara w Boga, wiara w cud, trawi i paraliżuje wszelkie brudy duszy, niszczy rozpacz i zwątpienia, zostawia ducha czystym, jak łąza. Dusza w wierze skąpiana ma ciszę letniej nocy, spokój przecucia jakiejś wielkiej szczęśliwości. A spokój chrześcijańskiej duszy nic nie

ma wspólnego z pojęciem ciszy Nirwany, ciszy półbytu lub niebytu. Jest to szczęśliwość i cisza świadoma siebie.

Przed krucyfiksem maryackim jarzą się świece i dziesiątki ludzi modli się. Co chwila słyhać gorące westchnienie, rzadziej krótki urywany płacz.

Do dziś dnia myślałem wraz z całym Krakowem: oto gromada dewotek siedzi przed krucyfiksem, znosi świece i modli się.

Modlitwa sprawia im taką samą przyjemność, jak innemu zbieranie marek pocztowych lub prostowanie rożków banknotom, nazbieranym w szkatule. Myliłem się.

Ja nie rozglądałem się w tłumie, ja nie sondowałem jego dusz, a jednak wiedziałem, że obok mnie w kościele jest zbiorowisko ludzi nieszczęśliwych. Skąd ty wiesz o tem, zapyta sceptyk, że to byli ludzie nieszczęśliwi? Skąd? Dusze ich mi to powiedziały. Chcesz bracie, śmieję się ze mnie, ale ja słyszę rozmowę dusz. Jak żelazo rozpalone wrzucone do wody staje się stalą, jak stal okręcona drutami naelektryzowanemi staje się magnesem, tak dusza ludzka, wyostrzona nieszczęściem, ma delikatność uczucia, zdolność pojmwania rzeczy nadzwyczajnych. Idź, niech ci rozpaloną duszę zanurzą bezlitośnie w zimnie lodu a będziesz stalą, idź, niech duszę twą przejdzie tysiące dreszczów nieszczęścia a będziesz magnesem. Jeśliś się nie poddał próbie, jeśli raczej los oszczędził ci tej próby uważaj

się przedewszystkiem za szczęśliwego a potem nie kpij...

Sto światel migota przed oczami. Kilka świec płonących przed Chrystusem rozmnożyło się przez ły, jak jeden przedmiot widziany przez w ośmiokąt rznięte szkło, w kilkudziesięciu miejscach równocześnie się pokazuje. Wszędzie świece się jarzą a krucyfiks wygląda, jakby był rozwieszony na firmamencie między gwiazdami.

Słowa już modlitwy nie mam, na myśl mnie nie stać, i gdyby ten, co światem rządzi, zapytał mnie dzisiaj: czego chcesz? — nie odpowiedziałbym nic, bo duszę zmęczoną nie stać na prośby. Oh, wiedziałbym co powiedzieć, wiedział; rzekłbym Mu:

— Weź ten pieniądz sobie.

Wyszedłem z kościoła z wielką ciszą w duszy, jakby spracowane zmysły na nowo na świat się narodziły. Obramione złotem fiolety, rozwieszane nad szczytami Sukiennic, zdawały się śmiać do mnie, lazur nieba zdawał się mówić: patrz jak ja spokojny i pogodny, niechaj taka stanie się i dusza twoja.

Rozpacz duszę zmęczy i tak okropnie zgnębi, że przychodzi po niej pewien trupi spokój, pewne zubożenie na ból. Po nieszczęściu, które huraganem wstrząśnie duszą ludzką, nastaje rezygnacya; zamrze nerw czucia zbeżsilnieje zło, tak jak ogień, który przestaje się palić, bo zabrakło paliwa. Mój spokój nie jest rezygnacyą; ani

zokojeńnieniem na nędzę, ani spaleniskiem duszy, w której się rozpacz wyczerpała. Jest spokojem, jaki daje Bóg. Taki spokój dać tylko może zboląta, zczerniała cierpieniem twarz Chrystusowa.

Łagodny ciepły wiatr zawiał, odetchnąłem głęboko rozkosznym powietrzem, weselej jakoś patrzyłem na ludzi, snujących się po ulicach. Mam niezłomne postanowienie, nie odwołalne, zaprzysiężone przed wizerunkiem Chrystusa. Pieniądze wszystkie w całości oddam, szukać będę właściciela ich tak długo, dopóki go nie znajdę. Zaprzysiężłem Bogu mojemu ponieść wszelkie następstwa mego czynu, przyjąć na siebie hańbę i piętno złodzieja, odpokutować mój czyn karą, którą mi sędzia ziemski za kradzież wymierzy.

Jest mi z tem postanowieniem lekko, dobrze, bosko na świecie. Ani na chwilę nie wątpię, że ślubu dotrzymam, że wytrzymam w postanowieniu, nakazanem mi przez Chrystusa.

Jestem taki wesół, tak dusza jasno w świat patrzy... ciało moje odżyło, odmłodziło. Chce mi się lecieć gdzieś na jesienne pola, pomówić z kwieciami polnym, patrzeć na toczące się wody, na ścierniska z pajęczynami i lazur niebieski, Pójdę tam.

Nie! Teraz pójdę coś zjeść. Jestem głodny.

.

Skierowałem swe kroki ku restauracyi, ku drzwiom strojnym kosztami winogron, gruszek i wiszących przy szyldzie kulinarnych osobliwości. Nigdy mi się jeszcze tak jeść nie chciało, jak teraz na widok tych kucharskich specyałów.

Szybko minąłem ladę sklepową, subjektów kłaniających się i wołających „sługa pana dobrodzieja“ i stanąłem przy bufecie założonym kanapkami z kawiozem, butersznitami z pasztetem, blaszankami z homarem i różnorakiemi marynatami. Już miałem chwycić talerzyk ze sądeckim łososiem ..

Jakto? Wszak ja jem, mam zamiar jeść za pieniądze kradzione, za pieniądze będące cudzą własnością. Chcę złamać przysięgę, złożoną przed Bogiem i uszczuplić mienie człowieka, którego własnością są pieniądze. Byłoby to przecież przestępstwem, pożeraniem cudzego dorobku, oczywistą krzywdą ludzką.

Jeść nie będę. Opuściłem sklep.

K r a k ó w 22 września.

Dwa dni morzenia się głodem, nie dały mi się znowu tak bardzo we znaki. Znosiłem głód z rezygnacją, z pewną nawet radością, że idei sprawiedliwości zadość czynię, że wytrwałem w przysiędze świętej. Ale dzisiaj wytrzymać trudno. Jakby coś szarpało człowieka wewnątrz, jakby organizm się buntował przeciw mej woli. Jeść się chce, bardzo jeść...

Nachodziła mnie myśl, że mam dwadzieścia koron, które znalazłem w kieszeni surduta, włożone tam zapewne przez Liszkę. O ile w pierwszej chwili wydawało mi się nieprawdopodobnem, aby je tam Liszka włożył, o tyle teraz przez szkła głodu widziałem jasno, że to dar Liszki, wmawiałem w siebie, że dał mi je Liszka. Przecież te są moją własnością, wolno mi je do błota

wrzucić, a więc i przejeść. Tak, tylko, że jestem dłużnikiem tego, który pieniądze zgubił, wszak wydałem już część jego pieniędzy na swe prywatne cele. To trudno, trzeba oddać. Pieniądze darowane mi przez Liszkę pójdą na pokrycie mego sprzeniewierzenia, a choć małą część może zaledwie pokryją, to jednak Bóg będzie widzieć, że chcę szkodę wynagrodzić, chcę złe naprawić.

Głód! Głód! Jeśli chwilami wraca we mnie myśl szatańska, szydząca z mego purytanizmu, to trwa ona chwilę zaledwie małą. Głód mi wnętrzości szarpie, ale w duszy panuje pogoda, czyste sumienie. Chwilami przychodzi mi do głowy myśl: wszak ty z głodu umrzesz! A więc umrę, chcę dziś umrzeć. Chcę.

Uplanowałem sposoby znalezienia właściciela sumy. Jutro pójdę do znajomych redaktorów z prośbą o inserat. Nie zapłacę za niego nic. Wiem, że na stronie czwartej drukuje się czasem po znajomości inseraty teżpłatnie. Nie wątpię, że prośbę moją uwzględnią. Oprócz tego prosić będę o zamieszczenie ogłoszenia w kronice redakcyjnej. Lada dzień zjawi się właściciel tych okropnych pieniędzy i zabierze je sobie. Powiem mu wręcz: Ukradłem tyle i tyle, resztę ci oddaję — rób ze mną co chcesz. Prawdopodobnie trafię na człowieka bez litości, który wyda mnie sędziemu. Jestem na to przygotowany, ja chcę w więzieniu winę mą odpokutować. Byleby tylko wypadki szły prędzej! Byleby wnet zjawił się

właściciel i... żandarm, bo głód bardzo mi dokucza... Głód!

Kraków 23 września.

Głód, okropny głód... Sto razy przychodziła ochota kupić sobie groszową bułkę. Nie... Wlokłem się przez rynek, gdy ktoś nagle ujął mię za ramię. Był to mój wierzyciel, malarz.

— Chodź pan, zrobimy sobie śrubę.

— Ja panu winienem...

— Wiem, wiem o tem. Od czasu jak mnie pan w tak szkaradny sposób napompował, mam większy szacunek dla pana.

— Dlaczego?

— Widzi pan, ja mam zasadę niepłacenia długów. Systematycznie nigdy nie oddaję pożyczonych pieniędzy. Czynię to z zasady, a zasada — pan wiesz... Każdy człowiek musi mieć zasady, bo jak nie ma zasad, to nie ma i charakteru. Moją zasadą jest robienie długów i niepłacenie ich... No chodź pan, zrobimy sobie śrubę. Chodź pan prędzej. Chodź!

Weszliśmy do handelku.

— Wódki! Szynki! A możebyśmy coś gorącego, he? Polędwica? Dobrze. Dwie polędwice.

Wnet chłopak przyniósł dwa dymiące talerze.

— O do diabła! zawołał malarz.

— Cóż takiego?

— Pan się trzęsiesz do tego jedzenia.

— Nie jadłem...

— Co, głodem pan przymierasz? O do diabła! A ja byłem pewny, że pan sobie na swo-

im klawicymbale więcej wygrasz pieniędzy, niż ja na palecie...

— Teraz takie ciężkie czasy...

— Okropnie ludzkość spodłała. Wiesz pan co się stało?

— Cóż takiego?

— Tutejsze towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych kupuje zawsze na trumnę każdego zmarłego malarza wieniec za dwadzieścia koron. Wystosowałem tedy do nich podanie, żeby sumę tę w gotówce mi wypłacili, na mojej trumnie zaś niech przybiją pokwitowanie na dwadzieścia koron. Przyzna pan, że to myśl weale mądra.

— Wspaniała.

— Wie pan co zrobili? Załatwili odmownie. Nie jestże to łotróstwem taki wspaniały wniosek odrzucać, co?

— Ogromne łotróstwo.

— Napijmy się wódki.

— Tyle nie piję.

— Dlaczego pan nie pijesz? Pij pan. Co tam! Tyle mojego, ile łeb zaleję. Napijno się pan, napij. Przetracimy jeszcze po kawałku kury, co?

— Z chęcią.

— Czemu pan taki smutny, co panu jest?

— Każdy ma swe nieszczęścia...

— Co nieszczęścia? Śmieję się pan z tego. To, co ludzie nazywają nieszczęściem lub szczęściem, jest wielką błagą, obelgiwaniem samego siebie. Pan nie zna mojej teorii bytu, gdyby zaś ją pan poznał, kpiłbyś pan z życia i nieszczęścia. Każde zło jest dobrem, każde dobro złem.

Zło pana trapi? No to pan prędzej zdechniesz i koniec; wielka rzecz. Ten, który mówi: ja chcę długo żyć, mówi tem samem, ja chcę dłużej siedzieć w kryminale. Czy wiesz pan, drogi panie, pociąmy na ten świat przyszli?

— Dziesiątki lat o tem myślę i nie wiem.

— A ja wiem.

— Po co?

— Napijno się pan gorzały.

— Zawróci mi się w głowie.

— Nie; głowa pańska przygotowuje się tylko do pojęcia i zrozumienia mojej wspaniałej teorii.

— Ciekawy jestem ją poznać.

— Wierzę bardzo. Każdy człowiek chcący mieć spokój na tym świecie, każdy pragnący swego własnego szczęścia, powinien być jej wyznawcą. Rozwiązuje ona zagadkę bytu ziemskiego w sposób nieomylny i niezawodny. Dowodzi ona niezbicie, że człowieka może jedynie uszczęśliwić...

— Powodzenie?

— Nie.

— Pieniądze?

— Nie.

— Szczęście? Miłość? Czyste sumienie?

— Nie.

— A więc cóż?

— Nędza.

— Nędza?

— Słuchaj pan! Wiesz pan zapewne, że ziemia obraca się około słońca, lecąc kilka mil na sekundę, że księżyc leci naokoło ziemi nie

spañniając i na włos nie zbaczając z wytkniętej sobie drogi?

— Wiem.

— Jak pan sądzi, czy był ktoś taki, który tę olbrzymią drogę ziemi wytyczył? Czy jest ktoś taki, który biegów tego piasku gwiazd i słońc pilnuje? Czy jest ręka, która tę lecaącą po swym szlaku ziemię w biegu prowadzi?

— Napewne to nie jest wiadomem. Regularny bieg ziemi może się odbywać tak automatycznie, jak ruch maszyny parowej, której wszystkie koła i kółeczka się obracają, choć maszynista odszedł i nie troszczy się o nią. Bieg planet może być podobnym do biegu kuli armatniej, która leci, choć żołnierz o niej nie wie, nastawiając na nowo lawetę.

— To coś pan powiedział jest wielkiem głupstwem. Zapominasz pan, że maszynista od lokomobili odszedł wprawdzie, ale tam pracuje ogień robiący parę, ten główny maszynista i fabrykant siły. Chciałeś pan powiedzieć, że ziemię poruszać może nie inteligentna potęga, lecz przez nią ustanowione prawo, tak e samo, jak to, które wywołuje kręgi fal, gdy kamień na wodę rzucimy. Niech i tak będzie, przyzna pan jednak, że aby kręgi na wodzie były, musi uderzyć w wodę kamień, musi ktoś rzucić na nią, a aby maszyna się poruszyła, musi ktoś zapalić ogień, nalać wody i otworzyć bremzę, aby zaś kula armatnia mogła lecieć, musi ktoś nasypać prochu, który kule w dal poniesie.

— Nie wątpliwie.

— Zatem wierzysz pan że wszystko musiało mieć swoją przyczynę, swego rozumnego i inteligentnego sprawcę?

— W to muszę wierzyć.

— Ja panu powiem, że trzeba być ostatnim cymbałem, żeby nie widzieć tak jasnej, oczywistej rzeczy. Sprzeciwianie się temu jest chorobą mózgową, gadaniną, napisaną po to, aby dowodzeniem rzeczy niedającej się dowieść, zdobyć łatwe laury i idiotyczną nieśmiertelność. Czystą głupotą jest mniemać, że ziemia chodzi sobie dokoła słońca tak dla własnej przyjemności, — głupotą jest zapoznawać, że gdyby nawet była moc, któraby ziemię jak kulę armatnią do biegu eliptycznego wyrzuciła, to ziemia ta bez rozumnej i świadomej sobie pomocy musiałaby bieg zwolnić, musiałaby ustać już cd milionów lat. Ja w ruchu wszechświata, w życiu muszki i pająka widzę świadomą i rozumną moc Bożą.

— Jest, ona jest.

— Jeśli jest ta potężna i mądra ręka boska, jeśli ten bez granic wielki rozum światem rządzi, to wytłumacz mi pan, jak ta moc patrzeć może obojętnie na zgon trzyletniego dziecka, które w szkarlatynie okropnie się dusi i w straszliwym bólu umiera? Jak ona może pozwolić na to? Jak ona może nie zapłakać krwawymi łzami na ten widok? Po co ona to małeństwo do bytu powołała?

— Nie wiem.

— A ja wiem. Tam przed naszym życiem ziemskim było jakieś odwieczne nieśmiertelne

istnienie. Że było, dowodem na to jest fakt, że człowiek nie jest w stanie oznaczyć dnia narodzin swej duszy, przyjścia do świadomości rozumu, nie nie pamięta chwili swego przejrzenia... trudno zaś przypuścić, aby dusza ta rodziła się równocześnie z ciałem, pochodziła z fizycznego jestestwa rodzicielki. Czuję, że byłem od milionów lat, że błąkałem się w dziejach, że błądziłem wśród planet, wśród światów iskrzących się na wieczornem niebie. Jeśli dusza jest nieśmiertelną i końca nie ma, to i początku mieć nie mogła. Albo tedy w owym przedziemskim czasie byliśmy zbuntowanymi aniołami i zasłużyli na karę, albo też moc Boża w interesie naszego udoskonalenia się, zesłała nas tu na piekielną i ogniową próbę ziemskiego bytu.

To jest wszystko jedno. Tam w przededniu naszych narodzin sądził nas jakiś strasznego majestatu trybunał, a dusze złe lub doskonalenia się potrzebujące skazywał na tyle a tyle lat pobytu na ziemi. Jednego skazano na stuletnią mękę, innego na kilka miesięcy lub kilka lat pobytu.

Inaczej pojąć niepodobna powołania do bytu małego, które wyrodna matka na głodową śmierć skazała, inaczej pojąć niepodobna, dlaczego ten lub ów człowiek od urodzenia jest ślepy, od urodzenia lata całe sparaliżowany. Inaczej stworzenie tych nędzarzy byłoby zbrodnią przeczącą miłosierdziu Boga. Spojrz pan dziś na społeczeństwa Europy. Oto nieraz zbrodniarza los obsypuje szczęściem, a uczciwy człowiek

umiera w suterenie z nędzy i głodu. Ileż skończonych miernot ma czoła wieńczone laurami, iluż naprawdę zasłużonych i zdolnych ludzi żyje w zapomnieniu i niesławie. Na każdym kroku, w każdym calu życia, w każdej minucie życia króluje zło, zło jest zasadą społeczną, zło jest pierwiastkiem żywota ludzkiego.

Trzeba naprawdę mieć zsiadłe kwaśne mleko a nie mózg w głowie, żeby tego nie widzieć, żeby zapoznawać panowanie zła w dziejach ludzkości, w życiu każdego społeczeństwa i jednostki. Trzeba być milionerem-kretynem, który jest pewny, że lokaj obiad mu podający jest za swe grzechy lokajem, on zaś za swe zasługi milionerem. Na wytłomaczenie wszelkich różnic, krzywd i zbrodni społecznych znajdzie on okropnie głupi frazes „nie wszyscy mogą być bogaci“. Dureń! On powinien powiedzieć, że nie wszyscy mogą być mądrzy.

— Nędza — mówił dalej mój towarzysz — jest szczęściem. Jeśli ją cierpisz, wiedz, że płacisz weksel, skutkiem której to zapłaty czyści się hipoteka twego domu. Istnienie człowieka, to istnienie rośliny, korzeń jej jest w gnoju i błocie, a łodyga i kwiat buja w słońku złotem. Nie żał się, że żyjesz w zgniliznie bytu ziemskiego, bo okropny ten byt jest podwaliną rozkoszy lata, rozkwitu wiosny... Byłeś ziarnem na słońku; nieznana moc zakopała cię w rozkładającą się cuchnącą ziemię. Nie żał się, bo z ciebie ma wyrość egzotyczny kwiat idealnego słonecznego bytu. No, zróbmy sobie, kochany panie, śrubę.

— Gdyby to pańskie wywody były prawdziwemi, gdyby..

— To jest prawda i prawdą być musi. Ja mam panie rozum zapity, ale za to w dobrym gatunku. Jasno, ale to tak jasno, jak na dłoni widzę, że sprawiedliwość jest i musi być na świecie. Głupiec tylko żądać może, aby wyroki Boże miały doraźną egzekutywę, aby złe było natychmiast karaniem, a dobre natychmiast nagradzanem. Panie, ufaj pan, że egzekucya wyroków Bożych czeka lata całe, choć — jeśli o człowieka — nigdy dłużej, jak jedno ludzkie życie. Nie ludziom to widzieć, nie ludziom tego doczekać, aby wymierzono sprawiedliwość ludziom i narodom. Głupie ciasne pojęcia ludzkie. Przedewszystkiem oderwać trzeba się od nich i wzlecieć po nad tłum, aby widzieć cuda...

— Zgadzam się z panem.

— Weź pan ziarno pszenicy. Głupstwo? Co? Trzeba takich ziarn korzec, aby szlachcic dostał za to dziesięć koron. A jednak weź pan to ziarno. W środku mąka. Prawda? A ja panu mówię, tam w środku mieszka Bóg! Bóg! I z całą potęgą swoją, z całym swym majestatem. Wrzuć pan ziarno do ziemi, a zobaczysz pan cuda przechodzące rozum ludzki — cuda!... Panteizm to głupia rzecz, skończenie głupia. Jest tak głupia, jak ostatnia recenzja o moim obrazie. Czytałeś ją pan?

— Czytałem.

— No, to musisz pan wiedzieć, w czem mój recenzent jest zupełnie równym Panu Bogu.

— Nie mogę się domyślić.

— Obaj nie mają granic. Pan Bóg jest bez granic mądry a on jest bez granic głupi.

— O panteizmie pan mówił...

— To, że ziarno kielkuje, to, że lilia kielich swego kwiatu otwiera, nie jest wcale odruchem ani dziełem jakiegoś pierwiastku twórczego, jakiegoś wreszcie prawa, czy automatycznej zdolności do rozwoju. Zrozumieć to, że tam mieszka Bóg i jego myśl, że ten Bóg tak jest ogromny, że mieszka w ziarnie prosa, w kamieniu i iglicy sosnowej, że to taki ogrom rozumu, że jest w stanie równocześnie biegu miliardów gwiazd pilnować i strzedz muszki latającej w promieniach zachodzącego słońca — jest dopiero początkiem poznania wielkości Boga, przecuciem, domysłem jego wszechmocy. Ludzkości trzeba nowej wiary... nowej. Trzeba przyjscia nadczołowieka-proroka, któryby ludzkość z barbarzyństwa i ciemnoty wyciągnął i oglądać Boga nauczył... Panie! Trawka na ściernisku żyje świadomie, świadomie kwitnie bławatek modry. Mam chwilę, że-bym sobie w łeb strzelił z rozpacz, że ja, człowiek, jestem filokserą jestestw tej ziemi, jestem tępicielem stworzeń bożych, braci mej, sformowanej ręką Bożą. To jeszcze raz dowodzi mej teorii, że ziemia jest miejscem kary dla trawki, zwierzęcia i człowieka... Wszystko zjada się wzajemnie, jeden byt istnieje kosztem drugiego, mocniejszy pożera słabszego...

Wszystkie religie uczą, że Bóg oddał człowiekowi zwierzęta i rośliny...

— Czy podpis Pana Boga na tym akcie-darowizny widziałeś pan?

— Zapewne, że nie...

— Szczerosc panie, przede wszystkim szczerosc. Mordujemy zwierzata, pozerajac ich mieso. Czlowiek mocniejszy wydziera ostatni grosz slabszemu, aby kosztem jego potu i pracy zyc. Robmy tak, kiedy to wzajemne pozeranie sie jest zwiazane z ziemskim bytem — ale nie wyszukujmy sobie pozorow, ze my mamy do tego prawo, ze ten rozbój jest rzecza przez Boga dozwolona i moralna. Toć i ja, jak pan widzi, jem zwierze czy rosline, jedzac jednak mam wyrzut, mam swiadomosc zbrodni popelnionej i mam gorace slowa modlitwy do Boga, zeby mnie jak najprędziej z tej kolonii karnej uwolnil.. Modlitwa ta jest ządaniem rzeczy niemożliwej, bo przed mem urodzeniem zawyrokowano: pójdziesz w to piekło ziemskie i pokutować będziesz tyle a tyle lat.

Malarz zamilkł. Zbiedzona i wynędzniała twarz jego była podobna do kawałka zmiętego pergaminu, zastygłe zaś szklane oczy zasłoniły się jakby mgławą jakąś lżą.

K r a k ó w 23 wsześnia.

Konstanty Liszka wraz z tłumem żandar-mów harcuje zapewne po Żegiestowie. Nie boję się go, niech przyjdzie. Jestem jak ten, który przestał walczyć z falą i wpadł w głębie oceanu. Burza szaleje po wierzchu, na wierzchu toną okręty, rozbitki wołają o ratunek. Na dnie oceanu nie ma burzy, nie tam niewiadomo o huraganie



i piorunach. Wejdźmy w głąb doskonałości a nie zaznamy nigdy burzy życia.

To głupia logika mówić: dzieje się niesprawiedliwość, bo ten ma milion, a ja nie mam nic; ten ma talent, miłość ludzką, szczęście, a ja tego nie mam. Niewiadomą rzeczą jest bowiem, na co mu dano miliony, szczęście lub talent. Krótkowidz tylko jest pewien, że to niesprawiedliwość. Gdybyśmy rzekome szczęście lub nieszczęście ludzkie wzięli z punktu widzenia wieków, przekonali byśmy się pewno, że każdej jednostce wymierzono równą miarkę sprawiedliwości, że ci w łachmanach i nędzy, że ci, których Chrystus wołał: „pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie“, są nie ofiarami ale wybrańcami losu. Cała gadanina malarza jest wizją a nie rozumną teorią, ma jednak w sobie ogromnie wiele pozorów słuszności i prawdy.

Nigdy w życiu nie miałem tyle spokoju i równowagi umysłowej, ile mam teraz. Zrodziła się ona równocześnie ze silnem postanowieniem zwrotu skradzionej sumy, a każdy krok, który czynię dla wykrycia właściciela, zdaje się jasnym wdziarać w duszę promieniem, niosąc tam światło, radość, szczęście. Chwilami chwytą mnie nieopisane jakieś uczucie szczęścia... serce wtedy bije, silnie bije, jakbym miał drżącego gołębia w piersiach, który rzuca się, aby z piersi w świat, w dal, w przestrzenie wylecieć... Bije...

Bóg widzi, że gdyby mi darowano te ohydne pieniądze, nie przyjąłbym ich dzisiaj. Mam wstręt, okropny jakiś, nielogiczny może, ale nieopisany wstręt do pieniądza, który był mi piekłem i nieszczęściem.. Bóg widzi..

.....

On siedzi tam w środku roju gwiazd. On ma miliony rozumów, a raczej jeden taki niepojęty, nieogarniony wielkością swą umysł, który równocześnie kieruje szalonym biegiem słońc i życiem poczwarki, chowającej się pod kamieniem w wodzie. On sprawia ruch wszystkich słońc, jego ręka krystalizuje w przepaściach ziemnych kryształ soli. O wszystko to robi równocześnie. Ludzkie oko jak aparat fotograficzny widzi dokładnie tylko ten przedmiot, na który soczewka oka jest nastawiona, on nie może również dokładnie widzieć równocześnie książki przed okiem i sosny stojącej w dali; ludzki rozum nie jest w stanie równocześnie odejmować liczby i badać bicia serca. Takie oko, które wszystkie na różnych punktach i oddaleniach leżące przedmioty może równocześnie dokładnie widzieć, jest ideałem oka, — taki umysł, który równocześnie o stu sprawach może myśleć, jest ideałem rozumu. Jego rozum jest ideałem. On buduje światy, a równocześnie dba o życie embryonu na dnie oceanu.

.....

Litości nad ludzkim mózgiem, litości. Nie pokazujecie mi na każdym kroku i o każdej życia chwili nicości ludzkiego bytu, bo już nic nowego

nie dowiem się, bo głębiej upokorzenie rozumu dojść nie jest w stanie. Jak liściem jesiennem rzucacie ludzką duszą od obłoków do błota. Patrzę w niebo zapatrzony w nieśmiertelnego Twego ducha, wierząc, że cząsteczkę Twoją nikłą mam w sobie, a dyabeł pyta się mnie: a gdzie się podziawa ludzka dusza, gdy człowiek śpi?

Czy także usypia? Jeśli usypia, toć nie jest duszą. Jest częścią tej materii, która usypia. Gdyby ona była częścią substancji świadomego swego bytu ducha, nie mogłaby usnąć wraz z ciałem. Fabrykat mózgu nazywacie duszą. Boć przecie te głupie odruchy mózgu nielogiczne i nie mające przeważnie sensu, nie mogą być świadectwem bytności oderwanego ducha... Nie ma go? Tak, jak codzień twa dusza wraz z ciałem zasypia, tak zaśnie ona kiedyś i nie obudzi się. Nawet marzeniem sennem się nie obudzi..

Boże, ratuj mnie!

Jeśli po śmierci się coś obudzi, to chyba ta mała cząsteczka duszy, z której ramienia powstały czyny miłosierdzia i miłości bliźniego. Reszta zamrze. Zamrą nawet poloty, bunty ducha, spowite w papierach, cuchnących czernidłem drukarskiem.

Mam przeczucie, że umrę niedługo. Dziwna rzecz. Przeczucie to nie napawa mnie smutkiem ani strachem. Choć głęboko, całą duszą w Boga i w mą duszę wierzę, przecież zapytany o to, szczerze powiem: nie wierzę, żebym po zgo-

nie się obudził. Ja boję się nawet zagrobowego bytu, dlatego, że on znowu będzie świadomością i bytem. Uprzytomniłem sobie wszystkie natchnienia ludzkiego ducha, wszelkie górne wzloty poetów, wszelkie rachuby filozofów, drgania i dreszcze ludzkiej duszy, jakie wywołuje natchnienie poety i muzyka i nie mogę wśród tego nic znaleźć, coby było godnem wskrzeszenia i zmartwychpowstania. A głupiec myśli, że tam wskrzeszą wszystko, nawet jego pychę. Jeśli Bóg jest bardzo dobry i litościwy, to wskrzesi tam miłość i wszystkie pozytywne faktyczne czyny serca i dary serca. Tam powstanie tylko ten, kto mając grosz na chleb, oddał go w całości temu, który nic nie jadł. Tam pójdą doskonali, który według słów Chrystusa: oddali wszystko, co mieli ubogim i poszli za Nim. Tam śmiech wzbudzi legitymacya: oto oddałem biednym pięć procent mego dochodu.

Obudziłem się z marzeń. Pierwszym mym obowiązkiem zmienić banknoty stare na nowe, aby właściciel ich nic nie stracił. Czas płynie, a ja umrzeć mogę. Moim obowiązkiem jest dziś czuwać, aby stare banknoty nie wyszły z obiegu. Dziś idę zmienić. Ty Boże widzisz, że jak pies wierny pilnuję dobra prawego właściciela banknotów.

Ja nie wątpię, że on zawezwany dziennikami wkrótce się zjawi. Może Bóg da, że on zlituje się nademną, uzna moją poprawę i nie odda mnie sądowi.

Mimo całej mej filozofii i rezygnacyi wyfilozofowanej, mam okropny strach przed tym Liszką... On tam szuka... może już znalazł. Już może wie...

Otwarłem biust Chopina i wydobyłem pieniądze. Muszę zmienić banknot za banknotem, aby ocalić dobro właściciela. Dziś idę do kantoru z pierwszym. Boję się Liszki... A jednak pójdę, bo iść muszę. Muszę także znaleźć inny schowek na pieniądze, niepodobna bowiem będzie codziennie zalewać i rozrywać biustu. We fortepianie pod strunami basowemi jest podwójna deska i głęboka szpara idąca aż do wąskiego końca fortepianu. Tam włożę głęboko pieniądze. Jeden banknot biorę na zmianę.

Idę zmienić, nie dla siebie. Ty widzisz
 Wszechmocny! Idę.
 W Imię Twoje Boże!

*

*

*

Przeczytawszy powyższe pamiętniki Jana Dory, postanowiłem bez namysłu udać się do komisarza policyi Konstantego Liszki, aby dowiedzieć się o dalszych losach zdolnego muzyka. Szczerze znałem go dobrze z kilkakrotnego mego pobytu w Krakowie, — człowieka bardzo popularnego, zwłaszcza w szeregach ludzi zfer artystycznych, dziennikarskich i literackich. Spotkałem się z nim we drzwiach urzędu.

— Dokąd pan idzie?

— Na herbatę do cukierni. Może pan pójdzie ze mną.

— Z chęcią.

Gdyśmy usiedli przy herbacie, zapytałem.

— Czy znał pan Jana Dorę?

— Jakto, czy znałem? Wszak ten biedak był serdecznym moim przyjacielem. Na rękach moich umarł.

— Na rękach... pańskich? Jakże to było?

— Było tak. Wróciłem z Żegiestowa, gdzie śledziłem pewną sprawę.

— Czy wolno wiedzieć jaką sprawę?

— Owszem, to nie jest tajemnicą i jeśli pan ma czas, mogę opowiedzieć.

— Wdzięczny panu będę

— W Żegiestowie stało się duże jakieś lotrowstwo. Po wylewie rzeki znaleziono na brzegu wielki kamień, do którego grubymi sznurami był przywiązany duży, skórzany portfel próżny.

— Czegóż to dowodzi?

— To, że ktoś skradł zawarte w nim pieniądze, *corpus* zaś *delicti* przywiązał do kamienia i spuścił na dno rzeki. Zachodzi oczywisty wypadek morderstwa, rabunku lub kradzieży.

— Nie odkryto sprawcy?

— Do dziś dnia, nie.

— A przecież pan słynie ze zręczności...

Zaperzył się i poczerwienił Liszka.

— Wy domagacie się od policji cudów, a urzędnik, czuwający nad bezpieczeństwem publicznym, jest takim samym człowiekiem, jak każdy

inny, omylnym i nie wszystkowiedzącym. Aby mieć iloczyn, trzeba znać mnożną i mnożnik; czy pan jesteś w stanie wyrachować, jakim był mnożnik, jeśli nie wie pan iloczynu i mnożnej?

— Nie.

— No, to nie żądajże pan tego i odemnie. Z żegiestowskiej sprawy jest tylko tyle wiadomem, że tam zbrodnia się stała. Gdybym wiedział, kto jest poszkodowanym, komu skradziono pieniądze, gdyby oszukany, czy okradziony człowiek dał gdziekolwiek znać o swej zgubie...

— Jako? A więc nikt nie doniósł policji, że tam zgubił pieniądze?

— Do dziś dnia nikt. To mało panie, że nikt. W sprawie znalezionej w Żegiestowie portfelu zawiadomiłem natychmiast urzędy policyjne Warszawy, Lwowa, Berlina i Wiednia, żądając poszlak straty... i do dziś dnia śladu poszkodowanego nie ma. Jeśli więc panie nikt pieniędzy nie zgubił, jakże ja mogę znaleźć tego, co pieniądze zabrał. Gdyby ślad, cień śladu, ślad śladu, — dałbym ja złodziejowi sosu!

— Nikt się nie żalił?

— Żalili się. Z Wiednia dostałem raport, że skradziono złoty zegarek, ale nie w Żegiestowie lecz w Czerniowcach, z Warszawy, że jakiś kupiec moskiewski zgubił portfel na wystawie w Paryżu... powiążże pan te poszlaki z Żegiestowem! I dowiedz się, kto wrzucił portfel do Popradu...

— Dora umarł. Pan był przy jego zgonie?

— Byłem.

— Racz mi pan to opowiedzieć. Zdolny teń muzyk zaciekawiał mnie zawsze, radbym też znajomym w Warszawie o jego zgonie opowiedzieć.

— Była godzina dziesiąta, gdy wróciłem z Zegiestowa. Idąc z dworca kolejowego spotkałem doktora Wiśniowskiego... znasz go pan może?

— Znam.

— Jest to serdeczny mój przyjaciel. Doktor chcąc ulokować swe oszczędności w rentownych jakichś papierach, prosił mnie o radę, jakie walory kupić, gdzie kupić i zażądał wreszcie ode mnie, żebym do kantoru wekslowego mu towarzyszył. Uczyniłem to z chęcią, zaleciwszy mu bank krajowy. W pokoju obok kantoru siedzieliśmy wraz z dyrektorem, przebierając papiery i targując się nielitościwie. Wśród targów i pogawędki usłyszałem nagle w kantorze głos Dory.

— Proszę mi zmienić tysiąc guldenów — mówił do kantorzysty.

Zdziwiony niepomału i ucieszony, że on ma tysiąc guldenów, nie widziawszy się zresztą z nim dni kilka, biegnę do kantoru, aby się z nim przywitać, gdy on...

— On?

Roztwarł szeroko oczy i runął na ziemię.

— Co mu się stało?

Gdy nadbiegł doktor, Dora już nie żył. Wiem tylko tyle, że choć mu serce nie biło i puls ustał, roztwarte oczy patrzyły na mnie okropnym jakimś wyrazem, w którym strach, żal i rozpaczliwa malowała się trwoga Musia-

łem sam zamknąć te okropne oczy, zawrzeć usta otwarte strachem, czy bólem... Umarł na serce.

— A pieniądze...

— W ręku trzymał banknot... na tysiąc guldenów.

— Banknot! Mój panie, jeszcze jedno chciałbym o nim wiedzieć.

— Służę z chęcią panu.

— Jego rzeczy poszły na licytację.

— Tak jest. Dalecy jego krewni w Warszawie kazali meble zlicytować.

— Zależy mi w wysokim stopniu na tem, kto nabył jego fortepian, gdzie i u kogo teraz ten fortepian się znajduje. Czy to trudno byłoby się dowiedzieć.

— Dla komisarza policji nic nie jest trudnem. Jeśli panu tak bardzo na tem zależy, dowiemy się zaraz.

— Wielce wdzięcznym panu będę.

— Zapłaćmy za herbatę i chodź pan ze mną.

Wyszliśmy z cukierni, a Liszka poprowadził mnie ku ulicy Siennej. W murach szarej kamienicy jest tam brudny sklepik, nad którym wisi szyld: Kawa i herbata. Jeśli kawiarenka ta brudna jest już zewnątrz, to brud jej wewnątrz przechodzi naprawdę ludzkie pojęcie o brudzie.

Na około stolików, z których każdy należy do innego fasonu mebli, rozsiadły się tu dziesiątki żydów i żydówek w hałatach, złotych czepek i jedwabnych spodnicach. Powąła nią bie-

lona lat kilka, okopcona dymem, ściany wybite jaskrawemi ogłoszeniami o fabrykacyi czekolady, obok nich hebrajski cennik koszernego mięsa, w głębi zaś świeci się w południe nawet lampa, rozlewająca brudne jakieś i zadymione światło. Stara żydówka roznosi gościom szklanki z płynem, który kolorem swym wszystko przypomina, oprócz białej kawy..

— Chodź pan śmiało, mówi komisarz. Ja tu jestem jak u siebie.

Na widok komisarza policyi, zerwała się połowa żydostwa na nogi. W oczach jednych malował się odcień zaciekawienia, połączonego ze strachem, inni pospieszyli witać niezwykłego gościa.

— *Giten Morgen, Herr Commisär, Giten Morgen.*

— *Giten Morgen Sie Ganzglück,*— zapytał po żydosku Liszka,— *wer hot fin Musikant Dore den fortepjen gekoift?*

— *Wie is dues gewehn?*

— *Bei der hajligen Johan Gas Zahl 6.*

— *Die szyften Goldstein in Glücksberg haben ihn gekoift.*

— *Is Glücksberg oder Goldstein du?*

— *Ris du. Goldstein kom haran!*

— *Herr Goldstein, wie is der fortepjen, wues ir hot bem Musikant Dore gekoift?*

— *Ris of dem skład be der ulice szpitalne zahl 7 of dem ersten guren.*

— Chodź pan, już wiem wszystko.

Poszliśmy na ulicę Szpitalną, do domu pod liczbą 7 na pierwsze piętro. Żydówka wskazała wnet Liszce fortepian nieboszczyka Dory.

Otworłem wierzchnią pokrywę, włożyłem głęboko rękę w otwór między deskami pod strunami basowemi i dobyłem ukryty tam gruby zwitek papierów. Było w nim banknotów na sumę sto dziesięć tysięcy złr. Liszka wytrzeszczył oczy.

— Co to ma znaczyć?

— Pieniądze te znalazł w Żegiestowie Jan Dora i przywłaszczył je sobie.

— Matko Boska! Co pan mówisz?

— Prawdę.

— Co? Co? W głowie mi się pomieścić nie może. Jak to było? Jak się to stało?

— Opowiem to panu później. Przedewszystkiem powiedz mi pan, czy wyszły te banknoty z obiegu czy jeszcze nie.

— Jeszcze nie, jestem tego pewny. Trzeba je zmienić na nowe.

— Uczyń to pan prędko i przechowaj je w depozycie sądowym.

— Jest tam już ten banknot, z którym w rękę Dora umarł. Jednak wyjaśni mi pan całą tę sprawę, bo z podziwu wyjść nie mogę. On! Dora! Złodziej! Czy to być może?

— To tylko prawnik odpowiedzieć może, czy on był złodziejem, czy nie był.

— Jakto?

— Przedewszystkiem racz pan przyjąć do wiadomości, że formalnie, nieupoważniony wprawdzie do tego przez Dorę, imieniem jednak jego,



z jego woli i rozkazu oddają panu jako reprezentantowi władzy te pieniądze. Czy wobec tego Dora jest złodziejem?

— Jeśli przeniwierca zwróci pieniądze, zanim władza się dowie, nie jest winien przeniwierstwa, tak mówi kodeks. Jeśli tedy pan, znając jego intencję...

— Znam ją jak nikt inny.

— ...zwracasz skradzioną rzecz, to Dora jest pod względem prawnym czysty. Władza dowiaduje się o tem w tej chwili.

— Jeszcze jedno. Dora znalazł portfel, w którym było, jak dokładnie sobie przypominam, sto dziesięć tysięcy austryackich, tysiąc rubli, czterysta trzydzieści pięć drobnych guldenów, zatrzymał więc sobie i sprzeniwierzył dokładnie rzecz biorąc niecałe dziewięćset guldenów.

— Jakto sprzeniwierzył?

— No, wziął sobie... przywłaszczył...

— Toć on nie zabrał jeszcze całego prawnie należącego się mu znaleźnego, o zbrodni zatem mowy być nie może. Zapiszę sobie podane przez pana cyfry, odciągnę prawnie przypadający mu procent od głównego kapitału i osobno złożę w sądzie na rzecz spadkobierców Dory.

— Kamień spadł mi z serca, gdym usłyszał wywody pańskie, że Dora pod względem prawnym zeszedł z tego świata czystym.

— Poszedł przed tron Boży, niewinny.

— A Bóg policzy łyzy jego i przyjmie do siebie jego biedną, znękaną nieszczęściem duszę.





